POLSKI RAP PRAWDZIWA HISTORIA CO MIESIĄC PŁYTA CD

luty
02/110

ślizg

www.slizg.com.pl

hip-hop/extreme mag

600 VOLT

dj special

dj quik
dj decks
rob swift
red bull rails

numer 02/110
luty 2005
ISSN 1425-1760
INDEX 332682
cena: 6.90 PLN
(w tym 7% VAT)



foto: FABJAN

GRAMMATIK 3

ELDO / GRAMMATIK 3
premiera 01. 2005

massdnm

AUTUMN / WINTER


info: +48426523992 www.massdnm.com

za trzy
dj haem

DJ Haem jest jednym z tych ludzi, u których pozytywność idzie w parze z szerokimi muzycznymi horyzontami. Animator częstochowskiej sceny i fundament składów takich jak Ideo i Ego. Prekursor polskiego soulu w ciepłym, poetyckim wydaniu (Lari Fari, Cudawianki). Nie tylko producent, ale i muzyk, którego talent można docenić sięgając po Paktofonikę czy Pijanych Powietrzem. Przy tym wszystkim spec od gramofonów, autor mixtape'u „Atomistyka", człowiek, który swoimi cięciami wspomógł m.in. Gurala, a ostatnio zaś z dobrej strony pokazał się na „Jazzurekcji" OSTR-a, czyniąc z gramofonów regularny instrument prowadzący sprawny dialog z brawurowym łódzkim mc i czyniąc wspaniały przedsmak ich wspólnego projektu. Wymarzony gość do tego numeru SLG, w którym tak dużo miejsca poświęcamy tematowi szeroko rozumianego dj'ingu



trzy znienawidzone przedmioty szkolne:
Matematyka, biologia, fizyka.
trzy postacie – bohaterowie:
Janosik, Pan Kleks, Terminator.
trzy antypatie – ieszcze:
Nietolerancja, pycha, brak samooceny.
trzy napoje:
Ballantines, Cola, Kubuś.
trzy potrawy:
Frytki, śledzie, batonik Pawełek.
trzy programy tv:
„Bumerang", wiadomości na TVN 24 wydanie angielskie, „Bez Cenzury".
trzy płyty:
Kirk Franklin „Rebirth of Kirk Franklin", Me'shelle NdegeOcello „The Anthropoligical Mixtape", A Tribe Called Quest „The Love Movement".
trzy filmy:
Seria Różowa Pantera, „Monsunowe Wesele", „Czarny kot, biały kot".
trzy książki:
Bob Katz „Sekrety masteringu" i inna literatura fachowa dotycząca muzyki.
trzy kolory:
Żółty, czerwony i niebieski.
trzy cyfry:
6, 12, 24.
trzy napisy na murach:
Gaz, hydrant, gaśnica.
trzy dziewczyny:
Bahamadia, T Love, Chaka Khan.
trzy miejsca:
Częstochowa, Łódź, Warszawa.
trzy zainteresowania:
Grafika, rzeźba, projektowanie graficzne.
trzy gadżety:
Gazeta DJ, pudełko na igły, karta do bankomatu.
trzy ulubione słowa:
O której gramy?
trzy sukcesy:
Matura, kilkanaście płyt, kilkaset występów.
trzy porażki:
Matura, kilka płyt, kilka występów.
trzy plany na przyszłość:
Doktorat, kilka płyt, kilkaset koncertów.
trzy rzeczy ode mnie:
Pokój, tolerancja i zrozumienie.



Wydawca:
Towarzystwo Wydawnicze i Literackie Sp. z o.o.
00-258 Warszawa ul. Brzozowa 35,
tel/fax +48(prefix)226359874
nr konta: Kredyt Bank IV O/Warszawa
41-1500-1777-1217700-66518-0000
Dyrektor Wydawnictwa / Redaktor Naczelny:
Łukasz Kowalski (rednaczkwl@slizg.com.pl)
Sekretarz Redakcji: Kuba Demiańczuk (hellboy@slizg.com.pl)
Fotoedytor: Wojtek Antonów (wzrr@slizg.com.pl),
Redakcja: Kuba Kaczmarczyk (toysoldier@slizg.com.pl),
Cessya (cess@slizg.com.pl), Flintstone (ef@slizg.com.pl),
Krzysztof Grabowski
Korekta: Paweł Gadaczek
Grafika i dtp: Sławomir Adam Barański (szatan@slizg.com.pl)
Ilustracje: Marek Oleksicki (moleksicki@wp.pl)
Zespół: Fala, CNE, DJ Spox, Rafał Skarżycki, Tomek Leśniak, Sebastian Rerak, Yarrek, Dobry Piotrek, Sebastian Imbierowicz
Foto okładka: Wojtek Antonów/WZRR
Marketing i reklama: Kasia Spaleny (kaspal@slizg.com.pl)
Promocja: Marta Wieteska (marta.wieteska@slizg.com.pl)
Sekretariat: Monika Jurczak
Finanse i księgowość: Alicja Włodarczyk
Druk i przygotowanie: Drukarnia Prasowa SA w Łodzi

Adres redakcji: Ślizg
ul. Marszałkowska 3/5, 00-624 Warszawa
tel/fax +48(prefix)22 8254907, 8255069
e-mail: slizg@slizg.com.pl



intro 02/110

GOŚĆ SLG: dj HAEM 04
BIZAAR BAZAAR 06
game overload 014
RECENZJE komiksów... 015
...filmów... 016
...i płyt (+newsy) 017
portret: dj QUIK 023
DJ 600 VOLT 024
WIGOR sztuka władania słowem 028
nowa twarz: dj EPROM 030
dj SPOX scratching 031
AFRONT 032
MOBB DEEP 033
nowe teledyski 034
dj KRUSH 036
RAHZEL 037
ANALOGIA 038
DJ SPOX mixtape 039
ROB SWIFT 040
ITF 2004 041
FUNKMASTER FLEX 042
nielegalna akcja slg 043
dj FIVE 044
plany dj DECKS 046
FRONTSIDE 047
komiks: TADEUSZ BARANOWSKI 048
JEŻ JERZY 050
GRAFFITI 052
total chaos 062
skate and scratch 066
SPRITE JAM 070
VAL THORENS/FRANCJA 072
red bull rails 076
NOKIA air&style WARM-UP 078
hajdpark: TWISTER 082

bizaar bazaar
gadżety





spodnie CHROM

Nowe jeansy prosto od Chroma to kawałek naprawdę porządnego ubrania. Solidnie wykonane, z mocnego materiału, posłużą na pewno długo i z powodzeniem przetrwają kolejne melanże i/lub ekstremalne wyczyny sportowe. Klasyczny kolor, nowoczesny design – fajna rzecz.

spodnie MASS

Czy to początek sezonu, czy jego pełnia, MASS Denim regularnie zaskakuje nas nowościami. Długo nie prezentowaliśmy spodni jeans tej firmy, a przez ostatnie miesiące dokonała ona sporego odświeżenia swojej kolekcji. Jednym z naszych typów jest model Respect. Na pierwszy rzut oka spodnie wyróżniają się efektownymi napisami na całej długości boku lewej nogawki oraz tylnej prawej kieszeni. Taka technika rzadko u nas stosowana naprawdę robi wrażenie, a wygodny, luźny krój i gębokie kieszenie sprawiają, że do zalet wizualnych doliczamy również praktyczne. Strzał w dziesiątkę!





czapki LONGHORN

Zima nam nie dała specjalnych powodów do obaw – przynajmniej jeśli chodzi o mrozy. Ale pewnie jeszcze zimno będzie, śniegiem dowali i wtedy będziemy musieli korzystać z naprawdę ciepłych ubrań. Na głowę proponujemy wam wtedy takie czapeczki Longhorna. Są ciepłe, dobrze uszyte, mają fajne wzory, więc spełniają wszystkie wymagania, jakie moglibyście postawić czapkom:).

Nokia 6170

Telefon rozkładany inny niż wszystkie – eleganckie wzornictwo, zaawansowane opcje przesyłania wiadomości oraz funkcje zarządzania czasem. Dzięki synchronizacji danych kalendarza i kontaktów w telefonie Nokia 6170 użytkownikom, którzy są w ciągłym ruchu, łatwiej jest organizować sobie życie zawodowe i prywatne.



tshirthell.com

Kolesie z serwisu tshirthell.com nie uznają żadnych świętości. Produkują koszulki, które są w stanie obrazić każdego, nawet posiadacza najbardziej ultraliberalnych poglądów. I strasznie szybko reagują na wszelkie wydarzenia (czego dowodem prezentowany obok wzór „I surfed the tsunami"). Zresztą wzory koszulek, które widzicie na zdjęciu, to tylko mały przykład tego, co potrafią wariaci z tshirthell. I uwierzcie nam, to tak naprawdę mało kontrowersyjny wybór. Najbardziej hardcore'owych logówek nie odważyliśmy się pokazać...



Pierwsze dziecko Ślizgu!!!

Z radością oznajmiamy, że Ślizg doczekał się pierwszego, z dawna wyczekiwanego dziecka! Marcinowi i Dominice gratulujemy Emila i życzymy wszystkiego najlepszego. Czas pokaże, czy wyrośnie z niego młody hiphopowiec :). W ślizgowym otoczeniu ma na to spore szanse.

bling, bling!

Prawdziwi hustlaz i playaz to mają bananowe życie. Mogą obwiesić się srebrem, złotem, platyną i wszystkim, co sobie wymarzą. Kajdan z imieniem ulubionego wykonawcy? Nie ma sprawy. Złocona zapalniczka, która na dodatek podkreśli dobitnie, kim naprawdę jesteś? Proszę bardzo. W bogatej ofercie przemyślnych producentów, zbijających kasę na hip-hopie, znalazły się nawet kołpaki na koła, wszelkie odmiany biżuterii i innych podręcznych pożytecznych rzeczy. Kilka przykładów widzicie na zdjęciu obok. Dla prawdziwych twardzieli znajdzie się nawet taki sam portfel, jaki miał w Pulp Fiction Samuel Jackson...



(R)EWOLUCJA NA WWW.SLIZG.COM.PL:

Zmienił się wygląd naszego pisma, zmienia się też nasza strona. Rośnie, i to jak na drożdżach. Od teraz obiecujemy wam:

- CODZIENNE UPDATE'Y
- PUBLIKACJE NAJLEPSZYCH MATERIAŁÓW OD CZYTELNIKÓW, KTÓRE MOGĄ STAĆ SIĘ POCZĄTKIEM KARIERY W MAGAZYNIE I BĘDĄ NAGRADZANE
- CHATY Z RAP GWIAZDAMI
- ANIMOWANIE IMPREZOWEGO INFO (ORGANIZATORZY – ŚMIAŁO PRZYSYŁAJCIE INFORMACJE!!!)
- GORĄCE NEWSY Z ŻYCIA REDAKCJI

Informacje/przysyłanie materiałów: cess@slizg.com.pl lub na adres redakcji

monsters legacy

... czyli kolekcja potworów z wytwórni Universal. Dla wielbicieli starych filmów grozy rzecz nie do przegapienia. Zestaw czternastu filmów, z klasykami takimi jak „Dracula" z Belą Lugosim oraz „Frankenstein" z Borisem Karloffem na czele. Oprócz tego wiele innych, cudownie staroświeckich i kompletnie już niestrasznych obrazów, urzekających swoim klimatem i niepowtarzalnym stylem. A wszystkie DVD opatrzone znakomitymi dodatkami i niespodziankami (np. „Draculę" można obejrzeć ze specjalnie do tego wydania skomponowaną muzyką Philipa Glassa). Cudo!



wyhoduj sobie perłę



Walentynki już niedługo, więc pora rozglądać się za prezentami dla waszych ukochanych. My podpowiadać nie będziemy, za to w ramach ciekawostki pokażemy wam, jakie gadżeciki wymyślają, najwyraźniej znudzeni, Amerykanie. Otóż, za Oceanem można nabyć zestaw, dzięki któremu hoduje się perłę. Prawdziwą. Zestaw składa się z zakonserwowanego w alkoholu skorupiaka (pewnie małża perłopława, czy jak go tam zwą), jakichś nieokreślonych bliżej dodatkowych pomocy i instrukcji. I podobno to działa. Gdy postąpisz według wskazówek, to po jakimś czasie z małża wydobędziesz prawdziwą perłę, której – co ważne – nikt tam wcześniej nie schował. W zestawie znajduje się od razu łańcuszek, w którym można tę perłę umieścić. Ciekawe...



FLINTESENCJA

O kompromitacjach (neopsychologia sampla)

„Trzeba przyznać, że rapowania mam trochę dość, w sumie nie rapowania, ale prób przebicia się z materiałem; dziwnych sytuacji, rozmów, przez które jestem zakłopotany, ludzi, których widok mnie mierzi etc.; dzwoni do nas MTV, jedziemy nad morze, pastwią się nad nami jacyś przyjebani prezenterzy, potem nawet nie chce mi się tego oglądać" – pisze do mnie człowiek z grupy, która ma na koncie legalną płytę. MTV rzeczywiście przechodzi samo siebie, trudno nie trafić na bloki, w których beznadziejność obojga płci mizdrzy się do siebie i można pooglądać sobie typków liżących tyłki parzystokopytnym. I niestety nie jest to metafora.

Viva broni się nieco tym, co robią WSZ i CNE. Duo umie sprowokować dyskusję, jest przygotowane merytorycznie, przy tym naturalne. Jeżeli włączam sobie taką Tramwajową Listę i decyduję się przeżyć gust słuchaczy (o ile rzeczywiście taka lista ów gust oddaje), to tylko dlatego, że Wujek nigdy nie był dobrym dyplomatą i nigdy nie będzie. Zawsze widać, a czasem nawet i słychać po nim, co sądzi o materiale, który musi puścić. I lubię to. Lubię to bardziej od spotkań z przyjaciółmi z rap prasy muzycznej, kiedy to wracam do domu i porównuję ich mocne, skrajne opinie z tymi, które zamieszczają w recenzjach. Zadziwiające jak różnie można podchodzić do słowa. I jak szeroko interpretować oryginalne ich znaczenie. Cóż, i tak warto stawiać muzyczną wiedzę i kulturę osobistą ponad konformizm. W innym wypadku pozostają spece pokroju teges. pl, u których wyczytać można, że De La Soul „charakteryzował się 'kolorowym' neopsychologicznym połączeniem sampli".

Wracamy do Vivy. Zastanawiam się, jak czują się artyści, którzy w pocie, trudzie i rzecz jasna biedzie dochodzą do prawd, którymi tak bardzo chcą się dzielić, że kręcą do nich teledyski. Po co? Po to, żeby puszczano je w małym okienku w towarzystwie komentarzy informujących, że Ania ma okres, Jasio obstrukcję, a Wieńczysław jest królem aniołów i pozdrawia cały Człuchów (JEDEN SMS ZA JEDYNE 1 PLN Z VATEM). Jeżeli sobie z tym poradzą, zawsze mogą wpaść na wywiad do Daro (zioooom), niedługo już trzydziestolatka (elo, elo), który o hh nie ma pojęcia (i nie robi nic, by mieć), a w swoim zgrywaniu równiachy jest równie niedorzeczny, co nieśmieszny. Nie każdy może być Tomem Greenem albo Howardem Sternem. Daro ma ten problem, że nie umie nawet zrobić z siebie idioty jak należy.

Upodlone telewizje muzyczne to zarazem najlepszy dowód na to, że schlebiający im artyści zrobili sobie z dawania dupy sposób na życie. Po co wam te klipy? Żeby zrobić z tego, w co się wierzy, kabaret? Żeby pojawić się w roli reklamy źle uszytych ciuchów z wielkim plastikowym logo obok (tylko przykład, za to z szaloną rotacją) takiego fatalnie i bez środków nakręconego OSWP, które pokazuje, że telewizje są w stanie puścić dosłownie wszystko (a rączka rączkę myje)? Już słyszę odpowiedź „Bez klipu w tv płyta się nie sprzeda". Spokojnie, z klipem też się nie sprzeda, już mamy tu fonograficzną Albanię.

Wszystko jest przewartościowane. Legal nie jest żadną nobilitacją. Jedyną wyrazistą postacią na rynku wydawniczym jest Tytus, którego konsekwencja i dobry gust powoduje, że wypuszczone przez niego w 2004 pozycje da się policzyć na palcach jednej ręki. UMC słynie z uczciwego podejścia do podopiecznych, co raczej jest prawdą. Ale skończcie z mitem zarobionych artystów. Owal sam chwali się w tekście, że w kieszeni ma 500 złotych. Na Bentleya chyba nie starczy? Geniusze promocji? Mam wrażenie, że Mezo i Jeden Osiem L opchnąłby nawet Gigant Records. Za to spróbujcie trafić na klip Deobe z Deną, czy Duże Pe z IGS'em i Spoksem. Zapytajcie chłopaków, ile zagrali koncertów ze swoim materiałem i ile go poszło...

Z hip-hopu długo będzie tu żyć jedynie garstka osób (mówię o artystach, nie zaś krawcach, organizatorach, etc.). Reszta powinna zdać sobie sprawę, że koncerty nawet, gdy są, to rzecz dorywcza, fani są nielojalni, a sława przejściowa i nic pewnego się na tym nie zbuduje. Jeśli chcą zaś poświęcić się hobby, to niech daje im ono przyjemność, nie zaś upokorzenia i nieustanne uczucie niespełnienia i nienawiści. Apelowałbym o tworzenie „undergroundu", gdyby nie to, że termin ten zaczął raptem obejmować tysiące artystów i albumów odciętych od popularności, z racji na to, że dziś puszcza się 10 (podobnie ubranych, z podobnymi beatami, nawijkami i featuringami. Sprawnie wykalkulowana papka dla zniszczonych miliardową ilością powtórzeń i wyklepaną propagandą sukcesu uszu. Dziś najmniejszy przejaw własnego gustu to awangarda i underground. Wspaniały wybór: albo jest się głuchym, albo undergroundowym.

Dodam, że uczciwe podejście do hobby może się odwdzięczyć. Czy darmowe Buhhy nie odbiły się szerszym echem niż studyjne solówki Tedego? Jak myślicie, co decyduje w większym stopniu, że TDF gra koncerty (główne źródło rap-dochodów)? Ilość ściągnięć jest astronomiczna, tysiące osób to znają i chcą poczuć ten żywioł w wersji live. Mam nadzieję, że z Tetrisem też tak będzie. Że zrobi taką furorę jak rozdawane za darmo dzienniki, którym łatwiej o reklamę, niż normalnym pozycjom. Wtedy media przyjdą same, a im ktoś mocniej siedzi w ich strukturach w tym większym stopniu wyznaje filozofię sławy. Jeżeli ktoś jest sławny i super się sprzedaje, nie może być przecież zły. A nawet jeśli jest, to i tak trzeba go szanować, bo jest silny, i nie można napisać mu złej recenzji. Ta filozofia nie jest warta pierdolonych 50 centów, ale działa.

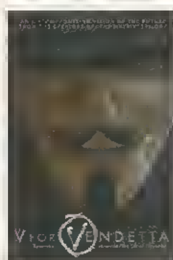
Im szybciej ta sztucznie napompowana, skurwiała rap-machina padnie, tym szybciej na gruzach wyrośnie coś satysfakcjonującego i wartościowego. Syjon trzeba było kilka razy zburzyć, żeby jego mieszkańcy w końcu zatriumfowali. Może porównanie nie jest do końca fortunne, ale za dużo nas podpiętych do rap-matriksa.

Flintstone

KOMIKSOWE NEWSY

Nowości ze świata komiksu rozpoczynamy smutną wiadomością. 3 stycznia zmarł Will Eisner, legenda amerykańskiego komiksu, autor licznych prac (z których najsłynniejsza to „Spirit") i fundator nagród przyznawanych na konwencie komiksowym w San Diego. Eisner miał 87 lat.

Przemek Truściński narysuje komiks o życiu i śmierci księdza Jerzego Popiełuszki. Autorem scenariusza jest Andrzej Stefański. Będzie to kolejny komiks historyczny, jaki ukaże się na naszym rynku. Czyżbyśmy byli świadkami narodzin nowej, świeckiej tradycji :)? Na przykład autorzy niedawno wydanego „Westerplatte" już teraz zapowiadają prace nad kolejnymi albumami.



Inwazja ekranizacji komiksowych trwa! Już niedługo będziemy mogli obejrzeć w kinach nową wersję Lucky Luke'a (z Tilem Schwelgerem w roli głównej), później czekają nas Elektra (spin-off Daredevila), Batman Begins z kozacką obsadą (Christian Bale, Michael Caine, Liam Neeson, Gary Oldman) i Constatntine (na podstawie komiksu „Hellblazer"). Twórcy Matriksa, bracia Wachowski, pracują już nad ekranizacją albumu Alana Moore'a „V jak vendetta" (plakat filmu widzicie obok). Jedną z głównych ról ma zagrać Natalie Portman. Trwają też przygotowania do Ghost Ridera i Fantastic Four.





Dagmara Matuszak wykonała (zajebiste!) ilustracje do poematu Neila Gaimana „Melinda", który w grudniu ukazał się w Stanach Zjednoczonych. Nakład wydawnictwa to zaledwie 1500 sztuk, każda sygnowana przez autorów i numerowana. Gratka więc to nielada. Koszt 90 dolarów, ale nie martwcie się, prawdopodobnie jeszcze w pierwszej połowie roku możemy się spodziewać polskiego wydania. Okładkę i jedną z ilustracji widzicie obok.

Wydawnictwo Dobry Komiks nieco zwalnia. Przechodzi na wydawnie kolejnych zeszytów co dwa tygodnie, a w tym roku publikować będzie nową serię: Superman/Batman. rezygnuje natomiast z cyklu New X-Men, pozostawiając Ultimate X-Men i przygody Spider-Mana. Zobaczym, co będzie dalej.

UWAGA! WSPÓŁPRACA ZE ŚLIZGIEM!

Teraz każdy z Was może wziąć udział we współtworzeniu portalu internetowego ŚLIZGU, jeśli więc:
– robicie zdjęcia sportowe, muzyczne, graffiti
– piszecie relacje z imprez, recenzje, artykuły na tematy poruszane przez ŚLIZG
– zajmujecie się grafiką internetową (tapety, wygaszacze)

PRZYŚLIJCIE NAM SWOJE DOKONANIA! Być może opublikujemy je na naszej stronie internetowej. Oczywiście – nic za friko! Dla najzdolniejszych i najaktywniejszych nagrody:
– prenumerata Ślizgu (półroczna lub roczna)
– gadżety
– **SZANSA NA WSPÓŁPRACĘ W PAPIEROWEJ EDYCJI MAGAZYNU ŚLIZG!**

Wykorzystajcie dobrze tę szansę. Wasze prace i ewentualne pytania przesyłajcie na e-mail cess@slizg.com.pl lub na adres redakcji (ŚLIZG, ul. Marszałkowska 3/5, 00-625 Warszawa) z dopiskiem „WSPÓŁPRACA Z SLG". CZEKAMY.

bizaar bazaar
do poczytania



STARY, CO ZROBIŁEŚ Z MOIM KRAJEM?
Michael Moore
SONIA DRAGA

Nowa książka spod pióra dokumentalisty Michaela Moore'a, podobnie jak wcześniejsza („Biali głupcy") poświęcona bezpardonowym atakom na George'a W. Busha. Cel jest – podobnie jak w przypadku innych produkcji Moore'a – jasny: doprowadzić do zdjęcia z urzędu prezydenta USA. Ta akurat książka powstawała jakiś rok temu, gdy reżyser nie mógł jeszcze wiedzieć, że jego ostra kampania nie przyniesie pożądanego skutku. Czy wobec tego jest sens czytania tej książki już po wyborach prezydenckich w Stanach? Oczywiście, że tak, bo jak wszystko, co stworzył Moore, to wciągająca i świetnie zrobiona rzecz. Należy jednak czytać ją ze sporym dystansem. Po pierwsze, spore ustępy będą dla ludzi nieobeznanych z amerykańskimi realiami niezrozumiałe. Po drugie, zdarzają się Moore'owi wpadki, które mogą podważać wiarygodność innych jego rewelacji – choć przyznać trzeba, że autor podaje naprawdę pokaźną listę źródeł, z których czerpał informacje. No i chyba zapomina czasami, że książka to nie film, tu łatwo cofnąć się o parę stron, przeczytać wszystko uważnie i sprawdzić. Ot, choćby to, że do Iraku pojechało blisko 2500 polskich żołnierzy, a nie dwustu, jak sugeruje Moore. I że w skład „koalicji chętnych" wchodziła Ukraina, o której najwyraźniej zapomniał. A to tylko przykłady z dwóch stron... Moore wykazuje też ostre skłonności megalomańskie, pisząc kilkustronicowy list od Boga. Wiem, że to żart. Ale słaby. No i dodatkowy minus ode mnie za stwierdzenie, że „zwierzęta nie mają żadnych praw". Wszystko to jednak nie zmienia faktu, że książkę Moore'a, choć to przecież nie powieść, pochłania się w dwa wieczory. (jd)



NIEBANALNA WIĘŹ
Sarah Waters
PRÓSZYŃSKI I S-KA

Pod tym banalnym tytułem kryje się wcale nie banalna historia, rozgrywająca się w dusznych realiach wiktoriańskiej Anglii. Margaret Prior, młoda kobieta, aby złagodzić ból po śmierci ojca, pracuje w więzieniu dla kobiet, jako „dama wizytująca", poświęcająca czas rozmowom ze skazanymi. Tam poznaje tajemniczą, osamotnioną Selinę Dawes, znaną w londyńskich salonach jako wszechstronne i potężne medium. Odsiadująca wieloletni wyrok dziewczyna zaprzyjaźnia się z Margaret, coraz bardziej nad nią dominując. Panna Prior zaś powoli przekonuje się do talentu Seliny. Czy wykorzysta to do nawiązania kontaktu ze zmarłym ojcem? Nie do końca jest to powieść o duchach, w każdym razie nie w kategoriach grozy, choć ma niemal gotycki klimat i budzi dziwny, podskórny niepokój. „Niebanalna więź" jest przede wszystkim opowieścią o namiętności i zawiedzionych nadziejach. Napisana w formie przeplatających się pamiętników Margaret i Seliny, niemal pozbawiona akcji, a jednak trzymająca do końca w napięciu (choć to może nie najlepsze określenie), zwłaszcza, że autorka serwuje pod koniec kilka niespodzianek. Dobra literatura, dla wymagających i poszukujących czytelników. (jd)





BOŻE MONARCHIE. ŻELAZNE WOJNY DRUGIE IMPERIUM
Paul Kearney
MAG

Trzeci i czwarty tom serii „Boże monarchie" przynoszą kolejną porcję wylanych łez, krwi i potu, a także okrucieństwa, pragnienia władzy i miłości. Świat „Bożych Monarchii" nie jest typowym światem fantasy – cukierkowym i pełnym stuprocentowo pozytywnych bohaterów. Postacie, których losy śledzimy w książkach Kearneya są z reguły egoistycznymi skurwielami, a ewentualne dobre uczynki wynikają z przypadku, albo z czystej kalkulacji. Dzięki temu wydarzenia przedstawione w tym cyklu nabierają realizmu, szczególnie w takim kraju jak Polska. My, Polacy, doskonale możemy utożsamić się drobnymi cwaniakami, krętaczami i im podobnym. Paul Kearney kontynuuje wątki zaczęte w poprzednich książkach z tego cyklu, kilka rzeczy się co prawda wyjaśnia, ale na rozwiązanie głównego problemu z zachodnim kontynentem będziemy musieli jeszcze poczekać. To jest wielki minus tego typu serii, gdyż przyjdzie poczekać kolejne miesiące na finał całej intrygi, w tym wypadku jednak naprawdę warto uzbroić się w cierpliwość i wyglądać kolejnego tomu. j.k.



RAMMSTEIN CZARNA SKRZYNKA
Adam Kisch
IN ROCK

Rammstein ma w Polsce wielu fanów, o czym może świadczyć choćby fakt, że na ich koncert (przeniesiony ostatecznie po wielu perturbacjach na początek lutego) bilety wyprzedały się w komplecie. Ta książka jest właśnie ukłonem w stronę tych ludzi, którzy dali się porwać motorycznej muzyce niemieckiego zespołu. Ciekawie napisana biografia bandu, licznie okraszona cytatami z wywiadów, do tego rozbudowana i dokładna dyskografia i sporo zdjęć. Czego więcej można chcieć? Zwłaszcza w przypadku zespołu, który zbudował już sobie fame, ale na to, żeby przejść na stałe do historii metalu, musi jeszcze popracować. Dodatkowy plus za to, że książka jest naszą rodzimą produkcją, a nie tłumaczeniem zachodniego wydawnictwa. (jd)



U2 PROPAGANDA
IN ROCK

Oto prawdziwy wypas dla fanów U2. Zebrane w jednym tomie najważniejsze i najciekawsze artykuły z oficjalnego zine'a irlandzkiego zespołu. Wywiady, unikalowe zdjęcia, ciekawostki, relacje, reportaże, no, dosłownie wszystko. Dla każdego, kto choć trochę interesuje się i muzyką i historią Bono i spółki, ten niesamowity album to po prostu obowiązkowy zakup. Zresztą powinien on zainteresować wszystkich swoje zainteresowanie muzyką popularną traktujących poważniej, jest to bowiem wzór tego rodzaju publikacji. Duże brawa! (jd)



NASTAW FALE

ale plama, reklama

Tyle miałam tajnych pomysłów na felieton... Niestety w dobie podejrzeń o nieczyste zamiary zarobienia na wszystkim, w klimacie chciwości i nieufności i ogólnej teorii spiskowej boję się podejrzeń o reklamę a przynajmniej tajemniczy i trącący czarną magią PR. (W tym zdaniu chciałam posłużyć się piękną literacką metaforą odnoszącą się do nastoletniego okularnika, ale książka, która zarobiła miliony, nie potrzebuje już rozgłosu).

Najpierw pomyślałam, że napiszę mądrą, elokwentną rozprawkę na temat nowopowstałych i wartych zauważenia darmowych miesięczników rozdawanych w klubach, a wypełniających rynkową lukę po City (tytuł jest już historyczny – stąd moja odważna wzmianka). Jeden jest świetny i genialnie – czytaj bardzo drogo – wydany, drugi to szmata, że aż piszczy. Raz tylko w życiu widziałam coś gorszego – próbę stworzenia miesięcznika hiphopowego przez ludzi mafii, którzy, jak sądzę, prali tam brudny szmal. Trwało to na szczęście tylko dwa, czy trzy numery, a tytułu szczęśliwie nie pamiętam. Za to ten pierwszy miesięcznik o genialnym tytule (nie podam, żeby nie reklamować) robi wrażenie już ilustrowaną okładką, na której wymienione są bardzo znane nazwiska, że wspomnę tylko o menadżerze czołowego zespołu kontrkulturowego Wielkiej Brytanii, który narobił przeogromnego szumu w latach 70. Za to podobno nie płacą. Tytułu nie wymienię i to ani jednego, ani drugiego, bo żaden z magazynów mi nie płaci a i ja nie mam chęci się żadnemu szczególnie przypodobać, bo pracy nie szukam.

Sfrustrowana niemożnością wymienienia nazwisk, zjawisk i tytułów, a co za tym idzie, rozwinięcia poprzedniej myśli, postanowiłam zmienić temat i napisać coś innego. Może o kalendarzu hiphopowym i encyklopedii hip-hopu, które to wpadły mi w ręce jeszcze przed Sylwestrem. Długo siedziałam i kombinowałam, jak tu napisać o kalendarzu nie wymieniając autorów zdjęć, ani występujących w nim raperów, bo to przecież reklama jak cios w nos. Przez radykalnych tropicieli skandalu zostałabym niechybnie posądzona o kumoterstwo i autopromocję, zwaną lansem (struchlałam, bo to najgorsza przecież zbrodnia). Gdybym ten temat podjęła, mogło by się bowiem wypsnąć, że i moja skromna osoba ma w tym kalendarzu jakiś swój minimalny udział. Znowu ten sam problem tyczy się i encyklopedii, która choć pięknie wydana, nie może zostać przeze mnie polecona, jeśli chcę zachować poprawność polityczną i profesjonalny obiektywizm.

Potem pomyślałam, że napiszę coś aktualnego. Fajny jakiś tekst, taki młodzieżowy i na czasie, może o alkoholu, imprezach i kacu, w końcu Sylwester, no i karnawał i w ogóle. Ale od razu naszły mnie wątpliwości. Czy to nie jest kryptoreklama alkoholu, przecież to promocja stylu życia prowadzącego na społeczne manowce. No i jak tu pisać o walce z kacem, gdy nie można użyć nazwy żadnego z leków i witaminek, które pomóc mogą z tymże kacem się uporać.

Opadły mi łapki. W bezsilnym zmęczeniu jak piorun strzeliła mnie myśl: a może napiszę jakąś laurkę, że np. coś mi się na przełomie roku jakoś wyjątkowo spodobało. Oj, jak w okamgnieniu moje rozjaśnione pomysłem oblicze zaszło mrokiem. Bo to już był najgorszy pomysł!

Poddaję się więc. Nie będę profesjonalistką. Ani super dziennikarką. Ani sprytną przeinteligentną publicystką, co przemyca treści między wierszami, ani „super hot female" (jak śpiewa pewna jasnowłosa wokalistka z USA). I nie zadowolę nigdy wszystkich forumowiczów i czytelników, choćbym schudła, zmalała, odmłodniała, przefarbowała się na blond i podszkoliła freestyle'owe skillsy. Bo jestem sobą, jest mi fajnie i na to wszystko leję. Te układy, układziki, pod publiczkę, kto komu do rączki, te bartery, produkt placementy, reklamy, łapóweczki – to mnie w ogóle nie obchodzi! Ja jestem wolna, i to nie tylko od narkotyków, jak śpiewa pewien pogodny band, ale i od szmalu i opinii i wszystkiego, czym chcielibyście może kiedyś ewentualnie trzymać mnie w szachu.

Głęboki wdech! Wrzucam do kubła Harry'ego Pottera i inne tiu bździu i tak: miesięcznik Max 4 Free jest padaką i skąd oni wzięli na to pieniądze i kto robi takie fatalne okładki i kto to jest Urszula jakaś tam – redaktor naczelna pisząca wypracowania na poziomie gimnazjum i nie wiedząca, że artykuł musi mieć tytuł i lead? Za to „Lub czasopismo" ma genialny tytuł, jest wydane pięknie i jeśli nie płaci, to szkoda, choć mogę to zrozumieć – to w końcu początki, trzeba mieć czas na rozruch. No i gratuluję Malcolma McLarena od Sex Pistols. Jak wyście go zdobyli?

Kalendarz hiphopowy jest, co by o nim nie mówić, pomysłem przefajnym i czemu nikt na to wcześniej nie wpadł? Najbardziej podoba mi się fota Mor W. A., najmniej Ostrego, bo jest nieostra, i pytam po raz setny autorów „Dlaczego mam ogon foki? Miała być Syrenka, do cholery!". Przecież super hot female, jak śpiewa Gwen Stefani, nie może mieć niewydepilowanych dolnych partii ciała!

Encyklopedia Tarasewicza i Adamczyk jest w porządku – bardzo fajnie wydana i ma masę haseł (błąd w nazwie Paresłów jestem gotowa wybaczyć).

Pić bardzo lubię, ostatnio wino (choć ma się po nim zgagę, ale Rennie pomaga), szczególnie odkąd odkryłam pastylki Alibi i wiem już, że kac mi straszny nie jest. A na Sylwestra bawiłam się okej, ale bez fajerwerków, choć trochę strzelaliśmy.

Na przełomie roku natomiast, gdy biegałam po Traffiku z Pogodno na discmanie, poszłam zobaczyć co tam panie w Ślizgu (w redakcji nie byłam, wstyd się przyznać, z pół roku) i tadadadan! Najbardziej na świecie spodobał mi się nowy layout!

Fala

GRY FLASH

Jeżeli zastanawialiście się kiedykolwiek, co robimy w Ślizgu wtedy, gdy nic nie robimy (a naczelny nie patrzy), no to uchylamy dziś rąbka tajemnicy. Gdy dopada nas nuda, gdy akurat nie pracujemy w pocie czoła nad kolejnym numerem, to korzystamy z niewątpliwego dobrodziejstwa, jakim są gry flashowe. Poniżej znajdziecie krótki opis kilku gier, które dopadliśmy ostatnio (pewnie nie są nowe, ale może was zainteresują).



Bezapelacyjnie pierwsze miejsce należy do skromnej gierki Boom Boom Volleyball, która jest niczym innym, jak symulacją siatkówki plażowej jeden na jednego, a właściwie jedna na jedną. Tyle że zamiast piłki odbijamy bombę, a każdy jej upadek na ziemię skraca nam plażowe życie. Wbrew pozorom nie jest łatwo ograć wirtualną przeciwniczkę, ale jeśli się to uda, to potem jest tylko trudniej:). Za to jako bonus w piątym etapie dostaniecie kod, który pozwoli panienkom na granie topless. Jak widać, nam się już udało.



Drugie miejsce dostaje wyjątkowo krwawa gra Divine Intervention. Tu wcielamy się w rolę księdza, który czyści swoje miasto z zombiaków. Do dyspozycji ma różne rodzaje broni: pistolet, shotguna i wreszcie uzi, ale musi je najpierw zdobyć. Fajne i grywalne, ale przede wszystkim dla fanów horroru, bo flashowej krwi leje się tu naprawdę dużo.



No i miejsce trzecie, czyli Homerun. Nie jest to, jakby mogła wskazywać nazwa, symulacja baseballa, ale nieskomplikowana gra pijacka. To znaczy nieskomplikowana tylko w pomyśle, bo naszym zadaniem jest utrzymanie zalanego w trupa kolesia w pionie (sterujemy myszką). Jak upadnie, to zaśnie, a wtedy game over. I trzeba przyznać, że powrót do domu w tej grze jest chyba nawet trudniejszy, niż czasami w realu (nawet po paru piwkach).

RECENZJA



SKINHEAD ATTITUDE
reż. Daniel Schweizer

Skinheadzi kojarzą się większości z debilnymi gośćiami z równie debilnymi poglądami politycznymi. Tępy wyraz twarzy, ogolony łeb, martensy, flayers albo Harringtonka (ostatnio w modzie firmy Lonsdale). Oczywiście, tacy skinheadzi też są, ale czy wszyscy? Reżyser tego dokumentu, Daniel Schweizer, postawił sobie w sumie trudne zadanie pokazać tę subkulturę i jej wewnętrzne podziały w miarę obiektywnie. Moim skromnym zdaniem wyszedł obronną ręką, choć nie uniknął pewnego niepotrzebnego patosu (zakończenie filmu). Jednak najważniejsze jest, że dotarł do prawie wszystkich odłamów ruchu i bez zbędnych komentarzy dał im głos: antyrasistom jak i rasistom – ci to po prostu ośmieszali się każdym swoim słowem. Pokazał skinów skandynawskich, francuskich, niemieckich, angielskich, kanadyjskich, amerykańskich; jest nawet polski akcent – koncert w Krakowie włoskiej oiowej grupy Los Fastidos, oczywiście antyrasistowskiej. W filmie pojawiają się też legendy ruchu skinowskiego: Laurel Aitken, czarnoskóry wokalista ska, Buster Bloodvessel, lider Bad Manners (wypowiadający już na samym początku filmu słowa, że skin musi być przede wszystkim... antyrasistą), Roddy Moreno, lider Oppressed i człowiek, który przeniósł na grunt europejski idee SHARP (skinheadzi przeciw uprzedzeniom rasowym). Niestety nie wiem, gdzie będziecie mogli obejrzeć ten dokument, pewnie tylko na przeglądach filmowych, w każdym razie szukajcie, a nie będziecie żałować. gad

Ślizgery 2004



Zbliża się kolejna i w dodatku jubileuszowa, bo piąta już edycja naszych nagród – Ślizgerów.

Z tej okazji czeka na Was w całej Polsce wiele różnych, naprawdę gorących niespodzianek, ale o tym w następnym numerze i a już 25 stycznia czas także na stronie www.slizg.com.pl

Ślizgery to najdłużej przyznawane w Polsce nagrody hiphopowe i chyba jedyne, które przyznawane są regularnie... Nie chcieliśmy opierać się jedynie na własnych wewnątrzredakcyjnych sympatiach i antypatiach. Gusta są różne – podobno to ładne, co się komu podoba. Uznaliśmy, że najważniejsze nagrody w naszej branży powinny być przede wszystkim obiektywne i dlatego w tym roku do głosowania zaprosiliśmy przedstawicieli różnych mediów, głównie tych związanych z hip-hopem, ale nie tylko. Nagrody w kategoriach:

Wykonawca Roku
Płyta Roku,
Utwór Roku
Producent Roku
DJ Roku
Debiut Roku
Teledysk Roku

przyzna **Wielka Kapituła** w składzie:
Kowal
Flintstone
Hirek Wrona
Bartek Chaciński (Przekrój)
Lexus (Radio Jazz)
WSZ i CNE (VIVA)
Monika Dąbrowska (Radiostacja, MTV)
Tomasz Michniewicz (POLITYKA)
Marek Zioło (Bongos Promocja)
Andrzej Cała (Klan).

Wam, Drodzy Cytelnicy, podobnie jak w roku ubiegłym pozostawiamy do dyspozycji kategorię – **Osobowość Roku.** Nie będziemy podsuwać Wam żadnych propozycji – czekamy na maile i sms-y.

Maile możecie przysyłać na adres: slizgery@slizg.com.pl

Jeżeli zdecydujecie się wysłać sms, możecie wygrać płytę Artysty, na którego oddacie swój głos, albo podwójne wejście na dowolny z koncertów odbywających się w ramach trasy Ślizgery 2004 – info o koncertach na www.slizg.com.pl od 24 stycznia.

Aby zagłosować:

1. Wpisujecie prefiks „slizgery"
2. Po wybranym prefiksie wpisać kropkę.
3. Po kropce wpisać swoją propozycję.
4. Wysłać SMS-a na numer 7178

UWAGA! SMS-y wysyłajcie od 21 stycznia do 24 lutego

Koszt jednego SMS-a to 1 zł + VAT (1,22 zł brutto).

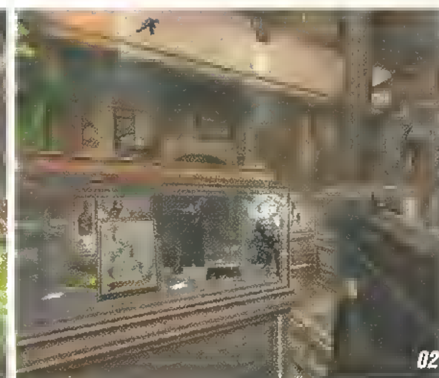
Usługa dostępna jest dla użytkowników telefonów ERA, IDEA, PLUS, HEYAH.

Integratorem usługi jest Phonesat Sp. z o.o.

ŚLIZGERY




01


02

03

Witajcie Anno Oomini 2005!

Choć mamy już numer lutowy, to w rzeczywistości są to pierwsze słowa pisane w tym roku. Przyczyna jest bardzo prosta – taki jest cykl wydawniczy SLG. Powinienem więc choćby w kilku słowach podsumować zeszły rok. Ale co było, minęło i nie wróci. W 2004 dostaliśmy kilka wspaniałych gierek, kilka nas bardzo rozczarowało – jak co roku. Pecety jakoś nadal trzymają się na rynku i nic nie wskazuje, by rynek blaszaków się załamał. Lepiej pomyślmy, czego w tym roku możemy oczekiwać po producentach gier – a przyznam, że jest na co czekać. I to w zasadzie w każdym gatunku! Choć – nie ukrywam, że mnie to cieszy – zapowiedzianych jest na ten rok niesamowicie wiele strzelanek z bajeczną grafiką. Zacznijmy więc od: Quake'a IV! Gierka zapowiedziana na pierwszą połowę roku, ma być singiel, a nie samo multi, jak w Arenie. A wszystko na silniku najnowszego Dooma. Życzmy sobie więc mniej liniowości (niż w Doomie 3), więcej światła (niż w Doomie 3), by było coś widać, lepszej sztucznej inteligencji (lepszej niż…, wiecie gdzie). Z innych shooterków oczywiście z dawna wyczekiwany chorwacki twardziel, pogromca Duke'a Nukema (świeć, Panie, nad jego wirtualną duszą), Serious Sam, odsłona druga (pamiętajcie, że SS: First Encounter i Second Encounter zostały potraktowane jako dwie części jednej części… albo jakoś tak). Nowa graficzka i nowe miliardy wrogów do eksterminacji, hm… brzmi dobrze. Poza tym może w końcu S.T.A.L.K.E.R. (wracamy do Czernobyla), SWAT 4 (wiadomo, taktyka w imię rozwałki złych ludzi), Psychotoxic: The 4th Horseman (tu udzielał się graficznie sam Simon Bisley), będzie raczej krwawo… Co jeszcze? Z pewnością nie przejdziemy obojętnie obok Advent Rising (engine Unreala, za scenariusz odpowiada pisarz sf Orson Scott Card, ten od „Gry Endera"). Dla zwolenników raczej współczesnych nawalanek będzie Battlefield 2 – jedna z najlepszych gier sieciowych ostatnich lat (boty też są). Inne gierki, które mogą namieszać, to bez wątpienia Black & White 2, autorstwa boga gier, Petera Molyneux. Znów pobawimy się w boga (ach, ten Molyneux…), stworzymy sobie własnego chowańca. I znów będziemy mogli wybrać jasną lub ciemną stronę mocy… sorry, to nie gra, choć na pewno Lucas Arts nie pozostaną bezczynni (Star Wars Republic Commando?). Z gier bardziej masywnych, czyli sieciowych erpegów, to możemy liczyć na Matrix Online (miejmy nadzieję, że nie będzie żadnego wypadku przy pracy), World of Warcraft (chyba wszystko jasne?), Dugeons & Dragons Online (no coments…). A jak już jesteśmy przy erpegach, to oczywiście Dungeon Siege 2!

Bez wątpienia doczekamy się różnych dodatków do gier, które ukazały się w zeszłym roku. Możemy liczyć zapewne na jakieś oficjalne dodatki do Dooma 3 (proszę, niech Marine ma przyczepioną latarkę do broni! I więcej światła, by było widać te wszystkie bajery, o których tyle się słyszy, jeśli chodzi o możliwości silnika graficznego…). Na pewno Valve nie pozwoli, byśmy zapomnieli o Gordonie Fremanie i wypuści coś do Half-Life'a 2. Na razie dość ostro banuje gości posiadających pirackie wersje HL 2 (a to bardzo proste dla nich – by zainstalować i zagrać w HL 2, trzeba się połączyć z siecią). Ja po cichutku liczę na coś z Unreal w tytule, są pewne przesłanki, bym miał nadzieję na ten rok… jakiś nowy Tournament albo singiel? Jak zwykle na początku każdego roku pewnie co starsi wspomną jedną grę, Duke Nukem Forever, grę, która podobno ma się ukazać w tym roku (ale nikt o zdrowych zmysłach w to nie wierzy. No, ale moim obowiązkiem jest napomknąć o tym, a nóż stanie się cud?). Pasmatrim, uwidim – jak mawiają starzy Bułgarzy :).

Na pewno zapomniałem tu o wielu tytułach, o wielu jeszcze nikt nie wie. Jak zwykle wiele gier nas rozczaruje – mimo szumnych zapowiedzi, wiele – z drugiej strony – nas zachwyci, choć nikt na nie nie stawiał.

No i to chyba tyle na dzień dobry :).

Na screenach: 01. Advent Rising, 02. Psychotoxic, 03. SWAT 4

recenzja



Prince of Persia Warrior Within
(UBI SOFT)

Prawdę mówiąc pierwotnie planowałem w tym miejscu pokazanie wam gierki Tribes: Vengeance, znakomitej sieciówki z nie gorszym trybem singlowym, ale… powrócił książę (nie, nie ten. Nukem raczej spoczywa w pokoju i niech już spoczywa na wieki). Z tego powodu zemsta plemion trochę się odwlecze, ale – jak wiemy – co się odwlecze, to nie uciecze. Tym bardziej, że nie daruję sobie nie napisać czegoś o Tribes – w końcu najnowsza odsłona tej serii hula na silniku Unreala (dziwne, nie?).

Ale wróćmy do bohatera tego odcinka Game Overloadu: Prince of Persia: Warrior Within. Pewnie wielu z was grało w poprzednią część tej serii: Prince of Persia: Sands of Time (czyli po naszemu Piaski Czasu). Już wtedy wszyscy radośnie stwierdzili, że Książę wrócił w wielkim stylu: z całkiem całkiem oprawą graficzną, niezłą fabułą, i tak naprawdę tysiącem innym bajerów, które uczyniły Piaski Czasu jedną z lepszych gier akcji 2003 roku.



Teraz Książę powrócił, ale zupełnie inny. Od razu rzuca się w oczy wygląd bohatera. W Piaskach Czasu mieliśmy do czynienia z miłym, uśmiechniętym kolesiem wesoło wymachującym mieczem, czy tym, co akurat trzymał w ręku. Trochę skakał, trochę biegał (jak to w grach akcji z elementami arcade). W Warrior Within Książę jest ponury, groźny – ale nie ma co się chłopu dziwić, jeśli wiesz, że masz zginąć (a tak trochę o to chodzi w scenariuszu), to nie jest ci specjalnie wesoło. Wraz ze zmianą wyglądu bohatera, zmianie uległ też i świat gry. Nie jest już tak przyjemnie kolorowy, więcej w nim kryjącego się mroku, czy, hmm, zła, niż wcześniej. Naprawdę, klimacik jest. Grafika tylko podkreśla nastrój – nie ma co kryć – nie jest to oczywiście Doom 3, czy inny Far Cry, ale jest naprawdę dobrze.



Jeśli zaś chodzi o system walki – to uległ on dalszej ewolucji: więcej kombosów, więcej ciekawych patentów ze skakaniem po ścianach i kolumnach (nie licząc kolesi, po których też można skakać). Wszyscy ci, którzy do dziś mają gdzieś zakurzone takie gry jak: Die By The Sword czy Rune (wymiatał!) i od czasu do czasu powracają do nich, koniecznie muszą sięgnąć po Warrior Within, bo prawdę mówiąc na peceta nie ma zbyt wielu takich siekanek:-(. Co może w nowym Księciu denerwować, to mała liczba save'ów, ale cóż. Trzeba po prostu bardziej uważać podczas dokonywania ekwilibrystycznych cudów w trakcie gry.

Właściwie tę grę powinienem opisać tak: klimat, jatka, grafa, muza (wspomniałem, że maczał w niej palce Godsmack?) i – last but not least – Prince… Biegiem do sklepu (nie do pirata) i kupować Księcia!

Początki Księcia zagubiły się w piaskach czasu…

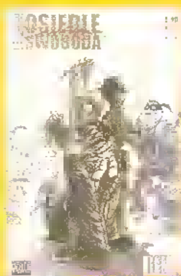
Pierwszy raz Książę pojawił się w – uwaga – 1989 roku, po prostu jako Prince of Persia. Na drugą odsłonę trzeba było czekać aż pięć lat, w 1994 roku pojawił się Prince of Persia 2: The Shadow and The Flame. Jednakże dopiero chyba trzecia część zapisała się na trwałe wszystkim graczom w pamięci: Prince of Persia 3D! Nikomu nie muszę tłumaczyć, co oznacza 3D, prawda? Potem znów cisza, aż do 2003 roku i Prince of Persia: Sands of Time. Tak więc Książę w świecie gier nowicjuszem nie jest, by nie rzec, że tak naprawdę to weteran komputerowych potyczek! I to tyle, wracam do mrocznego Księcia, którego nowa fizjonomia przypadła mi do gustu bardziej, niż słodkiego chłopca z Piasków Czasu.

gad

komiks
recenzje



wydarzenie



OSIEDLE SWOBODA #1
scenariusz i rysunki: Śledziu
NIEZALEŻNA PRASA

Doczekaliśmy się. Od bardzo dawna Śledziu zapowiadał oddzielną serię o Osiedlu Swoboda i w końcu ją wydał. W najlepszym momencie, by choć trochę wypełnić lukę, jaką na rynku pozostawił „Produkt". Komiks kontynuuje wątki z odcinków „Produktowych", dlatego mocno przydaje się znajomość już wcześniej publikowanych epizodów, ale niewtajemniczeni znajdą na początku krótki i dowcipny przewodnik po postaciach „Osiedla". A pojawia się ich całe mnóstwo: od starych znajomych (Smutny, Szopa, Niedźwiedź i paru innych), po zupełnie nowych bohaterów, takich jak Popaj („marynarz asfaltowych mórz") czy prowadzący piracką stację radiową Pan Wrona. Fabuła na razie szczątkowa, ale przecież i tak najmocniejszą stroną komiksu Śledzia zawsze były dialogi i dziwaczne sytuacje, a tych tu nie brakuje. No i dodatkowy plus: „Osiedle", tradycyjnie zresztą, świetnie się prezentuje od strony graficznej i warto dodać, że po raz pierwszy jest drukowane w pełnym kolorze. I choć muszę przyznać, że nie robi to wszystko aż tak piorunującego wrażenia, jak pierwsze epizody z „Produktu", to jednak nadal to komiks z najwyższej półki. Świetna robota. (jd)



1602 tom 2
scenariusz: Neil Gaiman
rysunki: Andy Kubert
EGMONT

Zakończenie mini-serii, w której Neil Gaiman wrzucił klasycznych marvelowskich bohaterów (Spider-Man, Doctor Strange, Fantastic Four, Daredevil i wielu innych) w realia siedemnastowiecznej Anglii. Co z tego wyszło? Małe arcydzieło, kunsztowny popis erudycji i poczucia humoru scenarzysty, nasycony sporą dawką emocji i wzruszeń, kapitalnie zilustrowany przez Andy'ego Kuberta (m.in. „Wolverine. Origin"). Drugi tom przynosi nie mniej porywającej akcji niż część pierwsza. Będziemy tu świadkami ostatecznej rozgrywki pomiędzy siłami dobra a złowrogim hrabią Von Doomem. Rozgrywki, w trakcie której dojdzie do zjednoczenia sił pomiędzy zaprzysięgłymi wrogami. Ale kto połączy swoje moce w sojuszu, kto wygra starcie i jaką rolę odgrywa w całej historii Kapitan Ameryka? Tego dowiecie się już z albumu. Naprawdę warto. I aż szkoda, że to już koniec. (jd)



GLINNO
scenariusz i rysunki: Jacek Frąś
KULTURA GNIEWU

Horror na wsi to wdzięczny temat, w popkulturze amerykańskiej wyeksploatowany niemal już do cna. Ale w wydaniu polskim? Można być co najmniej sceptycznym, mając w pamięci dotychczasowe zmagania naszych krajanów z literaturą grozy (kiedy na Zachodzie pisano powieści gotyckie, w Polsce pozytywiści podniecali się na widok lokomotywy), że o filmie nie wspomnę (wywołujące raczej zażenowanie, niż strach dzieła takie jak „Wilczyca" i „Powrót wilczycy", szczęśliwie obyło się bez „Zemsty wilczycy" i „Syna wilczycy"). Autor „Glinna", Jacek Frąś, podjął więc nie lada wyzwanie. Wyzwanie podwójne, bo za wykonanie komiksu zabrał się uzbrojony w farby, które – w dobie totalnej digitalizacji grafiki – mogą uchodzić za relikt przeszłości. Frąś może czuć się tym samym podwójnym zwycięzcą. Jego pierwszy pełnometrażowy komiks jest nie tylko świetny plastycznie, ale oferuje również intrygującą fabułę. Aby nie zdradzać zbyt wiele, ograniczę się do esencjonalnej relacji: główny bohater historii trafia na zapadłą wieś, tytułowe Glinno, by zająć się pochówkiem zmarłego wuja. Problem w tym, że towarzyszy mu człekopodobny, zielonogłowy fantazmat, którego można by nazwać wyimaginowanym przyjacielem, gdyby nie fakt, że nie jest przyjazny i niekoniecznie jest wyimaginowany. Po przybyciu do Glinna, mężczyzna staje się uczestnikiem wydarzeń niczym z filmu „W paszczy szaleństwa" Carpentera, tyle że w polskich, chyba jeszcze straszniejszych realiach. A ponieważ fabuła jest pokręcona i zapewnia niejeden karkołomny zwrot akcji, „Glinno" chłonie się z zapartym tchem.

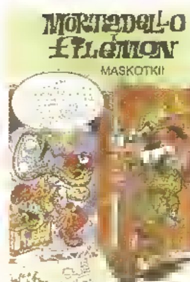
Okazuje się zatem, że i na mapie RP są takie miejsca jak Glinno, nie mniej przerażające niż wszystkie te amerykańskie Gatlin, Crystal Lake tudzież teksańska dziura, w której piłą mechaniczną bawił się Leatherface, a której nazwy nie pomnę (z pamięcią u mnie coraz gorzej...). Ciekawe, efektowne i nawet strachopędne. /SBTN/



CIACH BAJERA 3
scenariusz i rysunki: Fil & Termos
MANDRAGORA

(na specjalne zamówienie Ślizgu recenzję napisał ZOMO – Znany Obrońca MOralności)

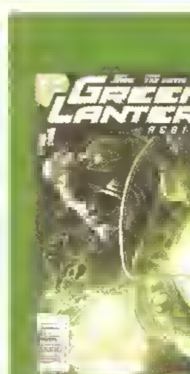
I oto mam przed sobą nowy, jak to się popularnie mówi, komiks autorstwa niejakich Fila i Termosa. Od razu nasuwa się pytanie: czy to są polskie imiona? Na pewno nie! Co też ci „autorzy" mają więc do zaproponowania naszej młodzieży... Alkohol, narkotyki, wulgaryzmy, brak poszanowania dla starszych, a nawet dla naszych służb mundurowych! Co więcej, w tymże komiksie można znaleźć – o zgrozo! – sceny przedstawiające seks przed- i pozamałżeński. To ja się pytam, do czego to może doprowadzić? Czy niewątpliwie antypolski, antykatolicki, ba, antyludzki nawet element w postaci panów Fila i Termosa doprowadzi do zagłady naszego narodu? Czy są to agenci nasłani przez Brukselę? I w końcu najważniejsze: czy taki komiks można w ogóle czytać, pokazywać młodym ludziom, nie narażając ich na jakieś groźne umysłowe zaburzenia? (Jak najbardziej – przyp. red.)



MORTADELLO I FILEMON
scenariusz i rysunki: Francisco Ibanez
KASEN

Hiszpański komiks jest w Polsce raczej słabo znany. Mieliśmy co prawda szansę przeczytać dwa tomy „Blacksada" Canalesa i Guarnido, ale jego pierwodruk ukazał się we Francji. Podobnie Katalończyk Ramon Bachs („Shrek") znany jest nam ze współpracy z wydawnictwami amerykańskimi. Z ciekawością sięgnąłem więc po komiks Ibaneza, aby zobaczyć, co też tam w słonecznej Hiszpanii produkują. I rozczarowałem się jak rzadko kiedy. Wiadomo, nie oceniam całego rynku, ani nawet całej serii po jednym albumie, ale „Mortadello i filemon" to komiks wyjątkowo słaby. Jego bohaterami są dwaj agenci, wyjątkowi nieudacznicy, przynoszący pecha nie tylko sobie nawzajem, ale i całej agencji. Ciągle coś komuś spada na głowę, wybucha, pęka itd. Całość przypomina nieudane komedie, wypełnione bieganiem w kółko, wrzeszczeniem i nerwową gestykulacją bohaterów. Na dodatek całość jest po prostu zerżnięta z francuskich poprzedników, a zwłaszcza z prac Tarquina („Gaston", kilka albumów pojawiło się też u nas). To porównanie jest nieprzypadkowe, bowiem Ibanez kopiował z Francuza nie tylko styl, ale również dowcipy, a nawet układ kadrów. Miało to jednak miejsce przede wszystkim w serii „El Botones Sacarino", której, mam nadzieję, nikt już u nas nie wydrukuje. (jd)

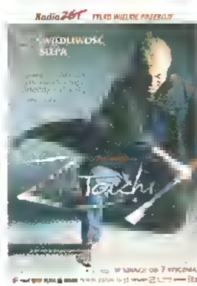
za granicą



GREEN LANTERN: REBIRTH #1
scenariusz: Geoff Johns
rysunki: Ethan Van Sciver
DC COMICS

Niełatwo w Polsce śledzić dzieje Korpusu Zielonych Latarni. Regularna seria ukazywała się tylko kilka miesięcy (i to ładnych parę lat temu), pojedyncze albumy ukazały się bodaj dwa plus kilka występów w innych komiksach. Wszystko – u nas – zaczęło się od Hala Jordana (mini seria „Szmaragdowy świt") i na nim, jak na razie, skończyło (albumowy „Testament..."). Warto więc powiedzieć, że w oryginalnych wydaniach amerykańskich Hal Jordan właśnie powrócił. Przypomnijmy: Jordan przestał być Green Lanternem w momencie, gdy wchłonął całą moc Oa, rodzimej planety Korpusu i stał się Parallaksem, wkraczając na drogę zła. Ostatecznie jednak naprawił swoje błędy, poświęcając życie w obronie Ziemi. Jak się jednak okazuje, w uniwersum DC nic i nikt nie ginie ostatecznie. Sześcioczęściowa seria „Green Lantern: Rebirth", której pierwszy epizod niedawno się ukazał, przywraca Hala Jordana do świata żywych i każe mu jeszcze raz zmierzyć się ze swoją przeszłością. Po pierwszym numerze niewiele jeszcze można powiedzieć, w każdym razie zapowiada się nieźle (uwaga na gościnny występ Justice League), zwłaszcza dla tych czytelników, którzy chcą być choć trochę na bieżąco z wydarzeniami ze świata DC. I co ważne, komiks można w niektórych sklepach kupić w Polsce. (jd)

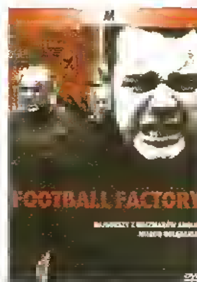
recenzje filmowe



ZATOICHI
reż. Takeshi Kitano
BEST FILM

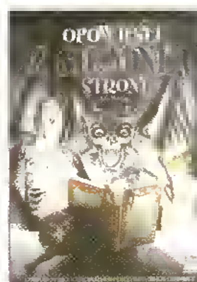
Zatoichi, starszym kinomanom w Polsce znany jako Masażysta Ichi, to prawdziwa ikona japońskiej popkultury. Pojawił się w książkach, serialach, kilkudziesięciu filmach, a nawet w komiksach (to na jego postaci wzorowany jest choćby Zatu Ino z serii „Usagi Yojimbo"). Inspirował nawet produkcje zachodnie (pamiętacie „Ślepą furię" z Rutgerem Hauerem?). Niewidomy masażysta, mistrz nad mistrzami w trudnej sztuce władania mieczem, przemierza Japonię broniąc niewinnych przed uciskiem i złem. W końcu zawędrował też do filmu Takeshi Kitano, wybitnego i cieszącego się w Japonii ogromnym powodzeniem, reżysera i aktora.

Fabuła oparta jest na sprawdzonym schemacie: Zatoichi trafia do miasteczka, którym rządzi gang bezwzględnego Ginzy. Masażysta jak zwykle nie pozostanie obojętny na los ludzi i stanie do, wydawałoby się, nierównej walki ze służącymi Ginzie roninami, z nieustraszonym Hattorim na czele. Na swej drodze spotka poza tym kilka tajemniczych postaci, między innymi parę gejsz, ukrywających przed światem mroczny sekret... To jednak nie fabuła – choć bardzo istotna i świadomie nawiązująca zarówno do poprzednich filmów o Zatoichim, jak i do arcydzieł Kurosawy – jest w tym filmie najważniejsza. Tu liczy się przede wszystkim postać. Niewidomy masażysta to kulturowa ikona i Kitano ma pełną tego świadomość. Przedstawia go więc w tradycyjny i jednocześnie nowoczesny sposób, co daje naprawdę znakomity efekt. Podobną formułę stosuje zresztą w całym filmie: nastrojowe sceny przeplata piekielnie dynamicznymi sekwencjami walk, filmowanymi niczym u Tarantino (łącznie z krwią sikającą z odciętych kończyn), głębokie i refleksyjne myśli mijają się z niemal slapstikowymi (choć czasem makabrycznymi) dowcipami, a wszystko daje prawdziwie świeżą i pasjonującą całość. Warto zobaczyć, a dla miłośników japońskiej kultury wyprawa do kina to wręcz obowiązek. **(jd)**



FOOTBALL FACTORY
reż. Nick Love
MONOLITH

Tylko Angole potrafią nakręcić porządny, pełnokrwisty film o piłce nożnej, na dodatek zgrabnie łącząc go z tematyką społeczną. W końcu to Anglia jest ojczyzną nowoczesnego futbolu, a to do czegoś zobowiązuje. A skoro potrafią o sporcie, to dlaczego nie o kibicach? I to tych, którzy budzą najwięcej negatywnych emocji, tych, dla których nie liczy się specjalnie piękno sportu, a raczej fanatyczne oddanie klubowym barwom, przekładające się przede wszystkim na krwawe porachunki z kibicami innych drużyn. Film Nicka Love'a wchodzi w środowisko kibiców londyńskiej Chelsea, w grupkę rozmaitych ludzi, których wspólnym celem jest walka. Przy takim temacie łatwo wpaść w pułapkę moralizatorstwa, taniej agitacji i prostych schematów. „Football Factory" bardzo zręcznie omija te mielizny. Pokazuje kibiców, owszem, fanatycznych, ale też pochodzących z różnych środowisk. Nie wnika zbyt głęboko w motywacje i przyczyny, po prostu pokazuje – przyznajmy, niezbyt przyjemny – obrazek z życia wielkomiejskiego przedmieścia, na którego uliczkach od czasu do czasu toczy się mała, „święta" wojna. Twardy, dość brutalny, ale nie pozbawiony sporej dawki humoru kawał filmowego mięsa. Tak, Anglicy potrafią... **(jd)**



OPOWIEŚCI Z CIEMNEJ STRONY
reż. John Harrison
MAYFLY

Sporą popularnością cieszyły się kiedyś – zwłaszcza w USA – seriale będące antologiami opowieści grozy i suspensu. „Tales From The Darkside" również do nich należał. Popularne cykle z reguły doczekiwały się swoich wersji kinowych. Czasami, tak jak w przypadku „Opowieści z krypty", były to pełnometrażowe osobne historie, czasem zaś – nowelki, połączone w całość przeplatającą się historią. Tak też jest z „Opowieściami z ciemnej strony". Nakręcone w 1990 roku przez Johna Harrisona (który był też autorem kilku odcinków serialu), nie są jakimś wybitnym dziełem w gatunku horroru, ale zasługują na uwagę z kilku względów. Po pierwsze, w obsadzie przewija się kilkoro aktorów, stojących wówczas u progu kariery (Christian Slater, Steve Buscemi, Julianne Moore). Po drugie, autorami literackich pierwowzorów dwóch nowel są Arthur Conan Doyle i Stephen King (jego przewrotny pomysł o piekielnym kocie zaadaptował na potrzeby filmu mistrz horroru, George A. Romero). Po trzecie, mimo upływu czasu (a film się jednak przez te kilkanaście lat postarzał), ogląda się to całkiem nieźle. Może nie straszy za bardzo, ale za to ma swój klimat i budzi lekką nostalgię za specyficznym kinem końca lat 80. Dla zagorzałych wielbicieli horroru – pozycja obowiązkowa. Reszta też nie powinna się nudzić. **(jd)**

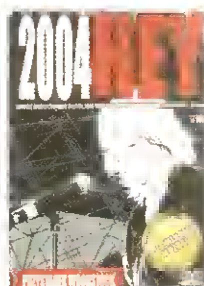


KOBIETA KOT
reż. Pitof
WARNER BROS.

Selina Kyle, czyli Catwoman, to z pewnością jedna z najciekawszych postaci, jakie kiedykolwiek pojawiły się w świecie Batmana. Na tyle intrygująca i popularna, że z czasem doczekała się własnej serii komiksowej. Problem w tym, że film Pitofa ma z nią niewiele wspólnego. Kobietą kotem (kotką?) jest tutaj niejaka Patience Prince, pracująca dla wielkiego koncernu kosmetycznego. Gdy przypadkowo dowiaduje się, że właśnie wprowadzany na rynek rewolucyjny krem ma nieodwracalne skutki uboczne, zostaje przez swojego pracodawcę zabita. Jednak powraca do życia, na dodatek obdarzona prawdziwie kocimi umiejętnościami: widzi w ciemnościach, jest niezwykle zwinna i silna, a na dodatek z szarej, przygaszonej paniusi staje się przebojową, niezależną i silną kobietą. Fani Halle Berry dodaliby jeszcze, że atrakcyjną.

No właśnie, Halle Berry... Chyba najpoważniejszą wadą filmu jest obsadzenie tej popularnej aktorki w tytułowej roli. Gra po prostu okropnie, dostosowując się zresztą do pozostałych aktorów. Nie przekonuje mnie też metafizyczna otoczka wokół postaci Catwoman – Patience nie jest pierwsza, przez wieki pojawiały się kobiety, obdarzone podobnymi mocami i inne tego typu pierdoły, mające chyba ułagodzić fanów komiksu, oburzonych zamianą intrygującej Seliny Kyle na nijaką Patience Prince. Podobać się za to może wizualna strona filmu: obraz ma swój duszny, mroczny, chwilami niepokojący klimat, szkoda, że nie do końca wykorzystany. Choć i tak oddałbym wiele, żeby akcja toczyła się w Gotham City...

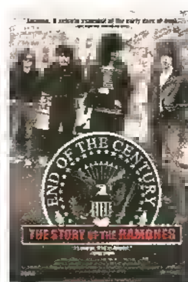
Jeśli więc szukacie prawdziwej Catwoman, to sięgnijcie po komiksy i po burtonowski „Powrót Batmana", gdzie Selinę zagrała Michelle Pfeiffer. Warto też, żebyście przejrzeli dodatki na wydaniu DVD, wśród nich znajdziecie m.in. ciekawy dokument o historii Catwoman. **(jd)**



PRZYSTANEK WOODSTOCK HEY
ZŁOTY MELON

Pod pewnym względem recenzowanie wydawnictw „woodstockowych" jest męczące. Ile razy można pisać, że coś jest na światowym poziomie audiowizualnym (Obraz 16:9, Dźwięk: DTS)? Przyjemnie za to zobaczyć kolejny porywający koncert. Hey gra dość ciężko, wymagając od odbiorcy ostuchania i dużej ilości pomyślunku. Kiedy sprawiająca wrażenie wiecznie zakłopotanej i onieśmielonej Nosowska staje za mikrofonem, jej silny głos autentycznie porywa, jest tak silny i emocjonalny, że nie da się być obojętnym, a sceniczna naturalność pozwala zdobyć nasze zaufanie. Zespół daje dobry, długi (20 kawałków) występ, dynamicznie przechodząc przez dyskografię. Jest (stanowiący wielki finał) hit „Moja twoja i nadzieja" i śpiewany z publicznością „Teksański", są też najnowsze rzeczy – „Muka!" i promowane ostatnio rewelacyjnym klipem grupy Sky Piastowskie „Moogie". Oczywiście nie da się zagrać wszystkiego (brakuje mi np. „Listu"), są za to miłe niespodzianki, „Zobaczysz" Stachury (znane głównie z akustycznych wykonań zespołów od poezji śpiewanej, tutaj zaś energizujące) i (specjalnie dla „Przystanku") „I'm only sleeping" – jeden ze stu wielkich hitów Beatlesów zagrany z punkową nonszalancją.

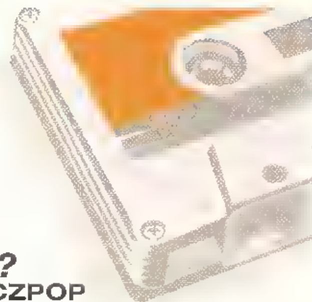
Jednym słowem – tak, znów warto kupić. W dodatkach pokaźna ilość numerów z „Woodstocku" 2002, wywiad robiony na gorąco po występie i galeria zdjęć. **flint (cs)**



END OF THE CENTURY
reż. Jim Fields, Michael Gramaglia

Jaki jest najważniejszy punkowy band wszech czasów? Sex Pistols, The Clash? A może inny, może Ramones? Nie, raczej nie, ale bez wątpienia Ramonesi to jeden z tych niewielu zespołów, których wpływu nie da się przecenić na rozwój współczesnego gitarowego grania – czy to punkowego, hardcore'owego, czy metalowego. Przedstawienie historii jednego z najbardziej zasłużonych zespołów z USA słowami samych muzyków nabiera zupełnie innego wymiaru. Zwłaszcza, gdy podczas pracy nad filmem jednego z Ramonesów już nie było wśród nas – wielkoluda Joeya odpowiedzialnego z mikrofon, zaś dwa tygodnie po skończeniu zdjęć zmarł Dee Dee. Cóż, ludzie odchodzą, pozostawiając po sobie wspomnienia i żal, że już ich się więcej nie spotka... Tak więc film jest pełen nieobecności Joeya, jego brak wypełnia dużą część filmu i jakby na tym tle opowiedziana jest historia Ramonesów. Zespołu równie wielkiego, co niedocenianego w swej ojczyźnie, do końca grającego koncerty w klubach. Jak wiele zespołów przyznających się do inspiracji Amerykanami ma obecnie konta bankowe z sześcioma zerami i przynajmniej jedynką przed nimi? Ironia losu. Jeśli dane wam będzie zobaczyć ten film, puśćcie sobie najpierw jakiś krótki song z nieśmiertelnym „one two three four" i przygotujcie się na kawał porządnej historii. Która jakiś czas temu dobiegła końca. **gad**

recenzje muzyczne





PŁYTA MIESIĄCA

LIL JOHN & THE EAST SIDE BOYZ
CRUNK JUICE
TVT RECORDS

75 minut takiej napierdalanki, że można odpaść. Ale jedziesz dalej i znowu ten shit odpalasz. Lil John zdominował ostatnio sporą część hiphopowej sceny w Stanach, każdy chce mieć jego produkcję, albo przynajmniej zaprosić go do swojego teledysku:).

Lwia część tej płyty to patent prosty, aż boli – połamane bębny, cykacze, nachalne brzmienie elektronicznych klawiszy, ostre gitarowe riffy. I do tego przemiłe słowo „motherfucker" w każdej możliwej konfiguracji, najczęściej w formie wrzasku. Ale jest w tym przeraźliwym hałasie jakaś magia, pulsacja, która każe odpalać ten krążek raz po razie. Nie ma lepszej muzy do jazdy w samochodzie, przed treningiem, przed ostrym bzykaniem. Kulminacja jest dokładnie w środku płyty, w kawałku „Stop F***in Wit Me", zbudowanym na legendarnych riffach Slayera z kawałków „South Of Heaven" i „Raining Blood" – totalnie popieprzony, genialny hardkor.

OK, ale są też momenty liryczne, takie bardziej pościelowe... Wcale nie żartuję sobie, kilka razy tempo jest zwolnione, mniej napierdalanki, więcej umiejętności i muzycznej finezji. To najczęściej przy okazji pojawiania się gości, których nie brakuje – Usher i Ludacris (pełna pościel, „Lovers And Friends", niesamowity kawałek); Nas, T. I., Bun B, Jadakiss i Ice Cube w genialnym „Grand Finale", a oprócz tego Nate Dogg, Snoop Dogg, Pharrell Williams i jeszcze kilka innych, znanych postaci. Naprawdę zacna ekipa pojawia się „w gościach".

Na osobnych kilka słów zasługują skity wykonane przez znanego komika Chrisa Rocka. Jezu, co ten gość w nich opowiada... I niech te trzy kropki na końcu poprzedniego zdania wystarczą za cały komentarz.

Sumując – proste, niezbyt wyszukane patenty plus groove i trochę pulsacyjnego funka. Opcja drwal miesza się z finezją, wszystko we właściwych proporcjach. Na początku wchodzi opornie, potem ciężko się od tego uwolnić.

W Stanach ten album cieszy się wielką popularnością od kilku ładnych miesięcy. U nas dostępny jest od jakiegoś czasu, a ponieważ przed nami karnawałowe szaleństwo, to ciężko polecić lepszą pozycję. Get Crunk! **k.**



OBCIACH?
ELEKTROKICZPOP & DRINKODISCO
POMATON EMI

Warszawskie imprezy Obciach nabrały już statusu niemal kultowego. Idea jest prosta – po spożyciu odpowiedniej dawki alkoholu, wyskakać się przy hitach lat 80. Hitach, dodajmy, dyskotekowo-popowych. Kajagoogoo, Duran Duran, Dead Or Alive, Bronski Beat, Talk Talk – to tylko kilku wykonawców, którzy pojawili się na tym „soundtracku do imprezy". Słucha się z łezką w oku, jak ktoś chodził w tamtych czasach do podstawówki, wie, o co chodzi. Młodsi mogą sobie posłuchać, żeby dojść do historycznej prawdy, że lata 80. jeżeli chodzi o muzykę popularną były naprawdę... kiczowate.



MEGADETH
THE SYSTEM HAS FAILED
SANCTUARY

Dave Munstaine wyleciał ze 20 lat temu z Metalliki, bo notorycznie się upijał i ćpał. Widocznie jednak z nałogiem dał sobie radę, bo od wielu lat jest frontmanem założonego przez siebie Megadeth. Kolejna płyta to porcja melodyjnego trashu plus kilka wstawek balladowych plus trochę dzikowania na gitarach plus zaangażowane teksty. Fani rocka na pograniczu łomotu nie powinni być rozczarowani, choć płytę tę można określić mianem „ligowego średniaka".



JA RULE
R.U.L.E.
THE INC RECORDS

Ja naprawdę nie pamiętam, która to płyta Ja Rule'a, ale mam wrażenie, że całkiem niedawno pisałem recenzję poprzedniej. I chyba się to zgadza – zachrypiony raper wydaje płyty z dość napiętą częstotliwością, co można by pochwalić, gdyby nie smutny fakt, że wszystkie te produkcje, a przynajmniej trzy ostatnie, są niemal takie same. To męczy. Ci sami goście, podobne beaty. Są jed-

newsy

Yo. Mam pytanie. Gdzie jest do cholery zima? Nie to, że jakoś specjalnie za tą porą roku przepadam, ale szczerze mówiąc, wolę zimy doświadczać w miesiącach dla niej odgórnie przeznaczonych, a nie w kwietniu czy maju, na co się obecnie zapowiada. Każdy, kto zna odpowiedź na wyżej postawione pytanie, proszony jest... nie, nie o kontakt z redakcją, ale o pilne działanie w kierunku normalizacji zaistniałej sytuacji. Wspólnymi siłami przywróćmy czym prędzej zimę, by w kwietniu móc rozkoszować się pierwszymi wiosennymi promieniami słońca zamiast brnąć przez zaspy śniegu. Jako że słowa te piszę na jakieś dziesięć dni przed tym, zanim Wy je przeczytacie, istnieje jeszcze w tym czasie możliwość zmiany warunków atmosferycznych bez potrzeby Waszej ingerencji. Czego Wam i sobie serdecznie życzę:). Pozdro!

Początek 2005 obfitował w zapowiedzi wydawnicze na najbliższy rok. Swe plany przedstawiły trzy czołowe labele na naszym hiphopowym rynku. **UMC Records**, oprócz wspomnianej nieco dalej płyty Endefisu, planuje wydać nowe albumy Meza („Wyjście Z Bloków" – luty), nowej grupy współpracującej z labelem – Verba („Ósmy Marca" – marzec), Jeden Osiem L (kwiecień), Asceloholix, Ciszy i Spokoju (maj), 52 Dębiec (czerwiec), Owala (wrzesień) i Libera (październik).

Wielkie Joł wydaje solówkę Gurala „Drewnianej Małpy Rock", o której pisałem miesiąc temu (styczeń), soundtrack do festiwalu „12 Ławek" (luty; na płycie Tede, Numer, Analogia, Sistars, O.S.T.R., Rufin MC i inni). Planowane jest ponadto wydanie między innymi dancehallowego Dreadsquadu, nowego w stajni Wielkiego Joł zespołu Kameral oraz kolejnej płyty duetu WSZ & CNE.

Prosto szykuje się do odkładanej premiery krążka duetu Małolat/Ajron „W Pogoni Za Lepszej Jakości Życiem", w lutym ma ujrzeć światło dzienne nowy mixtape DJ'a Deszczu Strugi, w marcu – wspólny materiał Jurasa i Wigora, a ponadto na 2005 rok szykowane są nowe albumy WWO, Pono oraz płyta producencka Kuby O.

Głośna sprawa dotycząca bezprawnego wykorzystania fragmentów utworu „Błaganie" zespołu Fatum przez **Ajrona** w jego remiksie numeru „Nie Jestem Dawno" z płyty „Muzyka Poważna" duetu **Pezet/Noon** znalazła rozwiązanie. Zainteresowane strony wydały oświadczenie, w którym informują o porozumieniu. Piszą m.in.: „Wyrażamy nadzieję, że zaistniała sytuacja może stać się początkiem bliższej współpracy. Konflikt nie był spowodowany złą wolą żadnej ze stron". Całe szczęście, że sprawa nie zakończyła się na sali sądowej.

Niebawem spodziewać się możemy nowej płyty **Vienia i Pelego**. Będzie to zakończenie trylogii „Autentyk". Na albumie ma się znaleźć siedem premierowych utworów oraz nowe wersje czterech numerów z poprzednich płyt duetu. Na „Autentyku III" gościnnie pojawią się WWO i Eis. Utwór promujący wydawnictwo nosi tytuł „To Jest Mój Hardkor".



Slums Attack, czyli Peja i DJ Decks, wydają 24 stycznia album zatytułowany „Najlepszą Obroną Jest... Atak". Oprócz Decksa, za warstwę muzyczną odpowiadają m.in. Magiera, Tabb i Doniu. Warstwę wokalną niemal zmonopolizował Peja, który do współpracy zaprosił jedynie Glacę ze Sweet Noise.

Label Embargo Nagrania pozyskał w swe szeregi ekipę **2cztery7**. Mes, Pjus i Stasiak podpisali długoletni kontrakt, zatem możemy niebawem spodziewać się debiutanckiego materiału zespołu. Ma się on ukazać wiosną. Do tej pory skład pojawiał się w licznych gościnnych występach, patrz choćby ostatnia składanka Volta.

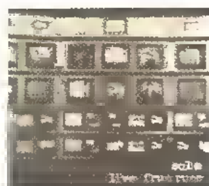
30 stycznia nakładem UMC Records ukaże się drugi album ekipy **Endefis** w składzie Bartosz, Miexon i 1z2. Zatytułowany będzie „Być Albo Nie Być", a promować ma go numer „Nie Chcę Być Sam". Na płycie gościnnie rymują O.S.T.R. i Fenomen, produkcje pochodzą m.in. od Kociołka i Mazsy, a za skrecze odpowiada DJ Kostek.

nak dwa plusy tej płyty – Ashanti pojawia się tylko raz, w całkiem zresztą niezłym kawałku „Wonderful", w którym śpiewa też R. Kelly, natomiast drugi plus to znakomity utwór „New York" z gościnnym udziałem Jadakissa i Fat Joe. Kozacka produkcja Cool & Dre, dobrze przewinięte partie wszystkich raperów – jeden z tajniejszych kawałków o Nowym Jorku, a przecież powstało ich do tej pory mnóstwo. Reszta? No cóż, jak ktoś lubi nowoczesne gówno zza Oceanu, będzie zadowolony, choć na pewno nie zachwycony. Spokojnie, za kilka miesięcy Ja Rule nagra pewnie kolejną płytę, może będzie lepsza? k



PEDESTRIAN
UNINDIAN SONGS VOL 1
ANTICON

Obok produkcji Anticonu nie da się przejść obojętnie, to rap zawsze frapujący, zaskakujący, odbiegający od ogólnej normy gatunku przyjętej i chętnie przyjmowanej przez masy. Ktoś to jakiś czas temu nazwał... emo-hop. Zresztą, nieistotne. Produkcja, którą właśnie opisuję, to jedna z najdziwniejszych płyt, jakie w życiu słyszałem. Chaos jest chyba najlepszym określeniem... Przedziwny zlepek gatunków, ukłony w stronę hiphopowego oldskulu pomieszane z muzyką alternatywną, quasijazzowe kolaże wymieszane z progresywnym popem, a wszystko to tak pokręcone, pomieszane, podzielone, że ciężko choć na moment przy tej płycie odetchnąć, czy choćby złapać właściwy kierunek. Taki zapewne był zamysł, z drugiej jednak strony – ile osób jest w stanie coś takiego znieść? Gdy jednak znajdzie się osoba na tyle opanowana i cierpliwa, z pewnością sporo wyniesie ze słuchania tej płyty. Przede wszystkim to, że w hip-hopie naprawdę nie ma ograniczeń. k.



SOLE
LIVE FROM ROME
ANTICON

Pokręcony humor, przedziwne refleksje, niepokojący flow, beaty, które w wielkim myślowym skrócie można by nazwać alternatywnymi dla tego wszystkiego, co od lat dzieje się w hip-hopie. Na tych połamanych beatach, w przebasowanym, przydymionym aranżu swoje myśli prezentuje jeden z najciekawszych emcee ostatnich lat; emcee, który z pewnością nigdy nie sprzeda miliona płyt, na co pewnie zresztą nie miałby ochoty. Chyba trzy lata temu ukazała się jego druga płyta, Live Selling Water, i słychać, że od tego czasu Sole sporo zmienił w swoim rapie. To przede wszystkim większy dystans (może nawet humor, choć ciężki...), spokojniejszy sposób rymowania (choć daleki od określenia spokojny, z pewnością), trochę bardziej urozmaicone aranżacje. Rzecz warta przesłuchania choćby z tego powodu, że często nie zdarza się spotkać emcee tak charyzmatycznego i momentami zupełnie nieobliczalnego. Możesz się domyślać, ale tak naprawdę nie wiesz, co będzie działo się na następnym tracku. k.



O$KA
PRZEZ $ JAK...
CAMEY STUDIO

O beatach O$ki można mówić wiele. Twórczy nie był nigdy, po „K2" jego sampling przekraczał wszelkie granice bezczelności, zaś syntetyczny minimalizm wspinał się na wyżyny barbarzyństwa. Miał jednak warszawiak zawsze jeden dar, których próżno szukać u innych – przebojowość. Każdy jego album generował hit. Albo nawet parę.

Ta pozycja pod tym względem nie jest inna. Pierwsze przesłuchanie płyty i wiadomo „Bezele kochanie" będą królować – nawet jeśli nie w klubach i rozgłośniach, to na domówkach. Najbardziej chwytliwy numer 2004. A czy taki Kiełbasa umie rymować, to odrębna kwestia. Ważne, że Tede umie jak mało kto. „W tych klubach" również buja tyłkiem, nawet Teka wydaje się OK, zanim nie zaczyna żonglować dużą ilością nazw własnych i w przeciągu trzech sekund i nie porównuje dziewczyny do Chow Chowa i Tweety'ego.

O dziwo nie chodzi tylko o nutę na parkiet. W numerach splatają się soulowe inklinacje z agresywnym plastikiem, tracki są wreszcie ciekawie poaranżowane. Ciężki, nieco chaotyczny „Czas to zmienić" z Pezetem i Stasiakiem jest ostatecznym dowodem na to, że O$kę jednak stać na sporo. „Przez $ jak..." ma też jeszcze jedną zaletę, brzmienie albumu ludzi, którym frajdę sprawia robienie czegoś wspólnie i po koleżeńsku. Beztroska Jano i Stasiaka z miejsca budzi sympatię, Mes pojechał autentycznie, z polotem i wdziękiem, lirycznie zacięcie Pjusa robi wrażenie.

Najlepsza w karierze, przyjazna uchu, wyważona pozycja. Oczywiście można się spinać, że niektórzy dali kawałki ze swoich płyt, że w podkładach są jednak zapożyczenia, że Nowator zasługuje najwyżej na trzy znaki przestankowe komentarza (...) i dopchano go na siłę. Ale po co, skoro to zupełnie udany album. **flint (cs)**



FRONTSIDE
ZMIERZCH BOGÓW
MYSTIC PRODUCTION

Z nowym wokalistą i nową energią Frontside nagrał świetną płytę, na której udanie zbratał deathmetalowy ciężar z hardcore'ową motoryką. Każda z jedenastu długich, rozbudowanych kompozycji, które znalazły się na „Zmierzchu bogów" poraża brutalnym brzmieniem, zachowując jednak odpowiednią szybkość i precyzję wykonania. Ciągle coś dzieje się w tej muzyce i co raz to można poczuć się zaskoczonym przez bardziej melodyjny fragment lub obłąkaną gitarową solówkę. Dodać należy, iż album jest bardzo dobrze nagrany i nie sposób doczepić się do jego brzmienia. Równie przytłaczające co muzyka „pięciu chłopaków z piekła", jak onegdaj sami się anonsowali, są teksty i podporządkowana im szata graficzna płyty. Warto obejrzeć efektowny booklet dołączony do kompaktu – naprawdę robi wrażenie. Niebawem „Zmierzch bogów" ma doczekać się anglojęzycznej edycji z przeznaczeniem na zachodnie rynki. Jak najbardziej zasłużenie, bo to solidny produkt eksportowy polskiej sceny... metalowej? Hardcore'owej? Wszystko jedno, bo Frontside zdecydowanie wyrasta ponad subkulturowe podziały. **/SBTN/**



YING YANG TWINS
MY BROTHER & ME
TVT RECORDS

Sukces Lil Johna zwrócił większą uwagę na innych zawodników z wytwórni TVT. Ying Yang Twins to bliźniaki ze złotymi zębami, uprawiają południowe klimaty, a ta płyta to zbiór jakichś przedziwnych remiksów, sporo gości i dvd w bonusie. Ogólnie trzeba być ostrym fanem southklimatów, żeby słuchać tego częściej, niż raz... do roku. Ale jak już ktoś musi, to niech zwróci uwagę szczególnie ze względu na gości – Juvenile, Murphy Lee, Fatman Scoop, Wyclef i Fat Joe między innymi.



GENERAL PATTON VS. THE X-ECUTIONERS
IPECAC RECORDINGS

Mike Patton, szerszej publiczności znany przede wszystkim jako były frontman Faith No More, nieustannie poszukuje nowych muzycznych możliwości, nowych wyzwań i inspiracji. Nierzadko nawiązuje współpracę z hiphopowcami i choć efekty tego są różne (od intersującego Lovage, które stworzył z Danem the Automatorem, po ciężko

---

No i mamy oficjalnie podaną przyczynę śmierci **Ol' Dirty Bastarda**. Otóż była ona efektem działania kokainy i środka przeciwbólowego zwanego Tramadolem. Lek ów może być uzależniający, stąd podejrzenie, że ODB mógł zażywać go nieco częściej... Potwierdza się w tym przypadku starogermańskie przysłowie brzmiące: „Zażywasz – przegrywasz":\.



Jedna z najbardziej charakterystycznych postaci hip-hopu, **Flava Flav** z Public Enemy, szykuje się do wydania solówki. Ostatnio popularność rapera wzrosła dzięki jego występom w reality show z Brigitte Nielsen. Wiadomo, że na płycie gościć będą The Beatnuts, a niebawem ma ukazać się pierwszy singiel. Flav oznajmił, że chce wydać album własnym sumptem, a ponadto przyznał, że trwają prace nad nowym materiałem Public Enemy.

Marzec to najbardziej prawdopodobna data wydania drugiego albumu **Stylesa P.** Materiał zatytułowany będzie „Time Is Money", a raper zapowiada rozszerzenie swego repertuaru, który dotychczas ograniczał się do opisywania morderstw, gwałtów i innych uroków życia na ulicy. Chwalebne, doprawdy. Do współpracy Styles zaprosił m.in. Taliba Kweliego, Havoka, Scotta Storcha oraz Alchemista, który wyprodukuje pierwszy singiel z albumu, „I'm Back".



Big Boi, połowa duetu Outkast, jest założycielem nowej wytwórni o nazwie Purple Label. Podpisano już umowę dystrybucyjną z gigantem Virgin Records, a ostatnio do składu labela dołączył nie kto inny jak **Bubba Sparxxx** (na zdjęciu), pochodzący tak jak Outkast z Georgii. Pierwsze dwa albumy Sparxxx wydał pod skrzydłami Timbalanda w Beat Club. Kiedy ukaże się jego kolejne wydawnictwo, na razie nie wiadomo.

Szykuje się pracowity rok dla **Guru**. Właśnie założył on nowy label o nazwie 7 Grand, którego nakładem planuje w kwietniu wydać krążek zatytułowany „Guru 7.0". Również w 2005 ma ukazać się kolejna płyta z cyklu „Jazzmatazz", ale w tym przypadku data nie jest jeszcze znana. Guru zdementował ponadto pogłoski o rzekomym rozpadzie Gangstarra mówiąc, że on i Premier są wciąż przyjaciółmi.

Zaraz po objęciu przez Jaya-Z funkcji szefa Island Def Jam odejście z szeregów wytwórni zapowiedział inny raper, **Cam'ron**. Cam ma w kontrakcie wpisany obowiązek na-

przyswajalne eksperymenty z Rahzelem), to odwagi i pomysłowości odmówić mu nie można. W ubiegłym roku Patton wszedł do studia z X-ecutioners, a efektem ich współpracy jest wydana na początku 2005 płyta. Album dziwny, zaskakujący, a przede wszystkim bardzo dobry.

Niewątpliwie na zawartości płyty najsilniej odcisnęła się osobowość Pattona. Już sam tytuł podpowiada, że to on miał tu najwięcej do powiedzenia: generał Patton rządzi i dzieli, odpowiedzialny za większość instrumentów i wokale. Ale bez obaw, Rob Swift, Roc Raida i Total Eclipse również mają niezliczone okazje, żeby pokazać, co potrafią.

Chwilami album przypomina schizofreniczną podróż przez rozmaite muzyczne klimaty. Utwory są krótkie, w większości czysto instrumentalne (Patton śpiewa rzadko, ale jeśli już, to udowadnia, że potrafi robić z głosem naprawdę fajne rzeczy), poprzeplatane licznymi cytatami z filmów. Żywe instrumenty, dużo dziwnych dźwięków i oczywiście gramofony, które czasami wysuwają się na pierwszy plan, czasem zaś ustępują pola popisom muzycznej wyobraźni Pattona. Chwilami można się zagubić, gdy utwory zmieniają się jak w kalejdoskopie, gdy wsłuchujemy się w kolejne zmiany tempa i nastroju. Czasem wydaje się, że – jak sugeruje militarno – logistyczny opis płyty – Patton i X-ecutioners toczą muzyczną wojnę na wyniszczenie. Jednak po kolejnym przesłuchaniu z pozornego chaosu wyłania się przemyślana, spójna i frapująca całość, gdzie każdy dźwięk i każde słowo mają swoje miejsce. Z tej walki obie strony wychodzą zwycięsko. (jd)



FABOLOUS
REAL TALK
DESERT STORM / ATLANTIC

Singiel promujący tę płytę, „Breathe", to jeden z lepszych kawałków, jakie ukazały się w 2004 roku. Można było więc mieć nadzieję, że cała płyta nie zawiedzie i będzie dla Fabolousa w końcu jakimś krokiem do przodu. Nic z tego jednak, reszta kawałków może nie zawodzi, ale z pewnością nie są to produkcje zdecydowanie lepsze od tego, co zwykle serwuje nam amerykański rynek. F. chce być raperem eklektycznym, serwuje i hardkory, i chille, i techniczne przewijki. Trochę się w tym gubi, a momentami aż za dobrze można usłyszeć inspiracje Nasem, Jayem-Z, LL Cool J'em. Nie to, że ksero, ale koleś ma zdecydowanie problem ze zdefiniowaniem swojego stylu. A to już chyba trzecia płyta? No, to robi się późno. Standardowi w Stanach goście, czyli Pharrell, Nate Dogg i Sean Paul nie wnoszą na płytę nic specjalnie ciekawego, ot, featuringowa rutyna za kilka dolców. Ciekawy jest natomiast feat w kawałku „Church", gdzie Charlie Murphy z gospelowym zacięciem chatuje, a sam utwór ma nawet ciekawą wibrację. Sumując, poprawny album ze świetnym singlem, ale bez żadnych uniesień. k.



GWEN STEFANI
LOVE. MUSIC. ANGEL. BABY.
INTERSCOPE

Ten album był zapowiadany jako wydarzenie roku, a elektryzujący singiel „What You Waiting For?" stanowił nawet ciekawe interludium do... No właśnie, do czego? Wokalistka No Doubt chciała chyba udowodnić całemu światu, że świetnie czuje się w każdej możliwej formie wokalnej ekspresji. I rock, i r'n'b, i pop, i eksperymenty, i wczuwkowa ballada. Wszystko wymieszane, perfekcyjnie zaaranżowane, ściągnięci znakomici producenci – Dr. Dre, Neptunes, Dallas Austin, Andre 3000 z Outkastu. I wszystko byłoby piękne, gdyby to się jakoś układało w całość, może nie logiczną, ale przynajmniej spójną do tego stopnia, żeby można było przesłuchać tej płyty w jednym rzucie, bez skipowania na poszczególne numery. Nie udaje się, przynajmniej mnie. A szkoda, bo Stefani w poszczególnych utworach udowadnia, że bez wątpienia jest wokalistką o niezwykłej ekspresji. Świetnie prezentuje się w plastikowym, popowym „Crash", zdecydowanie brzmi w rytmicznym „Bubble Pop Electric", a jej współpraca z Andre 3000 w „Long Way To Go" to z pewnością jeden z najciekawszych duetów, jakie zdarzyło mi się ostatnio słyszeć. Jest więc dużo wszystkiego, dużo dobrego, dużo... Za dużo. Czasami, jak chce się udowodnić światu swoją wszechstronność, wychodzą właśnie takie płyty – niby wszystko gra, ale pozostaje ale. k.



TWORZYWO SZTUCZNE
NA RZYWO W MÓZGU
ASFALT RECORDS

Zapis koncertu, jaki Tworzywo dało w maju ubiegłego roku w bydgoskim klubie Mózg. Ciężko opisać płytę koncertową, zwłaszcza tak niezwykłą, jak ta. Znane z albumów studyjnych utwory nabierają tu zupełnie nowego wymiaru, wspaniale czarują swoją pulsacją, w kilku przypadkach – „Rozmyty" czy „Narkotyk" – wręcz zyskują. Fisz udowadnia, że podczas koncertu potrafi być niezwykle ekspresyjnym, zdecydowanym frontmanem, ciekawie rozwija swoje wokale, nie boi się improwizacji. No i zespół – muzycy przez wielkie M, ze wskazaniem na Emade, którego poznajemy tu jako bardzo ciekawie grającego perkusistę o jazzowym zacięciu. Wyjątkowa płyta.



TYMI/ŻÓŁTY
ZNAMIĘ DOSKONAŁOŚCI
RRX/TIW LABEL

Pierwsza reakcja na rymy: „O, dobry stary Tymi". Druga: „Cholera, to dobry stary Tymi, ale minęło jednak parę lat". Mało kto tak umie scharakteryzować kobietę, rzadko kiedy słowa dobrane są tak precyzyjnie – chciałoby się jednak innowacji warsztatu, czegokolwiek zaskakującego w intonacji, ułożeniu wersów.

Twórczość Żółtego nie kojarzy się z plastikowym hip-hopem ze Stanów. Syntetyka + flirt z breakbeatem, a więc może bliżej tego, co dzieje się teraz w Anglii? Też nie. To złożona muzyka elektroniczna, która nawet w kwestiach realizacyjnych ma nie po drodze z hip-hopem. I tu jest pewien problem – Tymi potrafi zarymować w „Gniewie" (i o gniewie) „z nim przez życie jak przez morze dzieci Izraela", ma więcej świetnych metafor, bez wątpienia jest raperem inteligentnym, ale przy tym prostym i surowym. Przydałby mu się silniej zaakcentowany rytm, muzyka bardziej zwarta, mniej rozmyta, która napędzałaby go (jak dzieje się np. w udanym „Tu"), nie zaś pełniła rolę dźwiękowej ilustracji. O dziwo, tempa nie podkręcają ani gitary Kobranocki, ani śpiew Lerka, może szczyptą pieprzu jest zajebisty występ Komy... „Znamię doskonałości" brzmi dobrze, ale bardziej jak album z remiksami, niż powstająca miesiącami, wspólnym nakładem sił, rzecz. A tak było przecież z białostocko-toruńską produkcją.

Nie neguję perfekcjonizmu obu panów, czasem tworzy to bardzo zgrabną całość, jak najbardziej chyba drum'n'bassowe (chodzi o pogodny d'n'b) „Niby tak samo, niby ten sam", ale często pozostawia też mieszane uczucia. Nie ma co zarzucić, ale trudno się oswoić. flint (cs)

---

grania jeszcze trzech albumów dla tegoż labela. W początkowych wypowiedziach dla radia Cam stwierdził, że został zwolniony z tego kontraktu przez LA Reida, poprzedniego szefa labela. Póki co jednak, oficjalnie wciąż jest członkiem Island Def Jam. Cam'ron nie pała zbytnią sympatią do Jaya: „Nie ma między nami beefu, ale wolę pracować z ludźmi, z którymi mam lepsze stosunki".



Głośny beef między **Eminemem** a wydawcami magazynu The Source, Rayem Benzino i Davidem Maysem, zaszedł już bardzo daleko, bo na salę sądową. Przedmiotem procesu będzie spór dotyczący wydania przez pismo dwóch bardzo wczesnych freestyle'ów Ema, w których wyraża się on, hmm... powiedzmy, niepochlebnie o czarnych kobietach. Eminem nie skomentował tego wydarzenia, zaś Benzino i Mays twierdzą, iż prowadzą walkę o wolność prasy.

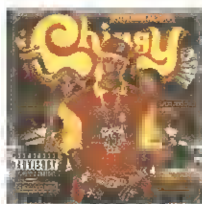
Złe wieści dla wytwórców **hiphopowych ciuchów**. Na razie na szczęście tylko w USA. Otóż, w 2004 roku nastąpił spory spadek sprzedaży tego typu ubrań w największych amerykańskich sieciach handlowych. Jest to zaskakujące, biorąc pod uwagę, że wcześniej sprzedaż ta rosła w dość szybkim tempie. Obecnie jednak np. dochody Fubu w porównaniu z rokiem 2001 spadły o trzy czwarte! Marki takie jak Akademiks czy Enyce zostały wycofane z dużych sieci, a i pozostałe firmy borykają się z problemem spadku sprzedaży.

Loon opuszcza label Bad Boy Entertainment i zakłada swój własny – pod nazwą Boss Up Entertainment. Główną przyczyną tego ruchu jest chęć rapera do pracy na swe własne konto. W Bad Boy Loon stał grzecznie w cieniu P. Diddy'ego, co mu się jednak znudziło i postanowił działać na własną rękę. Dotychczasowy szef nie miał zaś nic przeciwko. „Nie chcę być niczyim artystą. Z wiedzą, którą posiadam, byłbym głupcem podpisując po prostu kolejny kontrakt."



Snoop Dogg zagra główną rolę w filmie „Boss N Up", do którego zdjęcia właśnie się rozpoczęły. Jego partnerami na planie będą między innymi Lil' Jon oraz Trina. Raper ponadto został ostatnio poddany krytyce przez nowojorskich polityków, zarzucających mu popularyzację narkotyków wśród dzieci i młodzieży poprzez wydanie serii słodyczy o smaku marihuany, Chronic Candy. Lizaki i cukierki oczywiście THC nie zawierają, chodzi o sam fakt i idące za nim przesłanie. Ciekawostką jest fakt, że Snoopowi partneruje w tym przedsięwzięciu Paris Hilton.

Nowy album **50 Centa** zatytułowany będzie „St. Valentine's Day Massacre" i ukazać się miał – zgodnie z tytułem – dzień po Walentynkach. Wyszła lipa, bo nowa data premiery to teraz 8 marca. Możliwość zmiany tytułu na związany z obchodzonym wtedy u nas Dniem Kobiet odpada, bo Amerykanie jakoś go niespecjalnie świętują... Fifty nie jest tym chyba specjalnie zmartwiony, bo płyta i tak się sprzeda, a on będzie miał szansę na pobicie swego wyniku z roku 2004, kiedy to do jego portfela wpadło 50 milionów dolarów. Duuuży to portfel musi być, nieprawdaż?



CHINGY
POWERBALLIN'
CAPITOL

Najbardziej błyszczący player młodego pokolenia. Dużo złota, dużo „put your ass on the floor", sapania, płucia i zielonej od dolarów pulsacji cykaczy. No, nawet da się tego posłuchać, byle nie za dużo i nie za często. Świetnie brzmi „Balla Baby", choć producent Lil' Mack nieco chyba przesadził z kserowaniem Dr. Dre... Ciekawie brzmi współpraca Chingy'ego z Janet Jackson w „Don't Worry", niezły jest imprezowy „We Clubbin'", nic ciekawego nie zaprezentował R. Kelly w „Leave Wit Me". Ale i tak pierwszą nagrodę, choć tylko za tytuł, przyznaję utworowi „Make That Ass Talk"...



JACKIE-O
POE LITTLE RICH GIRL
TVT RECORDS

Zakładam, że Jackie-O ma ambicję być południową Lil' Kim. To uwaga, która nasuwa się po bliższym przyjrzeniu się jej stilo. Jeżeli chodzi o stilo wokalne, to dziewczyna nawet nieźle sobie radzi, kilka razy przewijając na tej płycie całkiem konkretnie. Ogólnie jednak nie mamy do czynienia z jakimś specjalnym przełomem w kobiecym rapie, raczej mocna średnia. Sporo gości, wśród których wyróżnia się wokalistka o pseudonimie O'Damia. Pojawiają się też Ying Yang Twinz, Trick Daddy, a także sam Ghostface. Zwolennicy kobiecego rapu i klimatów Południa nie będą rozczarowani.



SNOOP DOGG
R&G (RHYTM & GANGSTA) - THE MASTERPIECE
DOGGY STYLE / STAR TRAK

Intro do tej płyty rzeczywiście zasługuje na określenie „masterpiece", podobnie jak lansowany od kilku miesięcy do bólu, acz genialny „Drop It Like It's Hot" z Pharrellem. Niesamowity jest też ciężki „Can I Get A Flicc Witchu" z Bootsy Collinsem. Potem niestety nie jest już tak dobrze. Dużo różnych klimatów, często wnoszą je goście, m.in. Lil Jon, Nelly czy Justin Timberlake, wszystko to czyściutko, wspaniale wyprodukowane, no, ale w końcu na to właśnie można było liczyć po przejściu Snoopa do wytwórni Neptunesów. A jednak album porywa tylko momentami, Snoop nie potrafi wykrzesać z siebie takiej mocy, jak choćby na poprzedniej płycie, że o dawnych czasach (tych przed współpracą z Masterem P) nie wspomnę. Jak się ma tak znakomity patent na flow, to z czasem może się odechcieć poszukiwań, to można zrozumieć. Ale nie usprawiedliwić, zwłaszcza, jeżeli jeden z najważniejszych wykonawców w rapowym biznesie momentami brzmi zupełnie bez ikry i przekonania, tak jakby rymował, bo musi. Nie w tym przecież rzecz, a Snoop zawsze był znany z tego, że choć „lay back", to jednak była w tym niesamowita moc. Dziwna płyta, perełki przemieszane z banalnymi kawałeczkami. k.



Ras Kass właśnie wyszedł z kalifornijskiego więzienia, gdzie spędził ostatnie dwa lata po skazaniu za jazdę po pijanemu (ściśle rzecz ujmując – trzykrotną). Obecnie raper ma w planach występy na mixtape'ach oraz nagranie całego albumu, najpierw jednak musi wygrać sprawę sądową przeciwko swej dotychczasowej wytwórni, Priority Records. Ras Kass chce zerwać kontrakt twierdząc, że label nie wywiązywał się z niego. Emce pali się tymczasem do nagrywania – w więzieniu napisał około stu nowych numerów.

Capone wydaje 26 kwietnia swój pierwszy solowy album. Dotychczas w duecie z Noreagą nagrał dwie płyty, z których pierwsza ukazała się aż osiem lat temu. Wydawnictwo zatytułowane będzie „Time, Pain & Glory", a gościć będą na nim Akon, Noreaga, Fat Joe i Raekwon. Capone wyda album w swym własnym labelu Pain Time Glory Enterprises, a dystrybucją zajmie się Koch Records.

22 marca to data premiery płyty składu firmowanego przez znanego producenta Nottza, DMP. Album ma prostą i wyjaśniającą wszystko nazwę „Nottz Presents DMP". Oczywiście całością produkcji zajmie się sam Nottz, zaś gościnnie pojawią się Krumbsnatcha, Petey Pablo, Canibus i Royce Da 5'9. Płytę wyda label Teamstas, należący do... zgadliście, Nottza:).



2PAC
LIVE
DEATH ROW RECORDS

Jest to z pewnością album niezwykły. Przede wszystkim z tego powodu, że momentami nic nie słychać, a kawałki Paca można rozpoznać tylko po tytułach. Suge Knight próbuje jeszcze zarobić parę groszy na rapie i famie zmarłego artysty, dlatego pewnie puścił taką minę na rynek. Bo jest to mina – fatalna jakość nagrania, w żaden sposób niewyczyszczona, świadczy jak najgorzej o 2Pacu, jako artyście koncertowym. Jedyny ciekawy motyw to chyba pierwsze koncertowe wykonanie kawałka „Troublesome", poświęconego przeciwnikom artysty (Mobb Deep, Nas, ekipa z Bad Boy), z odpowiednim komentarzem. Pomimo tej ciekawostki, płyta ta to kolejny przykry dowód na to, że w biznesie po prostu nie ma szacunku. Fani Tupaca Shakura poprzez szacunek dla niego powinni trzymać się od tej płyty z daleka, bo jest to kolejna ordynarna próba „zarobienia na marce". k.



MAŁY ESZ ESZ
BEZ ZABEZPIECZEŃ
FONOGRAFIKA

Płyta niespokojnych, twórczych osobowości. Od przemyśleń o stołecznej martyrologii, przeskakujemy do tego, o czym dziewczynki nie mówią mamie, w międzyczasie zastanawiając się razem z gospodarzem, gdzie podział się twardy dysk z jego głowy (to akurat coś dla fanów Fisza). Od „Żołądkowej Gorzkiej" na ursynowskiej ławce uciekamy do zagadek (co mówią „francuskie usta"? Nie wiem, ale rap w tym numerze jest rozedrgany, jęczący, mało płynny), rozważań politycznych i społecznych, czy też studium ludzkiej zawiści. Muzycznie jest równie barwnie. Szogun (główny producent) ewoluował, zwiększyły się jego umiejętności, wyrobił się smak. Jego beaty nieco kontrastują z Małym, potrafią być zimne, odległe, przestrzenne za sprawą po nakładanych pogłosów, niecodzienne dzięki specyficznemu graniu samplami i zaskakującym brzmieniom perkusji, czasem bliższe upalonemu, niespiesznemu jazzowi, czasem melancholijne. Deejay Delta daje świetne breakbeaty, Malin i Polej zapewniają klasyczny posmak, Bit Bru zaś żywiołowość. Karolina Grygołowicz śpiewa z wyczuciem, w przyzwoitej formie jest DJ Grubaz.

W refleksjach dominuje dystans i dojrzałość. Forma sugeruje warszawską szkołę artykulacji. Raper wnosi do niej stonowanie, dużą dbałość o wers i własną, charakterystyczną intonację. Najatrakcyjniej prezentują się utwory takie jak „W bezruchu" i bardzo osobisty bonus track, gdzie emocjonalne linijki podane są na beat miękko, z dużą ilością ciepła, co na naszej scenie wciąż jest novum. Jednak nie dajcie się zwieść, jest tu również miejsce na odrobinę brawury i błyskotliwą uszczypliwość manifestowaną wersami takimi jak: „Pieścisz mój umysł jak 'Mind Sex' Dead Prez / mówię jej to nawet po kiepskim seksie".

„Bez zabezpieczeń" odurza. Dzięki tej płycie ziemia kręci się nieco wolniej, zarazem stając się przyjemniejszym, ciekawszym miejscem. Świetny debiut, a zarazem kandydat do płyty roku. Obowiązkowo. Może i wy zaczniecie „chodzić jakbyście tańczyli". flint (cs)



PIDŻAMA PORNO
BUŁGARSKIE CENTRUM
S.P. RECORDS

Pidżama Porno to w sumie taki dziwny zespół. Albo się go lubi, ten prosty punk rock, nieraz niebezpiecznie flirtujący z piosenką ogniskową, te proste, choć częstokroć głębokie i przejmujące teksty Grabaża. Albo po prostu nie. I nic człowieka nie jest w stanie przekonać do zmiany zdania. Ja – na swoje szczęście, bądź nieszczęście – należę do grupy pierwszej. Ale z drugiej strony własnego zdania nie należy zmieniać za często i dlatego tak właśnie lubię Pidżamę. Że mają swój styl i nie zamierzają go wcale zmieniać. Cóż właściwie można powiedzieć o „Bułgarskim centrum"? Ano to, że dostaliśmy kolejną porcję pidżamowych hiciorów, w jak najlepszym pidżamowym stylu! Jest więc romantycznie i smutno („Nikt tak pięknie nie mówił, że boi się miłości"), jest troszkę gniewnie („Wirtualni chłopcy", „Egzystencjalny paw", oraz kawałek tytułowy), jest poetycko („Józef K."), jest „coverowo", czyli „Wódka" Kultu i „Rockin' In The Free World" Neila Younga (respekt). Jak już wspomniałem, Pidżamka to nie tylko muzyka, ale i teksty Grabaża. Kiedyś był „Ezoteryczny Poznań" i „Poznańskie dziewczęta", teraz „Kat kotów ma oczy zielone": „Chcesz więcej niż dziś mogę tobie dać, Pieprzone więcej!, Powiem więcej: WIĘCEJ NIE MAM, Moje dni mam już policzone, Czekam aż świat zazieleni się na śmierć". Proste, ale nie prostackie. Tylko, skąd on to, do cholery, wie? To tyle powrotów do przeszłości. Kupcie tę płytę, słuchajcie textów Grabaża i chodźcie na koncerty Pidżamy. Bo przyjdą goście z bułgarskiego centrum i zrobią to, co robią najlepiej. gad



ALEXISONFIRE
WATCH OUT!
EQUAL VISION

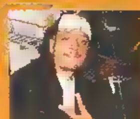
Pierwszą płytą chłopaków z Alexis byłem zachwycony – niby nic, zwykłe gitarowe granie, czasem ostro, czasem melodyjnie, czasem odrobinę melancholijnie, czasem gniewnie. Ot, kolejny amerykański zespół łączący lekkie, alternatywne, college'owe granie z emo, hard core'em, czy nawet metalowymi riffami. Ale coś było w tej muzyce, że człowiek chciał jej słuchać na okrągło. Minął już chyba rok – albo więcej – a ja wciąż nie mam dość takich kawałków jak: „Waterwings", „Where No One Knows", czy „Jubella". Aż tu pewnego pięknego dnia wpadł w moje łapska drugi album Amerykanów. I… zgrzyt, coś nie tak, brzmienie jakieś płaskie, wokale jakby gdzieś z tyłu i wszystko takie delikatne. Płytę odłożyłem na półkę i wróciłem do starych kawałków Alexis. Ale coś tam w środku mówiło, daj im jeszcze jedną szansę, posłuchaj spokojnie (o maj god! Słuchać Alexisonfire spokojnie?!), to co, że „Watch Out!" sprawia wrażenie o wiele spokojniejszej? Jakby dla zachęty zobaczyłem w jakiejś muzycznej „tiwi" teledysk do utworu „Accidents" promujący ten album. I wtedy wszystko stało się jasne – szybciutko rączka powędrowała na półkę z płytami, rękawem bluzy został starty kurz i do odtwarzacza. Tak! Zdecydowanie „Watch Out!" jest o wiele spokojniejszy, bardziej, hm, melancholijny, stonowany, jest w nim o wiele więcej melodii, George Pettit już nie zdziera tak bardzo gardła dając większe pole do popisu drugiemu wokaliście i gitarzyście Dallasowi Greenowi. Ale to wciąż jest Alexisonfire, zespół pełen emocji, uczuć wylewających się z każdej sekundy ich grania, to wciąż ich charakterystyczne riffy, kompozycje. A że melodyjniej, smutniej? Jakie to ma znaczenie? To po prostu DOBRA MUZYKA. gad



EYE FOR AN EYE
DYSTANS
PASAŻER

Kiczowata okładka może zniechęcać od kontaktu z płytowym debiutem formacji z Bielska-Białej, ale muzyczna zawartość krążka zdecydowanie się broni. „Dystans" to konkretna pigułka wypełniona nośnym, melodyjnym HC / punkiem w streetowym wydaniu. Atuty bielszczan to niezły kobiecy wokal, gromkie chórki i mocne riffy. Pomyślcie o nowszych, bardziej punkowych wcieleniach Sick Of It All i Agnostic Front, wspartych żeńskim głosem, a będziecie na właściwym tropie. Swoją drogą wpływy AF stają się momentami aż niepokojące, bo np. refren „Krzyczymy" jest niemal klonem tego z „Police State" Agnostyków.

Teksty EFEA miały być chyba proste i komunikatywne, ale wyszły raczej sztampowo i nie mogę powiedzieć, by mnie przekonywały. Bogu jednak dzięki, że nie opiewają wątpliwych uroków ulicznego życia w wielkim mieście w niskiej klasie, co stało się nieszczęsnym standardem w podobnej konwencji. Nie wyróżniam żadnego z czternastu utworów grupy, bo wszystkie trzymają wysoki poziom (niemniej na swoje pierwsze hymny EFEA musi jeszcze poczekać). „Dystans" jest solidną płytą stylowej grupy, której już teraz zamierzam kibicować. /SBTN/



Chali 2na z Jurrasic 5 wymyślił nazwę na swój solowy album. Brzmi ona „Fish Out Of Water", a album ukazać się ma w lutym, choć część materiału została już zamieszczona na mixtejpie pod nazwą „Fish Market". Do końca 2005 roku ma powstać również nowy wspólny materiał J5.

18 stycznia to data długo odkładanego debiutu **The Game'a**. Płyta „The Documentary" sprzedawana będzie ze specjalnym DVD ukazującym życie rapera razem z pierwszymi 200 tys. egzemplarzy. Niestety dla wydawcy (czyli Interscope), album już jakiś czas śmiga w Internecie. Wśród producentów ma „The Documentary" znajdują się Dr. Dre, Kanye West i Timbaland, a na mikrofonie mamy 50 Centa, Nate Dogga, Bustę Rhymesa i Eminema oraz panie Faith Evans i Mary J. Blidge, zatem mimo przecieku można liczyć na wysoką sprzedaż.



Człowiekiem roku BET.com został Sean Combs, czyli **P. Diddy.** Wyprzedził w głosowaniu m.in. Ophrę Winfrey i Billa Cosby'ego. Powody? Przede wszystkim inicjatywa Citizen Change zachęcająca młodzież do głosowania w wyborach, występ w sztuce „Raisin In The Sun" na Broadwayu oraz program „Makin The Band 2" dla MTV. Ponadto w 2004 roku Diddy zdołał jeszcze otworzyć wielki firmowy sklep swej kolekcji ubrań Sean John w centrum Manhattanu.

dj portret quik
scorsese dźwięku



Na początku jest wszechobecny bas. To wokół niego narasta wszystko inne, tak jak domy narastają wokół szosy przebiegającej przez środek maleńkiej miejscowości. Zaraz potem czuć zabójcze tempo, szalone werble kojarzone raczej z początkiem lat dziewięćdziesiątych i rozpędzone do granic możliwości. Nie ma wątpliwości, ta muzyka ma prawdziwie funkową duszę

tekst Flintstone (CS)

Nie chodzi jednak o proste zawinięcie pętli z Clintona czy Troutmana, dla tego producenta byłaby to obelga. W końcu do czynienia mamy z multiinstrumentalistą. Aranżacja jest więc bogata, akcja rozgrywa się na co najmniej kilku planach. Słychać brzdąknięcia gitary, brawurowe partie syntezatorów, problemem nie jest orkiestra symfoniczna. Wciąż czuć jednak atmosferę leniwego jam session odbywającego się przy grillu, w ogródku domu ogrzewanym kalifornijskim słońcem. Żadnej willi, prędzej coś w stylu chaty starych Ice Cube'a z „Friday". Nie umiem chyba przedstawić hip-hopu Quika w bardziej plastyczny sposób.

Muzyka, nie produkcja

Tadah z Urban Smarts pisze o nim, że to „muzyka w najbardziej tradycyjnym rozumieniu" i dowód na to, jak „g funk może zbliżyć się do muzykalności hip-hopu Lauryn Hill". Quik ma świetny słuch, doskonałe wyczucie a dodatkowo umiejętność konwertowania emocji na dźwięk. Oprócz samej produkcji gra niemal na wszystkim z wyjątkiem gitar. „Nauczyłem się podglądając ludzi. W Compton nie mamy prawdziwych muzycznych klas, prawdziwych fortepianów i tego typu gówien. Więc czarnuch musi brać co wpada mu w ręce. Wierzę, że kiedy chcesz czegoś wystarczająco mocno, uda ci się. Pieprzyć gadanie polegające na tym, że nie da się czegoś zrobić. Sam pracowałem nad swoją muzyczną edukacją". Stał się niemal symbolem samodoskonalenia. Kiedy Big Boi, połowa duetu Outkast chciał, by Slimm Calhoun, junior z Dungeon Family, nabrał doświadczenia, szlifu, i wyszedł ze swoimi horyzontami nieco ponad Atlantę, myślał o wysłaniu go do E Swifta (z Alkaholiks) albo właśnie do Quika. Wszechstronność idzie w parze z szacunkiem. Nie każdy ma to szczęście, że z propozycją współpracy zgłasza się do niego legendarny „zielonooki bandyta" Erick Sermon. Można nawet powiedzieć, że razem rozpoczęli hiphopową modę na Azję. Talib Kweli, ostoja świadomości i zaangażowania, chce mieć imprezowego bangera. Do kogo się zgłasza? Quik. Co łączy ulicznego melanżownika Jadakissa z humorystycznym baunsiarzem Ludacrisem a zarazem Whitney Houston z Janet Jackson? Quik i jego umiejętności. Jay-Z robi album, który w momencie tworzenia miał status klasyka. Przewija się tam producencka czołówka: Kanye West, król brudnych gitarowych sampli Rick Rubin, Timbaland, Neptunsi, Just Blaze, undergroundowy 9th Wonder i kto? Cóż, na pytania retoryczne z założenia się nie odpowiada.

Dzieciak z Compton

„Każde osiedle w sąsiedztwie ma ludzi, którzy zostali zamordowani. Ja też straciłem wielu przyjaciół. To życie, i nie możesz tego zmienić. (...) Nie jestem gangsterem, a to, że zadawałem się z mordercami, nie znaczy, że sam to robię" – mówi Quik, tłumacząc się z niełatwej, charakternej przeszłości. Szczególnie przejmujący jest wywiad, w którym dziennikarz pyta go, co zrobiłby bez talentu do tworzenia muzyki. „Bez muzyki? Och, byłbym martwy. Zginąłbym już dawno temu w strzelaninie gangów". Pismak drąży głębiej upewniając się, czy artysta na pewno w to wierzy. W odpowiedzi słyszy „Wiem to. Tak działa ta dzielnica, niszczy swoje dzieci". Niestety najwyraźniej piętno pozostało również na nim: Quik wtargnął bezprawnie do mieszkania swojej starszej siostry, komentował złośliwie jej problemy rodzinne, a nawet kilkakrotnie uderzył w twarz. Quik zasłynął pijacką, kaskaderską jazdą na motocyklu. Wreszcie Quik wdawał się od zawsze w głośne konflikty: z Mc Eihtem, z Doktorem Dre, a nawet redakcją Source'a. Nawet teraz, kiedy stara się przekonać do własnej dojrzałości i przemiany, mówi o „złej karmie" Death Row, kiedy sentymentalnie wspomina bezsensowną śmierć Jam Master Jaya (człowieka, dzięki któremu zapragnął stanąć za adapterami) i to, że grając wielkie imprezy przerywa je prosząc o chwilę ciszy dla członka Run DMC... Nawet teraz, gdy żona i córeczki są podobno jedynymi kobietami w jego życiu, a rozczulone media przylepiają mu etykietkę reprezentanta „słonecznej strony" Compton, ciśnienie skacze mu, gdy mowa o Petey Pablo, dość miernym mc, który nie omieszkał zbluzgać go ze sceny (dostało się również Nate Doggowi). Wyraźnie cieszy się, że ma sposobność napsuć mu w rewanżu trochę krwi.

Obraz i dźwięk

Nie tylko temperament jest słabą stroną Davida Blake'a. Produkcje trudno ruszyć, obiektywnie to pierwsza światowa piątka. Wpadka zdarzyła się jedna, wysamplował 4 minuty (!) dzieła hinduskiego kompozytora na singiel Truth Hurts i przegrał sprawę w sądzie. Prawdziwy problem w tym, że nigdy nie rapował najlepiej. Kolejny mc nie mogący uwolnić się od schematu „moja dzielnica Compton-kuloodporne kamizelki-dziwki", bez czegokolwiek wyróżniającego go spośród westcoastowych mc – bez nowojorskiego szynytu Kurupta, bez zaciągania Paca, bez swingu Snoopa. Co więcej, miał za dużo sentymentu dla ziomów i przez płyty przewinęło mu się sporo średnich mc. Opłakiwano Shakura, opłakiwano Biggiego, niektórzy opłakiwali Big L'a, ale kto pamięta o tragicznej śmierci Mausberga? Kto cytuje zwrotki AMG? Kogo porywa Suga Free czy Hi-C?

O doborowych gości postarał się już przy okazji ostatniej póki co, szóstej płyty „Under the influence" (2002). Najwyraźniej postanowił zadbać też o własną kondycję liryczną, na ukazującym się niebawem nowym lp. Obiecał głębsze inspiracje, przemyślaną tematykę. Nawet nawiązująca do debiutu z 1991 nazwa „Quik is still the name" została zmieniona, żeby nie cofać się w przeszłość. Szykuje się pozycja przełomowa jak „Rhytm-al-ism", przyjemna jak „Balance & Options" i gruntująca pozycję jak „Under...".

Reporter jednego z dzienników Miasta Aniołów przyrównując filmy gangsterskie do gangsterskiego rapu, pisał, że Dr. Dre to Coppola, zaś Quik to Scorsese. Analogia jest ciekawa i na miejscu, bowiem bohater artykułu chętnie porównuje swoje rymowanie do operowania kamerą, zaś aktywniejszy udział w światku filmowym jest jego wielką ambicją. Można podchodzić do tego sceptycznie, ja zaś powiem jedno: mniejsza o obraz, za to ten dźwięk...



600volt
the v

Napisać coś nowego o Sebku to rzecz chyba niemożliwa, bo napisano już i powiedziano o nim w hiphopowych mediach wszystko. I nie można się temu dziwić – czy to się komuś podoba, czy też nie, 600 to na naszej scenie rap postać legendarna. Zapracował na to w sposób wyjątkowo konsekwentny. Zaczynał robić beaty, gdy nikt inny nie tyle nie miał możliwości – bo możliwości nie miał również Sebek, beatmaszyn w Polsce nie uświadczyłbyś, a komputery wtedy to nie to, co dzisiaj, czyli maszynki, którymi podrobisz każde brzmienie i bez których ciężko wyobrazić sobie pracę w studio – ile nie miał odwagi, by się za to wziąć. 1 Killa Hertz to dziś formacja legendarna, każdy z jej członków ma swoją własną hiphopową jazdę, ale skupmy się na Sebku – on dał sygnał i umożliwił wielu osobom to, by pomysły z podwórka czy skejtowych miejscówek stały się realne. A potem była wspomniana konsekwencja. Kolejne utwory, kompilacje, płyty. Kolejne sprzęty w studio i coraz większy lot na to, by sztukę robienia muzyki doskonalić.
Jesteśmy kolegami od lat, więc na bieżąco śledząc jego muzyczny progres, mógłbym też opowiedzieć, a właściwie napisać kilka słów o tym, jak to wszystko wyglądało od zaplecza, bo miałem kilka razy przyjemność widzieć Sebka w pracy, a nawet w trakcie tworzenia. Zachowam jednak te historie na „za kilka lat", gdy wszyscy będziemy zgredami, a początki polskiego rapu będą dla ludzi taką ciekawostką, jaką dziś dla wielu są początki polskiego jazzu czy rocka. W każdym razie przez te kilka lat różne miałem podejście do muzyki Volta, bo raz podobała mi się bardziej, raz mniej, czasami w ogóle mi nie podchodziła. Tych ostatnich przypadków było mało, ba, uważam się nawet za fana jego twórczości, jedno w każdym razie jest dla mnie istotne – ten facet i jego muzyka to jedna rzecz. To, owszem, praca, źródło utrzymania, ale też pasja. Volt produkuje muzykę rap, ale jest też po prostu hip-hopowcem. Nie o wszystkich można to napisać, zwłaszcza ostatnio... A to o tyle istotne, że bardzo wiele osób zapomina dziś, czym tak naprawdę jest hip-hop. Wiem o tym, że Sebek doskonale wie to i czuje.
Miał różne okresy w swojej karierze. W pewnym momencie było go chyba za dużo. Choć zarzut, że produkował na ilość, a nie na jakość, jest w moim mniemaniu trochę zbyt surowy, nie wszystkie płyty wychodzące spod jego rąk były na tak wysokim poziomie, na jaki go z pewnością stać. Pojawiało się coraz więcej nowych producentów, „zapotrzebowanie na Volta" zmalało i kilka razy od kilku osób usłyszałem, że „Sebek to już raczej imprezki, bracie, będzie grał, nie te czasy...". Okazało się jednak, że to nie do końca tak. Sebek napierdziela swoje beaty nadal, a w dodatku, słuchając wielu produkcji, które ukazują się w ostatnim czasie, można spokojnie powiedzieć, że choć jest weteranem, odkrywa i eksploruje nowe kierunki z pasją małolata. Podoba mi się to, a małolatom powinno dać to do myślenia.
Kończę już ten przydługi wstęp, bo pewnie jesteście ciekawi, co Volt powiedział Flintstone'owi w długim wywiadzie, który widzicie obok. Ja w sumie też, więc poczytajmy...

Kowal

rozmawiał Flintstone (CS)
foto Wojtek Antonów / WZRR

Czy spotykasz się ze starą wiarą, ludźmi takimi jak JMI, Tytus, Tede, Numer, żeby powspominać sobie stare czasy, ponarzekać na nowe...
Jestem specyficznym typem, utrzymuję bardzo mało stosunków towarzyskich. Jeżeli chodzi o to, jakim jestem kolegą, to na pewno można na mnie liczyć, bo staram się być lojalny i dotrzymywać słowa, ale z drugiej strony nie trzymam się z ludźmi blisko. Muszę więc odpowiedzieć przecząco.
Pytam, bo rozkręciliście tę branżę, panowie. Volt, to rosło na twoich oczach i z twoją pomocą, miałeś swoje beaty na większości pierwszych legali, miałeś audycję radiową. Zmieniłeś nawet styl o 180 stopni i założyłeś własną linię odzieżową. Co jeszcze może cię motywować do robienia hip-hopu, co chcesz jeszcze osiągnąć?
Nie chcę niczego osiągać, ja po prostu kocham muzykę. Siedzę i słyszę beaty w głowie, więc chcę je zrobić, żeby usłyszeć jak będą grały z głośników. To jedyna motywacja. Jeżeli chodzi o zarabianie pieniędzy, w tym celu gram imprezy. Do płyt podchodzę zaś dalece emocjonalnie. Raz się to ugryzie i już po prostu nie można inaczej. Hip-hop robię głównie po to, żeby usłyszeć z głośników coś, co tkwi we mnie, ale chodzi też o to, żeby dołożyć do tej pięknej kultury coś od siebie.
Nie było więc progów typu: Nie przestanę robić hh, dopóki nie sprzedam stu tysięcy płyt?
Nie. Progiem jest najwyżej to, żebym był najlepszy, jaki mogę być. Nigdy nie jest tak, że robię groove i robię go na 80 procent moich możliwości. Staram się dawać 100 procent, sprawdzać nowe koncepcje. Jestem człowiekiem ciekawym świata, ciekawym tego, co mogę osiągnąć. To wynika z moich potrzeb emocjonalnych.
I czujesz, że nowa płyta to twoje 100 procent?
Jeżeli chodzi o sam groove i brzmienie, to tak. Nie zdążyłem dopracować kilku aranży, ale to nie jest istota muzyki, skreczy może też byłoby trochę więcej, gdybym zdążył je dograć... Niestety i tak dramatycznie przekroczyłem ustalony z wytwórnią termin. Ale uzyskałem właśnie to, co czuję i co definiuje mój styl. Czy może raczej style, bo na tym albumie idę w różnych kierunkach.
Przed wywiadem starałem się ogarnąć jak najwięcej opinii odnośnie twojego ostatniego albumu. Zarzut, który pojawiał się najczęściej, jest taki, że w tytule jest słowo „style", a do czynienia mamy z jednym stylem, na jedno syntetyczne kopyto. Nie to, że się zgadzam, ale...
Nie wiem, jak można to ocenić w ten sposób. Na temat tej płyty można napisać wiele rzeczy, jeżeli jej się nie lubi, lub się człowiekowi nie podoba. Można powiedzieć, że jest nudna, że jest... Hmmm, gdybym widział jakieś zajebiste wady, to na pewno wyeliminowałbym je przed wydaniem (śmiech). W każdym razie tekst o jednym, syntetycznym podejściu jest absurdalny, nie ma nic wspólnego z rzeczywistością i świadczy o tym, że ktoś w ogóle nie posłuchał płyty. Np. utwór Numera jest zupełnie niesyntetyczny... Numer Gurala z Kasty praktycznie też prawie nie jest. Z dwóch wersji numeru Rufina jedna jest bardziej elektryczna, druga bardziej akustyczna. Trudno bronić się przed zarzutem, który jest tak bez sensu.
Masz jakiś sposób na krzywdzące opinie, których w swoim czasie sporo cię spotkało?
Sposób jest taki, że mam je gdzieś. Nie zastanawiam się nad nimi. Wydaje mi się, że wiem znacznie więcej na temat muzyki, niż ludzie, którzy coś takiego piszą. Choć rozumiem, że człowiekowi trudno zrozumieć jest to, że jego wiedza czy raczej umiejętność rozumienia pewnych harmonii jest niepełna. Każdy ma prawo i do swojego zdania i do tego, żeby nie wszystko do końca rozumieć. Już lepsze jest to, niż sytuacja, w której podobałoby się wszystkim. To by oznaczało, że robię pop, 52 Dębiec, nie wiem... Ludzi takich jak ty czy ja, którzy słuchają rapu długo, jest niewiele. Trudno żebym robił płytę i zgubił świadomość pewnych rzeczy, które mnie spotkały. Ten materiał będzie lepiej korespondować z ludźmi, którzy więcej wiedzą i mają świadomość różnorodności tych styli, niż z takimi, którzy mają 10 płyt na półce, z czego pięć na cdr-ach, a drugie pięć dostało na urodziny.
Mówiłeś, że zabrakło nieco czasu na skrecze – większości słuchaczy kojarzysz się jednak z produkcją. Ciekawe, jak jest u ciebie z kwestiami czysto warsztatowymi.
W ogóle nie uważam się za turntablistę. Nigdy nie miałem takiej zajawki i wygrzewki. Dla mnie dj'ka jest dj'ką – powierzchnia, głośniki, ludzie, ja i generowanie zabawy. Jestem dj'em wybitnie klubowym. Mam odruch Pawłowa, nie widzę ludzi, to nie miksuję (śmiech). Robię to dla atmosfery klubu, niemniej jednak staram się mieć technikę, która nie jest prymitywna. Nie lubię naśladować skreczy, kiedy je robię, staram się, żeby były w jakiś sposób moje, żebym je czuł. Nie jest dla mnie zajawką ćwiczenie tricków Qberta. Nigdy nie próbowałem tego robić, bo mam mechanizm powodujący, że zaczyna mnie szczypać w kręgosłupie, kiedy robię rzeczy w sposób, w który ktoś już je robił. Ok, inspiracje są niezbędne, bo kultura opiera się na pokrywaniu kolejnymi warstwami farby jakiejś tam koncepcji. Ale turntablizm to dla mnie technika dla techniki, dla mnie jest to mniej muzyczne niż dla tych, którzy się tym interesują. Oczywiście, mam wielki szacunek dla mistrzów gramofonów w tej dziedzinie, bo rozwijają kierunek i nadają mu bieg. Chylę czoła, ale to nie dla mnie.
Gdybym miał wskazać producenckí autorytet 600V byłby to Timbaland. Już mówię dlaczego: sentyment do plastiku. Słabość do współpracy z wieloma wokalistkami. Nieprzewidywalność. W końcu nawet sposób pokazywania się na klipach – krótkie przebitki, w których beatmaker pojawia się z zabawną miną.
Mamy podobne inspiracje. Zanim słuchałem hip-hopu jarałem się zespołem Kraftwerk. Usłyszałem tę muzykę i zwariowałem. „Co to w ogóle za instrumenty?!". Spodobało mi się na tyle, że wpłynęło chyba na widzenie mojej muzyki później. Żadne brzmienie nie oczarowało mnie bardziej, nie było sytuacji, żebym nie uszanował czegoś, co zrobili. Jeżeli zaś chodzi o rytmikę – James Brown i Parliament. Połącz Kraftwerk z Brownem, a otrzymasz moje kawałki. A że Timbaland robi podobnie... Owszem, bardzo lubię jego płyty, słucham ich, ale nie naśladuję, raczej staram się nawiązywać dialog. Dialog oczywiście niemy, bo on moich płyt nie słyszy i bardzo mi przykro z tego powodu. Swoją drogą dużo ludzi w Ameryce ma brzmienie jak on. Missy produkuje zajebiście podobnie. No Joe, Neptunes czy Just Blaze również w jakiś sposób odnoszą się do tego, co robi Timbaland. Zresztą na „Stylach" są bardzo różne kawałki. Niektóre w ogóle nie mają nic wspólnego z „południowym" brzmieniem. Kiedy zaczynałem doceniać Timbalanda, robił takie kawałki jak „Pony", nieco inne niż te teraz. Widzisz, np. z kawałkiem Analogii jest tak, że oparłem go na prostym, głośnym riffie, do którego są bębny. To z miejsca przywodzi na myśl produkcje Lil Jona, choćby „Yeah". Z tym, że ja zrobiłem to pół roku wcześniej. Zajebiście cieszy mnie to, że pomysły, na które wpadam, słyszę nieraz potem, a nieraz równolegle u innych. Znaczy to, że jestem na podobnym poziomie rozumowania i pojmowania rytmu, koncepcji brzmienia.
Większość ma odwrotnie. „Cholera, mój własny patent jest u kogoś!!!"
Ja czuję się elementem tej kultury i to mnie tak nie irytuje. Ważne, żebym czuł się w porządku wobec siebie. Jeśli wiem, że sam coś wymyśliłem, to po prostu mam tego świadomość.
Jak już zdążyłem wspomnieć, był okres, w którym beat Volta na płycie był niezbędnikiem. To szybko się urwało, ludzie, którym pomogłeś, którym dałeś szansę, których czasem wręcz wypromowałeś, nagle usamodzielnili się i przyszedł czas, w którym nie dość, że trudno było znaleźć twój beat, to nawet nie dostawałeś numerów do remiksu, co przy cywilizowanej scenie nie jest zupełnie normalne. Nie bolało cię to?
W takich sytuacjach trudno mnie dotknąć. Nie oczekuję po ludziach szczególnej lojalności w kwestii wybierania współpracowników, więc mało to na mnie wpływa. Nie było to dla mnie żadnym rozczarowaniem, zwłaszcza, że sam miałem życiowe komplikacje, przez które w pewnym momencie odsunąłem się w cień. Lubię muzykę. A czy robię ją z tym, czy z tamtym? Nie jest to dla mnie żadna gigantyczna różnica. Chcę usłyszeć coś fajnego i to mnie satysfakcjonuje.
Z rozrzewnieniem wspominam czasy, w których artyści musieli sprężać się z nagrywaniem u Volta, bo nie starczało mu miejsca na dysku. Nie brakuje ci gwaru, zamieszania, napięcia?
Nie!!! Ja lubię ciszę i spokój. Od zawsze. To ciśnienie tylko mnie irytowało. W pewnym sensie nieraz lubię osamotnienie. To daje szansę odczytania siebie. Nienawidzę nawet, kiedy mc asystuje przy tym, jak miksuję kawałek.
Nadmiar pracy prowadzi do cokolwiek dziwnych sytuacji. Jeden z mc, który dużo ci zawdzięcza, rymuje, o tym, że miałeś plan – „Ten sam beat na Autentyku i Sam na sam".
Zabawny temat. Przychodzą do mnie chłopaki – „Ej 600, podklep jakieś beaty". Wtedy ja wypalam płytę, na której jest 30-40 beatów. Mówię im „Wybierzcie sobie pętle, sklejcie, groove jest mój, ale aranż możecie sobie zrobić sami". Tak się składa, że chłopaki dostali zestawy, w których podkłady się pokrywały. A nie zawsze jest tak, że dzwonią, by powiedzieć „Ok, to blokujemy nr 641". Problem polega na tym, że płyty wyszły w tym samym momencie i nastąpiło czysto logistyczne niedogranie tematu. Nie czuję się strasznie winny, wiem też, że chłopaki nie są na mnie źli.
Wydając „Wkurwione beaty", wychodziłeś w Polskę z brzmieniem, które nie było popularne, które w Polsce nie przebiło się do końca. Byłeś przecież kojarzony z czymś zupełnie odmiennym. Nie obawiałeś się fali krytyki ze strony hermetycznie przecież nastawionej u nas publiczności?
Trafne spostrzeżenie, odnośnie klapek na oczach naszych odbiorców hip-hopu. Nie tyle się bałem, co wręcz mnie to jarało. Nie robię tego dla kontrowersji, ale zupełnie mi ona nie przeszkadza. Czuję się sobą. Naprawdę kocham tę muzykę i nie mogę robić jej w sposób, którego nie czuję. Kiedyś czułem ją tak, teraz tak, a za jakiś czas może będę czuł jeszcze inaczej. Muszę żyć w zgodzie ze swoim sumieniem i swoimi emocjami. Nie ma innych kryteriów.
A chęć zmiany swojego stylu pojawiła się u ciebie nagle, czy raczej była dłuższym, naturalnym procesem?
Dla mnie hip-hop jest szeroko definiowalny. Słucham tej muzyki od osiemdziesiątego któregoś roku. Run DMC, Grandmaster Flash, Whodini, Doug E Fresh, LL Cool J albo nawet 2 Live Crew, to klasyka hip-hopu. Ci pionierzy używali na początku tylko elektrycznych bębnów z TR 808. To jest tak samo zajebista definicja jak Pete Rock, Lord Finesse, Diamond, Showbiz czy Preemo, którzy od elektryki uciekali. Nie mam więc takiego problemu. Kiedyś miałem inaczej, byłem zamknięty w określonym guście. I rzeczywiście chyba w pewnym momencie po prostu doznałem olśnienia. Doszedłem do wniosku, że w hip-hopie podobało mi się zawsze to, że zaskakiwał. Nie jest to muzyka, którą możesz zamknąć w pudełku i powiedzieć „to jest to". Że bębny muszą być takie, basy muszą być takie i tak dalej. Każda konfiguracja jest fajna, jeśli ma w sobie groove. I to zrozumiałem w miarę późno, kiedy miałem dwadzieścia kilka lat. Zaczęło mi się podobać to, jak wykorzystywano elektronikę w starych rzeczach, trafiły też do mnie nowe pomysły na to, jak ją wykorzystać. Teraz patrzę na to jeszcze szerzej, hip-hop jest też furtką do pokochania czarnej muzyki. Nie może być więc mowy o stylistycznym skoku, raczej o zrozumieniu natury tego, co kocham.
Hiphopowcom zmieniła się mentalność. To chyba OC zarzekał się kiedyś, że nie będzie miał w refrenie panienki. Wiemy jak było potem. R'n'b jest ważną częścią na twoich płytach, wynajdujesz wokalistki, którym dajesz szansę na pokazanie swoich umiejętności.
Bo jestem producentem. Z żalem muszę twierdzić, że polscy mc's gryzą swój ogon. Współpraca z niewieloma z nich jest w stanie dać mi satysfakcję. Z drugiej strony

z mojego punktu widzenia najważniejszy jest groove. W hip-hopie interesuję się muzyką, a w muzyce interesuję się właśnie tym prostym współgraniem elementów sekcji rytmicznej, które zmusza odbiorcę do bujania głową. Doskonale sprawdza się to w konfrontacji z kobietą, która do tego śpiewa. Współpraca z dziewczynami mnie jara, rozszerza horyzonty, a w moim mniemaniu daje również sympatyczne dźwiękowe efekty.

Widocznie bardzo sympatyczne, bo słyszałem o drugim singlu z wokalistką.

Jednak będzie trzeci albo czwarty, ale za to na stówkę. To dobry pomysł, ale trzeba ludziom przypomnieć, że ta płyta trzyma się koncepcji hip-hopu. Teraz wyskoczę z Guralem i Fenomenem. A potem dziewczyny.

Czy to prawda, że mc's nawijali pod inne instrumentale?

W większości przypadków tak. Nie słyszeli właściwych podkładów, dopóki nie znalazły się na płycie.

Uśmiechnąłem się, kiedy usłyszałem o tym i włączyłem sobie numer Gurala właśnie. Nawija „To ten beat, ha", po czym znajduje się na zupełnie innym podkładzie. To zabawne.

Nie, nie, nie (śmiech). Akurat tak się składa, że Gural ten beat znał. Dałem go jemu i Wall-e'emu jeszcze na hip-hop Opolu w 2004. Dziewczyny też musiały znać muzykę, żeby zgadzały się harmonie.

Kolejna z ciekawiących mnie rzeczy. Aż pięciu artystów z Wielkiego Joł na twoim krążku. Singiel zaś z tym, którego wydali ostatnio.

Po części to stare koneksje. Z Numerem i TDF'em znamy się dobrze. Sylwester znalazł się przez przypadek, nawet nie wiedziałem, że ktoś taki istnieje. Byłem akurat w WJ w jakiejś sprawie i przemknął jego producent, Ziuek. „Ej, mam tu takiego mc, posłuchaj". Dał mi a cappellę, zrobiłem beat. Poza tym rzeczywiście to wydawnictwo prezentuje podejście do hip-hopu, które mi się akurat podoba. Są różnorodne style.

Ale nie było myślenia typu – dobra, połowę Wielkiego Joł ubierzemy w V6, oni zaś podsypią kasę na płytę?

To nie tak. W grę nie wchodziły pieniądze.

Promować album klipem zespołu niewypromowanego jeszcze medialnie – odważna decyzja...

Ten beat mi się podoba, wydaje mi się, że jest fajny. Chłopaki zarymowali na poziomie. Myślałem też, że fajnie będzie go grać na imprezach. To chyba główny powód. Fakt, bardziej zachowawczo byłoby wypuścić teledysk z kimś rozpoznawalnym, ale chyba nie chodzi o to, żeby zawsze zachowywać się w taki sposób.

Wiem już co u 600V. A co u słychać u DJ'a Niewidzialna Ręka?

Rozmawiałem z nim ostatnio. Szykuje nowy mixtape...

Jakieś przecieki?

Coś mówił, że klimaty będą imprezowe, ale też trochę klimatów z Południa. Ogólnie to, co on lubi.

Zaś co do imprez. Ostatnimi czasy sporo grałeś soundsystemowo z Rufinem MC. Doświadczony DJ i producent plus raper, będący nową twarzą. To zawsze bardzo twórczy układ.

My się z Rufinem nie dogadamy co do soundsystemu. To nie jest człowiek, który potrafi powiedzieć pięć zdań i skończyć. On jak dostanie mikrofon i usłyszy beat, to musi jechać, jechać i jechać. Ja chciałbym koncentrować się na pracy z mc, który byłby krzykaczem jak Fatman Scoop czy Dj Kool. Kogoś, kto brałby ten mikrofon i grzał ludzi do ruchu. A Rufin nie może bez przekazu. Nie da rady.

Kiedy się dorwie, mamy dwadzieścia minut z głowy?

Dwadzieścia minut nie, ale pięć minut tak, a ludzie i tak już nie wiedzą, o co chodzi. On jest osobowością i bez sensu byłoby tę indywidualność w nim tłumić. Z drugiej strony zaś zajebiście go lubię, odpowiada mi jego styl, widzenie rzeczywistości hip-hopu. Podejrzewam więc, że będziemy spotykać się częściej na produkcjach, niż na soundsystemach. Mam do niego szacunek i sympatię.

Polscy producenci potrafią narzekać, że raperzy nie są do końca profesjonalni, że wiedząc, iż nie nagrywają na swoją płytę, nie dają z siebie maksimum. Dodatkowo beatmakerzy są w tej niewdzięcznej sytuacji, że jak już zmusi mc, żeby posadził tyłek w studio i nagrał wokale na czas, to za bardzo nie wypada mu kaprysić. Nie miałeś tego typu odczuć przy nagrywaniu swoich płyt?

Swój życiowy kawałek każdy może nagrać tylko raz. Nie oczekuję, żeby każdy nagrywał go akurat na moją płytę (śmiech). Z drugiej strony czuję się odpowiedzialny głównie za moją działkę. Od jakiegoś czasu nie lubię oceniać sytuacji estetycznych. Zbyt często miałem okazję przejechać się na swoich własnych opiniach, na tym, że zmieniałem je sam bez żadnego powodu, za to diametralnie. Tego typu oceny mogą być krzywdzące i nie wiem, czy mają jakikolwiek sens. Biorę to, co mi dają. Jeżeli mi się dramatycznie nie podoba, po prostu tego nie biorę. Jeżeli zaś jestem w stanie to zaakceptować i dojść do wniosku, że ktoś może w tym coś znaleźć... Albo że mc są zadowoleni ze swoich dokonań. Wtedy pozostawiam to im, wiadomo, że ja jestem podpisany pod beatem, a oni pod tym, co nagrali.

A jednak, kiedy słuchacz idzie do sklepu i bierze do ręki płytę 600V, to zakłada, że odpowiadasz za całość. To mówi mu okładka.

Tak jest. To, że podpisuję pod rymami tych ludzi, oznacza, że daję im kredyt zaufania. I tyle.

Może to i dobre stanowisko. Na pewno oszczędza sporo nerwów.

Każdy powinien robić, co czuje. Jeżeli mc nie czuje w taki sposób jak ja chcę, żeby czuł, to cóż... Po prostu tak jest. Nie zmuszę go, by patrzył inaczej. To chyba najbardziej naturalne i logiczne podejście do sprawy.

Miałem okazję przysłuchać się flow Rufina, a twój kawałek pojechał baaardzo specyficznie. Zastanawiam się czy sugerowałeś mu „stary, pojedź to westcoastowo".

Nagrywał to pod przypadkowy beat i nawet nie było mnie w studio w momencie, w którym to robił. Mazsa z Fenomenu rejestrował wokal. Przyjechałem po paru godzinach, słucham – zawodostwo! A gdybym sugerował, to już nie byłoby to.

Wydaje się, że twoja muzyka jest tworzona z myślą, by bujać jak największą ilość ludzi, tym bardziej dziwi mnie tak udana chemia przy współpracy z idącymi mocno w kierunku artystycznego eksperymentu Pokahontaz.

Jestem wszechstronny, ale bardzo mocno oddzielam dj'ing od produkcji, to dwie zupełne inne rzeczy. Gram imprezy dla zabawy i dla pieniędzy (one 4 the money, two 4 the show). W produkcjach zaś realizuję siebie, doznaję czegoś, czego nie czuję przy gramofonach, spełniam się. Przed chwilą gadałem z Rahimem, współpraca z Pokahontaz jest dla mnie zajebiście interesująca, jak najbardziej będę kontynuował ten kierunek i ten temat.

Rah i Fokus to nie tylko raperzy, zajmują się też przecież bogatym w inwencję beatmakingiem. Nie ingerują w twoją pracę, nie męczą cię milionem uwag?

Właśnie nie. Mają sugestie odnośnie aranżu, ale jeżeli chodzi o brzmienie, bas, Rahim z reguły jest zadowolony z tego, co proponuję i dogadujemy się. Podejrzewam, że moje poszukiwania idą aktualnie w stronę, która może im bardzo odpowiadać. Zajebiste combo.

Okładka płyty. W tle Warszawa w ogniu. Akurat wczoraj wieczorem przypominałem sobie WWO i kawałek „Mówisz i masz". Dobrze pamiętam też Nowy Jork i Madryt. Nie uważasz, że może się to źle kojarzyć w mieście, które jeszcze kilkadziesiąt lat temu płonęło niemal całe?

Nie, no co ty, to przecież żart. Zresztą zrobię pewno teraz podkop pod własnym krzesłem, ale nie słyszałem tego kawałka. A wizja absolutnie nie była apokaliptyczna, Warszawa płonie od dźwięku głośników. To przenośnia. Teoretycznie na okładce miałem być wielkości King Konga i chyba tak jest. Zniszczenia są, bo jeśli jest się tak potężnym, zawsze można coś potrącić.

Czujesz się potężny, pewny siebie?

Jeśli chodzi o to, jakim jestem człowiekiem, czuję się normalny. Jeżeli chodzi o producenta, powiedzmy, że czuję się pewny siebie, czuję się dobrze. Na przestrzeni ostatniego półtora roku zdobyłem umiejętność przekładania myśli na materię. Wcześniej, kiedy robiłem kawałki, szukałem rzeczy, które mi się podobają i łączyłem je do kupy. A niedawno zyskałem taki właśnie dar od Boga. Zajebiste narzędzie, granicą jest tylko wyobraźnia. Uważam, że jestem dobry.



600V
STYLE OPERACJA ZRÓB TO GŁOŚNIEJ
FONOGRAFIKA

Najpierw o paniach. Podziwiam Sebka za wielką i nieustającą wiarę w to, że uda mu się wylansować polską r'n'b kobitkę z groovem... Musiałem to napisać na samym początku, bo jedno wiem już na pewno – Volt potrafi robić beaty do takiej muzyki, ale wokalistek musi jeszcze trochę poszukać. Koleżanek naliczyłem trzy, wyróżnię tylko Nais. Musi jeszcze popracować, ale przynajmniej ma jakiś pomysł na swoje śpiewanie, w związku z czym „Lepiej odejdź" to całkiem przyzwoita produkcja. Choć i tak najfajniejsze jest w nim nie śpiewanie, tylko te elektryczne brzmienia.

No właśnie, Volt kolejną płytę jest elektryczny, trochę południowy, mocno bujający parkietowo, z uwzględnieniem wszelkich popularnych za Oceanem trendów – i rytmicznych, i aranżacyjnych. Podoba mi się to, bo – raz: na naszej, raczej hołdującej klasycznemu podejściu scenie to odważne posunięcie; dwa: w końcu można wrzucić sobie na odtwarzacz jakiś zabawowy rap na poziomie. Oczywiście można podyskutować, czy na przykład wybrany na singiel „Bujaka" Analogii w samej kwestii tekstu jest na wyższym, niż mocno średni, poziomie, ale muza rozpierdala mocą przybasowanej elektryki.

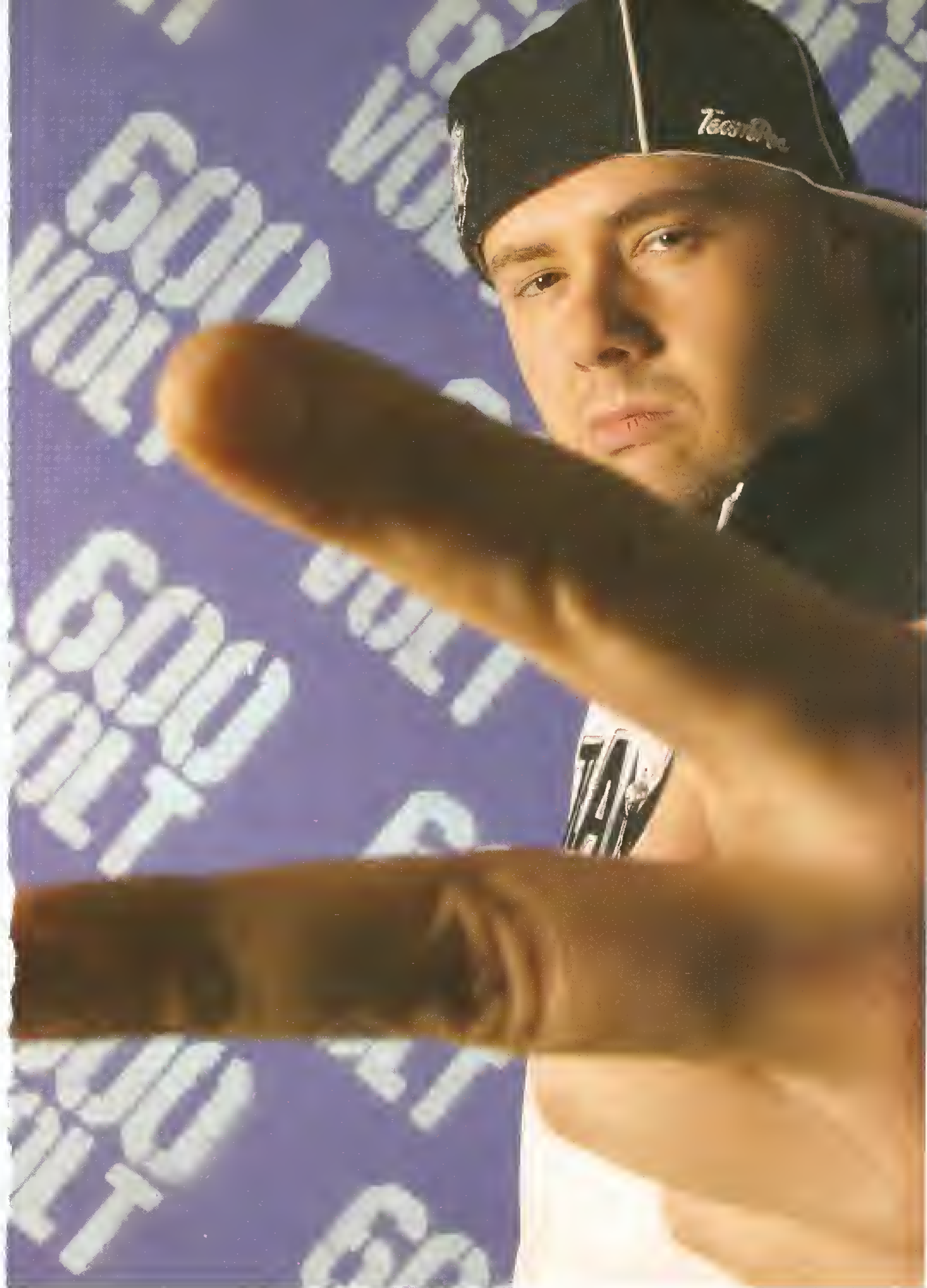
Ale ta płyta to nie tylko imprezowa elektryka. Posłuchajcie Numera (bardzo fajne stylistycznie rymowanie) i beatu, który w bardzo nowoczesny na swój sposób, jest jednocześnie hołdem dla klasycznego „eastcoastu" – prosta pętla, oszczędna aranżacja, ale dotyka właściwie. Bardzo podobnie jest z remiksem „Głośno i wyraźnie" w wykonaniu Rufina, tylko że tu „klasyczny ukłon" jest bardziej „westcoastowy".

A Rufinowi poświęcę osobny akapicik – jou, rozpierdalające stilo! Wiedziałem, że ten facet jest w stanie zaskoczyć, ale to flow jest zabójcze. Ciężko opisać, więc sugeruję, żeby posłuchać.

Tede w „Randce" jedzie po swojemu, jak już od jakiegoś czasu. Bez zaskoczenia, ale i nie poniżej poziomu jednego z najlepszych emcee w tym kraju. W każdym razie, rap Tedego i muza Volta dobrze się uzupełniają. Za to ze świetną liryką na tym albumie pojechał Pono. Jego charakterystyczny flow nieźle wybija się na „rullryderowskim" beacie. Dziwny kawałek, niby spokojny, ale...

Niczym specjalnym niestety nie zaskakują Pezet i Ostry, ale za to totalnym rozpierdolem i chyba najlepszym kawałkiem na tej płycie jest kolejna kooperacja Volta i Pokahontaz. Ostra elektronika, z przedziwnym basowym brzmieniem plus połamane wokale i bębny – teraźniejszość i przyszłość. Mocne, choć wszystko zawiera się zaledwie w dwóch minutach i czterdziestu sekundach. Mam nadzieję, że będą kolejne wspólne kawałki.

Dobra, jest tu jeszcze DonGuralEsko, jest PWRD. I jeszcze. 21 tracków na bardzo przyzwoitym poziomie, nowoczesna hiphopowa muzyka, warto to mieć. **kwl**



Wigor Mor W.A.
sztuka władania słowem część 08



Witam w nowym 2005 roku! Oby te kolejne trzysta kilkadziesiąt dni zaowocowało wieloma mistrzowskimi projektami rapowymi oraz ściśle z nimi związanymi wydarzeniami! To kolejny rok prawdy o polskim rapie, który mimo wszystko (czy się to komuś podoba, czy nie) z każdą chwilą przeżywa progres

tekst Wigor

W ósmej części sztuki władania słowem porozważam sobie na temat chyba najbardziej integralny z tytułem moich felietonów, czyli najprościej „o rymach samych w sobie". Wiadomo, że tekst rapowy jest najbardziej zbliżony do konstrukcji wierszowanych. Fenomen rapowania polega właśnie na umiejętnym dobieraniu rymów, akcentowaniu ich i wstawianiu w odpowiednie dla nich miejsca. Teksty kawałków składają się z przeróżnych słów, ale właśnie te, które się rymują, decydują o jego spójności i charakterystyce. To właśnie one stanowią kluczową dla słuchacza i samego wykonującego misterną konstrukcję, która dzięki swej regularności i fonetyczności wpada w ucho, daje do myślenia i tworzy swego rodzaju słuchowe widowisko.

Teksty kawałków, tak jak już wcześniej wspominałem, są bardziej przyswajalne, kiedy są umiejętnie wykonane, dobrze ułożone, a przede wszystkim, kiedy mają logiczny sens. Ta logika wpływa na to, że słuchacz z każdym kolejnym wersem podświadomie czuje się uczestnikiem toku rozumowania wykonawcy. Dobry rap to po prostu intelektualna gra z odbiorcą (no chyba, że ktoś tego przekazu nie rozumie). Ja sam nie wychodzę z założenia, że teksty powinny być pisane z myślą o słuchaczu, ale koniec końców właśnie do niego trafiają. Wielu raperów uważa podobnie, co do innych można mieć wątpliwości. W przypadku kawałków o tematyce życiowej nie wyobrażam sobie, że tekst nie jest sprawą w 100 procentach osobistą. Jeśli chodzi o kawałki mówiące o zabawie słowem, czy też wolne style, to sprawy mają się inaczej. Wróćmy jednak do naszych niezastąpionych rymów. Zrobiłem sobie małą powtórkę na ten temat i dowiedziałem się, że samo słowo rym pochodzi najprawdopodobniej od greckiego „rhythmos", czyli rytm. Jak sama nazwa wskazuje w prozie rymowanej od zarania dziejów spełniały one funkcje rytmiczne. Obecnie rozróżniamy dwie zasadnicze grupy rymów:

- dokładne;
- zbliżone brzmieniowo (głoskowo).

Dodatkowo są jeszcze (w polskich warunkach) takie grupy rymów jak:

- częstochowskie;
- wyszukane;
- egzotyczne.

Rymy, które brzmią wyjątkowo podobnie np: (woda, moda) to rymy dokładne ze względu na tę samą ilość liter i tylko jedną, pierwszą inną.

Rymy zbliżone brzmieniowo to np.: (błoto, głupotą). Długość słów nie gra roli, chodzi o podobieństwo fonetyczne. Często występują też zestawienia różnych części mowy.

Określenie „rymy częstochowskie" zapoczątkował Jan Lechoń wierszem pod tym samym tytułem. Dzisiaj ten termin oznacza banalne, najprostsze rymy używane na porządku dziennym. Twórcy, którzy nadużywają tych najprostszych, okłepanych rymów padają ofiarą tej krytyki. Moim skromnym zdaniem najważniejsza jest treść, a standardowych rymów czasem po prostu nie da się przeskoczyć. Kolejne rymy (wyszukane) to nic więcej jak słowa, które rzadko kiedy są używane w codziennym słownictwie, które np.: (pochodzą ze słownika wyrazów obcych albo rzadko stosowanej dzisiaj staropolszczyzny). Na koniec mamy jeszcze rymy egzotyczne, czyli słowa zagraniczne tj. imiona i nazwiska postaci, lub charakterystyczne słówka znane na całym świecie, również te spolszczone.

Są jeszcze inne podziały na kategorie, ale to dla przypomnienia powinno nam wystarczyć.

Słuchając danego wykonawcy można śmiało powiedzieć, że zagłębiamy się w świat, w którym żyje dana osobowość. Jego sposób dobierania rymów nie jest przypadkowy. Im bardziej szczera nawijka i skonkretyzowane sytuacje, tym bardziej tekstówy układają się w logiczną całość. Jestem zwolennikiem takich kawałków, ponieważ bardzo wygodnie ich się słucha.

Pod tym względem dobrze słuchało mi się nowej płyty Małolata i Ajrona. O tym pierwszym mogę śmiało powiedzieć, że poczynił duży postęp od czasu, kiedy po raz ostatni słyszałem jego nagrywki. Sposób, w jaki rymuje, ujmuje przede wszystkim konsekwencją. Tematyka przemieszcza się w zamkniętym kręgu, ale rymy są dobrze dobrane i przemyślane. Słychać, że życie samo napisało te kawałki, a na dodatek są porządnie zarymowane. Wraz z bratem, Pezetem, prezentują swój wysublimowany styl akcentowania, ułożenia i tempa wypowiadania słów. Patentem kluczowym najczęściej się przewijającym jest kończenie rymem tuż przed końcem taktu i wrzucenie na sam jego koniec pierwszego słowa z następnej linijki (swego rodzaju tekstowe uprzedzenie przyszłości).

Skoro już jesteśmy przy technice, to pomówmy o szykach przestawnych rymów i różnych konfiguracjach. Przyjęto się, przynajmniej w wierszach, że rymy są przede wszystkim na końcach wersów. Stąd podstawowe układy to aabb czy abab. W rapie nie ma tak naprawdę kanonów, poza tymi najbardziej charakterystycznymi rymami na końcach dwóch taktów. Te zazwyczaj występują głównie w refrenach dla podkreślenia prostej rytmiki i sensu. Wszystko tak naprawdę leży w gestii rapera. Jedni rapują prościej, inni trudniej. Sam jestem zwolennikiem obydwu, ale ostatnimi czasy większy kunszt przemawia za tymi, którzy umiejętnie przeplatają i dobrze kombinują. Weźmy nową płytę Ostrego. Ten gość naprawdę potrafi umiejętnie zamieszać. Często rymujące się słowa w krótkim czasie przeplatają się na zmianę, a do tego tekst zachowuje swój sens. Eleganckim patentem jest też powrót rymu po dłuższej chwili (po kilku wersach) tak, jakby miało się wrażenie, że słowo się urwało, a jednak powróciło jak bumerang. Rymy to największe pole do popisów dla wszystkich raperów – trzeba umieć manewrować, żeby po prostu nie było nudno.

Pewne zaprojektowane schematy są potrzebne do tego, by zachować rytm danej zwrotki. Bez tego od razu słychać bałagan. Wiadomo, że łatwo mówić, trudniej zrobić, ale trzeba dążyć do perfekcji. Początkującym mogę powiedzieć tyle, że jeżeli mają problemy ze złapaniem rytmu własnej zwrotki, to niech pomyślą, czy pewnych słów nie jest za dużo, czy też nie prześladują ich zbyt duże dziury między myślami, które można by jakoś zapełnić.

Rym, nieważne jakiej kategorii, ma za zadanie brzmieć podobnie do swojego poprzednika, tak, by było go słychać i nie uciekł nam gdzieś mimochodem. Ktoś mógłby powiedzieć, że co, jak taki dokładny, przecież można odkryć podobieństwo po czasie? Ja jednak jestem wybrednym zwolennikiem takiego akcentowania podobnych brzmieniowo słów, aby wycisnąć z nich cały ten urok i podobieństwo. Chyba przecież właśnie o to chodzi w rymowaniu?

Często podczas pisania okazywało się, że zupełnie przypadkowo albo i podświadomie pojawiały się nie zaplanowane rymy. Odległość między nimi odgrywa jednak rolę, ponieważ pamięć o rymie szybko ulatuje, a nie powinien on powrócić dalej niż po 3-4 linijkach tekstu. Są zwrotki, które w całości, albo w dużej większości opierają się na jednym rymie, ale dzisiaj to już rzadkość.

Na koniec jeszcze chwila poświęcona współbrzmieniom rymów zbliżonych. Ostatnio w moim mniemaniu w kwestii rymów niepodzielnie króluje jeden patent. Chodzi o zestawienie 2 słów, zazwyczaj krótkich, w taki sposób, że razem zespolone są rymem do innego. Przykładowo (mi te, mitem, nazajutrz, trwa już, itp.) Niedawno hulał kawałek Masseya pt. „Basketball". W refrenie zestawił (basketball rządzi miastem bo). Takich przykładów było oczywiście więcej i już dawno miały miejsce, ale warto o tym wspomnieć. W takich wypadkach wszystko leży w kwestii akcentowania w taki sposób, aby melodycznie takie rymy ze sobą współgrały. Weźmy dla przykładu pierwszy raz kawałek angielskojęzyczny.

Snoop na przedostatniej płycie ma singiel pt.: „Beautiful". Refren brzmi „Beautiful I just want you to know you my favourite girl". W poprawnej angielszczyźnie słowa beautiful, know i girl niespecjalnie brzmią jak rymy, jednak sposób, w jaki są zaakcentowane i melodycznie przeciągnięte w samym kawałku, daje zupełnie inne wrażenie. To właśnie jest ta zdolność do tworzenia podobieństw między słowami, które w pierwszej chwili niekoniecznie muszą brzmieć jak czyste rymy.





dj nowa twarz eprom fanatyk scratchu



Do niedawna jedyny turntablista na Śląsku. Obecnie nie jest sam, ale to właśnie on najdumniej reprezentuje ten region na DJ'skim polu. Wystarczy spojrzeć na wszystkie tytuły, które ma na koncie, w tym chyba najważniejszy – zwycięstwo w zeszłorocznym ITF. Dorobiwszy się ogólnopolskiej sławy, nie zamierza spocząć na laurach i przyznaje, że wiele nauki jeszcze przed nim. DJ Eprom, człowiek z Jastrzębia Zdroju, ostatnio – chociaż z przymusu – nie tylko turntablista, ale i górnik

rozmawiał Keb (Czyste Słowa)

Ile miałeś lat, kiedy zainteresowałeś się DJ'ingiem?
O ile dobrze pamiętam, byłem w pierwszej klasie liceum. Miałem 15 lat.
Co sprawiło, że zainteresowały cię akurat gramofony? Czy coś lub ktoś miał na to szczególny wpływ?
Kiedy miałem 10 albo 11 lat wpadła mi w rękę taśma Run DMC „Down with the King". Strasznie się nią jarałem. Ale chyba najbardziej scratchami JMJ. Gdy jej słuchałem, brałem na kolana stary zepsuty gramofon Unitry i udawałem, że to ja scratchuję (śmiech). Później zająłem się rapowaniem, a gramofony przyszły dużo później. Miałem co prawda jakieś paskowce w domu, ale scratchowanie traktowałem bardziej jako ozdobniki do moich rymów, niż coś osobnego. Pewnego dnia zobaczyłem na VIVie showcase DJ'a Hype i to mnie zarżnęło. Zdałem sobie sprawę, że gramofony to coś więcej niż tylko proste scratchowanie i że nic tak naprawdę nie potrafię. Później zaczęły się eksperymenty. Gdzieś podpatrzyłem, że można w fader stukać palcami a nie przesuwać go trzymając w ręku, i tak nauczyłem się transformów.
To prawda, że szczególne znaczenie miała dla ciebie impreza w Katowicach z udziałem Poltadera?
Byłem kiedyś na koncercie 3H w Katowicach. Po imprezie Polfader grał rutyny. Pamiętam to jak dziś. Trzepnęło mnie ostro i postanowiłem, że zajmę się tylko gramofonami.
Nazwałeś się kiedyś „zagorzałym fanatykiem scratchu". Co powoduje, że właśnie on kręci cię najbardziej?
Sctatching to moja naturalna forma ekspresji. Ja uwielbiam realizować swoje pomysły na bieżąco i dlatego wybrałem scratching.
Na czym polega przewaga scratchu nad beat jugglingiem?
Nie ma przewagi. Obie rzeczy są tak samo dobre. Kiedyś wychodziłem z założenia, że beat juggling jest nudny, ale zmieniłem zdanie po pokazie Lordz Of Fitness na ITF-ach. Wtedy na nowo odkryłem moc beat jugglingu.
Masz swój ulubiony trick?
Nie mam takiego. Wszystkie są fajne i wszystko staram się poznawać po kolei. Nie chcę być monotonny.
Powiedz, czego najtrudniej było ci się nauczyć?
Jeszcze jest dużo rzeczy, których muszę się nauczyć. Na razie mam większy problem z koncentracją przy graniu. Często jak gram, myślę zupełnie o czym innym, co sprawia że gram nieczysto. Chyba to chciałbym na dziś najbardziej zmienić w swoim graniu.
Czy w dalszym ciągu jesteś jedynym turntablistą na Śląsku?
Nie. Są ludzie na Śląsku, obok których nie można przechodzić obojętnie. BRK i Pistolet. To są ludzie, którzy mają taką samą zajawkę na turntablism jak ja. Oczywiście szkoda, że nie ma nas więcej. Chciałbym, żeby turntablism był bardziej powszechny.

> Hiphopowych beatów nie produkuję już wcale. Nie mam na to czasu ani ochoty. Ja praktycznie w ogóle nie słucham hip-hopu, mam inny pomysł na muzykę i słucham innych rzeczy

Zwycięstwo w ITF POLAND 2004, trzecie miejsce w Vestax Extravaganza 2004, do tego kilka innych tytułów. Musisz czuć się doceniony w swoim fachu?
Z jednej strony tak, a z drugiej nie. Te wszystkie tytuły to jest jakaś satysfakcja, ale wiem, że stać mnie na więcej. Jestem w szoku, że udało mi się tyle wywalczyć, zważywszy na to, że nie przyłożyłem się do tych turniejów w 100 procentach. Jedna rzecz, która mnie martwi, to pieniądze. Gdyby za tymi wszystkimi konkursami szły oferty grania imprez, robienia pokazów, prowadzenia szkoleń, oferty od firm fonograficznych. Gdyby poza sprzętem, który wygrałem, udało się to wszystko, to nie musiałbym pracować na kopalni.
A jak na turntablism reagują ludzie na imprezach, tzw. „zwykli" słuchacze? Czy rozumieją, co robisz?
90 procent nie rozumie tego, co robię. Świeży przykład. Grałem w listopadzie imprezę w Raciborzu z BRK. Zrobiliśmy 40-minutowy showcase. Na imprezę przyszło 20 osób, z czego słuchało nas 4. Cała reszta chodziła i pytała, kiedy będą jakieś wolne majki na freestyle. Po pokazie podeszły do nas 2 laski i mówią: „Moglibyście zagrać coś fajnego, coś do tańczenia, bo to, co gracie, to wiecie, tak po mózgu daje".
Jak wiele wysiłku wymaga turntablism?
Najważniejsze jest samozaparcie i dużo wolnego czasu, żeby ćwiczyć. Reszta przychodzi sama.
Znajdujesz czas na trening, czy życie prywatne, praca itd. skutecznie cię go pozbawiają?
Niestety praca w górnictwie daje mi mocno popalić. Ogranicza mnie czasowo i fizycznie. Czasami jak przychodzę z „szychty" to mam tak skamieniałe ręce, że nie mogę ich ruszać przez godzinę. Po za tym od pracy przy łopacie i kilofie zaczęły mi się problemy z krążeniem w rękach. Czasami nawet nie umiem ukroić chleba, bo drętwieją mi dłonie.
Opowiedz o projekcie „Commodore". Jak będzie wyglądał, jakie pomysły wcieliłeś, na jakim etapie są prace?
Płyta będzie następstwem EPki Extra Moro Organizmu, która powinna się pojawić jeszcze w styczniu w sprzedaży (zapraszam na www.emo.uk.pl). Będzie to album, którego będzie warto posłuchać. To jest coś więcej niż muzyka. To moja mała filozofia turntablizmu. Wszystkie informacje pojawią się na mojej stronie, kiedy pokaże się płyta.
Ostatnio na płycie gliwickiego Stylu V. I P. znalazł się twój beat. Dużo produkujesz?
Hiphopowych beatów nie produkuję już wcale. Nie mam na to czasu ani ochoty. Ja praktycznie w ogóle nie słucham hip-hopu, mam inny pomysł na muzykę i słucham innych rzeczy. Beat dla Stylu V. I P. to pozostałości po wcześniejszej epoce mojego muzykowania. Cały czas produkuję beaty turntablistyczne. Jest to nieodłączną częścią mojego grania. Bardzo chciałbym wydać battle break, ale niestety nie ma sponsorów na takie rzeczy. Tak naprawdę większość ludzi ma turntablistów gdzieś. Potrzebują od nich tylko scratchy na swoje albumy i supportów przed koncertami. Na tym się kończy zainteresowanie turntablismem. Szkoda, że nie wygląda to tak, jak np. w Niemczech.
Najważniejsze noworoczne postanowienie DJ'a Eproma?
Podjąć pracę związaną z turntablismem i wyrwać się z kopalnianych przekopów. Poza tym wydać battle break, płytę Commodore, znaleźć sponsorów, dzięki którym będę mógł to osiągnąć i rozwijać swój turntablism, robić nowe rutyny, z których będę zadowolony.

dj spox

scratching 09



Witam wszystkich stałych i nowych czytelników w nowym 2005 roku. Tym razem krótko, ale na dość konkretny temat. W tym numerze chciałem rozpocząć już kwestie skreczy, ale jako że na płycie cd dołączonej do numeru czeka na Was niespodzianka, to musicie wytrzymać bez opisu chirpa bądź flare'a jeszcze jeden numer. Postaram się bowiem w miarę opisać przygotowania i nagranie tego miksu

tekst DJ Spox

Pomysł jakiego mixtape'u chodził po głowach w redakcji już pewien czas, ale dopiero taka okazja jak numer poświęcony w większej części dj'om sprzyjał temu, aby dorzucić taką ciekawostkę na cd. Wybór wstępny kawałków ograniczył się do przesłuchania duuużej ilości materiałów i dopiero, gdy zdecydowaliśmy, że będzie to w sumie „Best of Polisz Andergraund 2004", kawałki zaczęły się nieomalże same dobierać, aczkolwiek nadal było ich całkiem sporo, w końcu więc nasz lubiany i szanowany współpracownik Jan Kowalski dokonał ostatecznej selekcji numerów, a rednacz się zgodził, pozostała jeszcze kwestia wykonania. Spokojnie przyjąłem założenie, że wytłoczenie winyli z tymi numerami raczej nie wchodzi w grę i od razu zacząłem szukać alternatywy. Opcje były cztery – systemy Final Scratch 2, Rane Serato, oraz odtwarzacze cd – Technics CDJ i Numark CDX. Dwie pierwsze opcje odpadły szybko ze względu na to, że mam średnie zaufanie do systemów opartych na kompach (uwielbiają się wysypywać w najmniej odpowiednich warunkach), z odtwarzaczem Technicsa nie miałem wcześniej kontaktu, natomiast na Numarku grałem już kilka razy. Najczęściej krótko, gdzieś na imprezie, ale zdołał uzyskać w moich oczach opinię niezłego sprzętu. Poczytałem sobie jeszcze dyskusje w sieci oraz przewertowałem strony z testami sprzętu dla dj'i i zdecydowałem, że go sprawdzę. Muszę tutaj podziękować firmie Numark Polska za udostępnienie mi zestawu dwóch CDX-ów w ekspresowym terminie.



Tak czy inaczej, do pracy nad mixtape'em zasiadłem dzień przed Wigilią. I tak naprawdę z przerwą na trzy świąteczne obiady i trochę snu siedziałem nad CDX-ami do wtorku 28 grudnia. Praca na tym sprzęcie okazała się megazajebistą przyjemnością do tego stopnia, że w moich planach zakupów sprzętowych na najbliższy czas CDX jest na górze listy. Już widzę i słyszę ironiczne stwierdzenia wytykające mi, że twierdziłem, iż tylko winyle, gramofony, że nie będę grał z kompaktów etc. Owszem, racja, aczkolwiek nie zamierzam przechodzić na cd, ani nic w tym stylu. CDX-y są idealnym narzędziem do robienia cutów, skreczy i mixtape'owych zastosowań. Wreszcie będzie można przestać martwić się o brak jakiegoś tekstu do refrenu, bądź o to, że przy skreczowaniu zjedziemy sobie płytę.

Dobra, ale do rzeczy. Krótki opis CDX-a: wymiarami jest prawie identyczny jak standardowy gramofon – wagą, niestety, też. Ma pełnowymiarowy talerz, na którym jest slipmata i winyl. Slipmatę można użyć własną, winyl też w zasadzie jest wymienny. Do tego dwa przyciski start\stop, suwak prędkości, regulacja startu i stopu talerza – to opcje gramofonu, a opcje cd – cue, loop, efekty, wyświetlacz. I tyle filozofii. Używanie banalne – wrzucamy cd i skreczujemy wszystkim, co na danej płytce się znajduje. I tu zaczyna robić się ciekawie. Dźwięk skreczu wychodzący z CDX-a jest najbardziej idealnym cyfrowym odwzorowaniem skreczy z normalnego gramofonu i płyty. Nie ma gubienia się, nie ma cyfrowych trzasków ani rozciąganego dźwięku, wreszcie przy bardzo wolnych skreczach lub bardzo szybkich nie ma opóźnienia dźwięku (tzw. latencji). Wszystko to występowało najczęściej w sprzęcie konkurencji. Płyta się nie zarysuje, nie zetrze w miejscu jednego skreczu (cue burn), a co najważniejsze – nigdy nie przeskoczy. Nigdy! Do minusów danego sprzętu mogę zaliczyć tylko dużą ilość wypalonych cd-rów, bo tak naprawdę nic niesympatycznego mnie nie spotkało od strony tego sprzętu. (Nie, firma Numark NIE opłaca tego artykułu).

Aby jednak nie było za słodko, to muszę powiedzieć, że rozmawiałem z Dj'em Cut Killerem podczas jego pobytu w Polsce (Cut Killer jest sponsorowany przez Numarka) i stwierdził, że grał już na CDX-ach wielokrotnie i zdarzyło mu się trafić na wadliwe egzemplarze, aczkolwiek wadliwe fabrycznie. Z kilkoma takimi opiniami spotkałem się też w sieci. Jednakże większość takich opcji wychodziła od razu po pierwszym włączeniu CDX-a, a firma Numark zazwyczaj nie robiła żadnego problemu przy wymianie wadliwego sprzętu na nowy. Godne naśladowania, nieprawdaż?

Jak wyglądała praca nad mixtape'em? Otóż zdecydowałem się nagrywać najpierw kilkunastominutowe sety próbne, aby wszystko wyszło jak trzeba. Sprawdzałem sporo kombinacji ułożenia numerów, przejść kawałków, skreczy. Każdy dj zazwyczaj dobiera sobie kawałki według jakiegoś klucza po to, aby mixtape miał sens w całości, tenże mixtape również ułożony jest według pewnego wybranego przeze mnie wzoru, ale to tajemnica zawodowa:). Kiedy miałem mniej więcej wszystko ustalone, zaczęła się konkretna praca, czyli nagrywanie właściwe – pod koniec miałem tak z 11 giga nagrań na dysku i wtedy zaczęło się dokładne selekcjonowanie i słuchanie. Nie będę opisywał szczegółów, mogę tylko zapewnić, że nie układałem niczego w kompie, nie wyrównywałem skreczy do tempa – co słychać kilkukrotnie – ale uważam, że dodaje to szczyptę realizmu i nie odbiega od normy. W wielu przypadkach ingerencja w ten mix musiała polegać na lekkiej poprawie brzmienia niektórych numerów. Wiadomo, że kwestie finansowe nie pozwalają niektórym artystom z podziemia wejść ze swoimi kawałkami do studia, ale chodziło też o to, aby mixtape brzmiał w miarę spójnie i nie było dziwnych dysproporcji zarówno w głośności jak i w brzmieniu kawałków. Praca nad brzmieniem też pochłonęła trochę czasu, lecz w końcu efekt finalny jest do posłuchania na CD. Niestety, ze względów czasowo „innych" byłem zmuszony wyciąć intro i outro, ale mam nadzieję, że te traki się nie zmarnują. Jest prawdopodobne, że nie jest to ostatni taki mixtape i że takie akcje będą pojawiać się częściej. A na razie – słuchajcie tegoż i w razie jakichś uwag zapraszam na forum Ślizgu lub do opcji mail: dj.spox@op.pl. Pozdrawiam.

afront
żadnych ciśnień

Afront to łódzki tercet, który w swojej muzyce łączy humor, wyobraźnię, a zarazem szacunek do tego wszystkiego, co udało się hip-hopowi osiągnąć. „Skupiliśmy się tylko i wyłącznie na rapie, bo to najlepiej nam wychodzi. Nie ma sytuacji, że robimy muzykę i odcinamy się od reszty, zupełnie się tym nie interesując" mówi zespół, a Kasina wspomina, iż próbował z Jankiem sił w malowaniu. Pogoda ducha nie jest piątym elementem hh, choć bardzo by się naszym artystom przydała. Afront ma jej wyjątkowo dużo, o czym możecie przekonać się czytając wywiad. Przygotujcie się mentalnie do zamieszania – zespół ma dla was nowy klip do „Nie mamy czasu", ma plan zrobić teledysk do „To cały ja", pozostaje w gotowości bojowej czekając na koncertowe oferty i zaczyna pracę nad trzecią płytą...

rozmawiała Wiedźma Cess (CS)
foto Kangol



Miało być tak pięknie... Płyta wyszła i nastąpiła wielka przerwa w promocji.
Kasina: To zależy od kiedy liczysz początek promocji (śmiech). To było niezależne od nas. Odnośnie promocji sami dla siebie robimy tyle, ile możemy, wiadomo, że mamy ograniczone możliwości, a reszta to jest kwestia wydawcy. Trudno nam powiedzieć, dlaczego to tak wygląda. Ta promocja może rzeczywiście nie jest najlepsza, ale z drugiej strony nie chcę tu jakiegoś defetyzmu siać. Trochę było też i w tym naszej winy.
Funksion: Ale mamy zamiar to nadrobić.
Kasina: Była też taka sytuacja, że mieliśmy trochę wcześniej ukończyć materiał, ale nam się trochę przeciągnęło nagrywanie i w momencie, gdy wydawaliśmy płytę, to zbiegło się to z dwiema innymi promocjami bardziej znanych artystów z Asfaltu i siłą rzeczy wysiłki Tytusa były bardziej skoncentrowane na tych wykonawcach.
Jak myślicie, co by było, gdyby poprzednia płyta została wydana przez tę wytwórnię, przez którą miała być wydana?
Kasina: To jest w sumie wielką niewiadomą.
Funksion: Ja się cieszę, że wyszło tak, jak wyszło. Myślę, że nie byłoby lepiej. Poczekaliśmy rok dłużej, ale wyszło nam to tylko na dobre.
A co by było, gdyby nie było Ostrego gdzieś tam przy was?
Kasina: No, zastanawiam się nad tym... Nie wiem, czy byśmy się spięli na tyle, żeby ruszyć ze wszystkim konkretnie. W sumie Ostry nas umotywował. bo od lat zajmowaliśmy się rapem dla przyjemności nie myśląc o tym, żeby wydać płytę. W końcu się coś ruszyło.
Czyli Ostry wziął was za fraki i powiedział „zróbcie w końcu materiał, bo jak nie to..."
Kasina: (śmiech) Jakoś nas nakręcił.
Funksion: Wtedy też wyszła opcja z przeglądem młodych kapel we Wrocławiu. Nie pamiętam, jak to się dokładnie nazywało, bo było to trzy lata temu.
Kasina: To była taka duża impreza, gdzie grały różne zespoły i przy okazji zorganizowano również konkurs. My się tam znaleźliśmy obok kilku innych kapel. Jakoś się skontaktowaliśmy z Markiem z Blendu.
Funksion: Z tego, co pamiętam, to było tak, że w sumie Adam was wypchnął...
Kasina: Tak.
Funksion: On przekonał chłopaków, żeby tam pojechali, ja wtedy jeszcze nie należałem do grupy. Najpierw wysłali materiał i się zakwalifikowali. Pierwszą nagrodą w konkursie miało być ileśtam godzin w studiu Blendu i nagranie materiału demo. Pierwsze miejsce na przeglądzie zajął Endefis, chłopaki zajęli drugie miejsce, ale kontakt z Blendem został nawiązany.
Kasina: Po prostu się wtedy dogadaliśmy z Markiem i coś zaczęło się kręcić. No. Przeszłość... Było, minęło...
Funksion: A jeśli pytasz, jak to bitowo by wyglądało...
Tak, bo w tej chwili na Waszym albumie są dwa Twoje bity, Funksion, no i jeden od nieobecnego podczas wywiadu Jasia, a reszta jest dziełem Adama...
Funksion: Na poprzedniej płycie, która była przewidziana do wydania w Blendzie, było tylko parę bitów Adama.
Kasina: Na poprzedniej? To było pół na pół.
Funksion: Pół to były bity Janka, a pół Ostrego. Ja jeszcze wtedy nie zdążyłem nic zrobić.
Kasina: Nie! To było tak, że była większość bitów Adama, kilka od White House, no i jakieś bity Jasia.
Funksion: Ja dołączyłem do chłopaków tak na stałe tuż przed wydaniem materiału, dlatego też nic nie zdążyłem zrobić na tamtą płytę.
Kasina: Leniłeś się (śmiech).
Funksion: Leniłem... Pracowałem za granicą!

Płyta jest konsekwentna brzmieniowo, natomiast tematycznie mamy dość spory rozrzut: i polityka i imprezy...
Kasina: Wszystko to, co nam do głowy wpadnie i jakoś to przetworzymy, staramy się, aby to było szerokie spektrum tematów, bo nie można nagrać w sumie płyty o tym samym.
Funksion: No chyba, że masz pomysł na album koncepcyjny, ale to nie miał być taki album, tylko o tym, co nas jakoś dotyczy.
Kasina: Staramy się też szukać nowych tematów, no ale nie zawsze się to udaje.
Z równą werwą mówicie o tym, że mamy „kulawe prawo i ślepą sprawiedliwość", jak i o jedzeniu...
Kasina: W końcu każdy wie, że jest źle, ale my staramy się widzieć pozytywną stronę.
Funksion: Nie lubimy popadać w marazm i „czarnowidztwo". Jest jak jest i nie ma sensu mówić pięćsetny raz o tym samym w taki sam sposób.
Macie jeszcze siłę, żeby wykrzesać w sobie optymizm mieszkając w mieście pełnym paradoksów, jakim jest Łódź?
Kasina: To fakt, że Łódź przoduje w dziwnych akcjach. Najważniejsze, żeby nie wypuszczać tego na pierwszy plan, bo nie może to zdominować naszej twórczości.
Funksion: Byłem w takich miejscach w Polsce, że zacząłem uważać, iż mamy szczęście, że mieszkamy w Łodzi, bo tu jest na prawdę dużo łatwiej. Nie chcę podawać konkretnych nazw miast...
Kasina: To fakt, jak się jedzie przez mniejsze miasteczka Polski, gdzie widać na pierwszy rzut oka jak ludzie żyją, to nie ma co narzekać.
Funksion: Łódź niczym się właściwie nie różni od większości dużych miast.
Funksion, kiedy zająłeś się dj'owaniem, sam wszystko rozkminiałeś, czy może miałeś jakąś pomoc?
Funksion: Kiedy zaczynałem, nie znałem nikogo, kto mógłby mi pomóc. Zanim w ogóle kupiłem sprzęt pościągałem z Internetu instrukcje miksera, gramofonu... Na pewno wpływ miało YO! MTV Raps, teledyski, płyty. Nigdy na przykład nie myślałem o tym, żeby rymować, od początku wiedziałem, że się nie nadaję do tego (śmiech). Po prostu stwierdziłem, że chcę się zająć dj'ingiem, udało mi się kupić sprzęt, a potem dopiero nawiązałem kontakt z Adamem Ostrowskim i od tego czasu zaczęliśmy działać z chłopakami.
Na płycie pojawia się wers o freestyle'owym battle. Jesteście gotowi do pojedynku w jakiejkolwiek formie, czy to za mikrofonami, czy za gramofonami?
Kasina: To nie jest tak, że szukamy jakichś problemów, okazji do sprawdzenia się, tylko po prostu freestyle'ujemy dla zabawy, lubimy to. Jeśli nadarzy się jakaś okazja, możemy spróbować, ale nie mamy żadnych ciśnień, żeby jeździć specjalnie na jakieś bitwy, żeby udowodnić, że jesteśmy tacy albo taaaacy.
Funksion: Ze mną jest tak samo. Zresztą zawsze, szczerze mówiąc, uważałem się za dj'a bardziej imprezowego niż bitewnego. Uwielbiam grać imprezy, natomiast sytuacje konfliktowe generalnie są mi obce. Oczywiście trochę sobie żartuję, ale jeśli mówimy o poważnych bitwach gramofonowych, to mam świadomość swoich słabości i wiem, że mi jeszcze brakuje, tak że nie pcham się do tego.
A co by było, gdyby spełnił się ten amerykański sen w takim kształcie, w jakim opowiedzieliście o nim w singlu?
Kasina: (śmiech) Nie chcę sobie tego nawet wyobrażać.
Funksion: Myślę, że tak, jak wszystko, ma to swoje bardzo dobre i bardzo złe strony (śmiech).
Kasina: Zaczęlibyśmy przesadzać... Chociaż nie, pewnie nie. Raczej nie liczę na to, że się spełni. Do czasu na pewno byłoby super, a co by się działo potem...
Funksion: Sukces mógłby nas zniszczyć (śmiech).

mobb deep
prawdziwi gracze



Od 12 lat oficjalnie na scenie – prawdziwi weterani hiphopowej gry, na których koncie znajduje się sześć longplayów i dwa mixtejpy, które też w zasadzie uważać można za pełnoprawne albumy. Jedni z prekursorów surowego ulicznego brzmienia z Nowego Jorku – Mobb Deep

tekst Grabiszczy

Zaczęli jako nastolatkowie w 1993 roku. Ich pierwsza płyta „Juvenile Hell" (wydana przez niewielką wytwórnię 4th & Broadway) nie przyniosła duetowi przesadnego rozgłosu. Była natomiast znakomitym preludium do późniejszych osiągnięć Havoca i Prodigy'ego, gdyż już tam słychać charakterystyczne brudne brzmienie z mocnym rytmem i mrocznymi samplami. Tematyka też była typowa dla późniejszych produkcji grupy – krótko mówiąc, teksty stanowiły reportaż z życia na ulicach Queensbridge. Tytuły mówią wszystko: „Me & My Crew", „Peer Pressure" czy „Project Hallways". Z czasem rozpoznawalność młodych raperów wzrosła, a ich wytrwałość w prezentowanej formie doprowadziła Havoka i Prodigy'ego do kontraktu ze słynnym Loud Records, które podówczas rosło w siłę. W 1995 roku ukazał się ich przełomowy album, „The Infamous". Nagranie, które przyniosło im i sławę, i pieniądze. Przede wszystkim rozgłos przyniósł im numer „Shook Ones, Pt. II", który aż do dzisiaj cieszy się sporą popularnością, w czym spora zasługa „Ósmej Mili". Dla mniej zorientowanych: to właśnie przy dźwiękach tego kawałka ów film się rozpoczyna. Płyta zawierała również kilka innych pamiętnych utworów, jak choćby „Survival Of The Fittest" czy „Eye For An Eye" z innymi słynnymi przedstawicielami nowojorskiego brzmienia, Nasem oraz Raekwonem z Wu-Tangu. Warto wspomnieć, że na tym krążku zadebiutował wieloletni towarzysz Mobb Deep, Big Noyd.

Po wydaniu „The Infamous" chłopaki poszli za ciosem i już rok później wypuścili kolejną płytę, „Hell On Earth". Ich sława obiegła już całe Stany, stąd debiut albumu na wysokim szóstym miejscu na liście Billboardu, kolejny duży hit „Hell On Earth (Front Lines)" i – co tu się dziwić przy takim obrocie sprawy – konsekwentne trzymanie się obranej „linii programowej": wciąż głównym, o ile nie jedynym, tematem ich tekstów (choć trzeba przyznać, że już wtedy Prodigy i Havoc zaczęli przemycać do swej liryki wątki edukacyjne) były ciemne strony egzystencji nowojorskich „czarnuchów". Fanom się to jednak nie nudziło, wręcz przeciwnie – gdy przyszło im czekać na kolejną produkcję Mobb Deep aż trzy lata, byli tak spragnieni kolejnych numerów duetu, że „Murda Musik" z miejsca wskoczyła na trzecie miejsce na listach najlepiej sprzedających się płyt i to mimo wcześniejszego, daleko posuniętego jej bootlegowania i kilkukrotnego odsuwania premiery. Album ten to bodaj szczyt kariery duetu. Triumfy święcił wielki przebój „Quiet Storm", będący kwintesencją ich stylu, popularny był także numer „It's Mine" z featuringiem Nasa i refrenem będącym parafrazą hitu „The Boy Is Mine" Brandy i Moniki.

Następnie Prodigy wydał swą solówkę „H.N.I.C.", również utrzymaną w klimacie Mobb Deep, choć za większość produkcji odpowiadali inni niż Havoc producenci. Niestety, mniej więcej wówczas rozpoczęły się zdrowotne problemy P., z którymi musi się on borykać do chwili obecnej (właśnie przez kłopoty ze zdrowiem Prodigy'ego odwołany został pierwszy planowany koncert Mobb Deep w Polsce). Niemiłym ciosem w reputację duetu był kawałek Jaya-Z z płyty „The Bluprint" zatytułowany „Takeover", na którym Hova dissuje MD obok Nasa. Ten drugi nie popuścił i wyszedł ciekawy beef, zaś Havoc i Prodigy nie odpowiedzieli na zaczepkę. Dla niektórych fanów była to oznaka słabości, a gdy na dokładkę usłyszeli słodziutki singiel „Hey Luv (Anything)" we współpracy z grupą r'n'b 112, wielu z nich było zawiedzionych zmianą stylu duetu. Singiel i promowany przez niego album „Infamy" odniosły jednak sukces. Faktem jest, że hardcore'owa stylistyka nieco na tej płycie zelżała, pojawiły się choćby żeńskie wokale, lecz błędem byłoby ocenianie jej wyłącznie przez pryzmat wspomnianego singlowego numeru. Są tam przecież takie perełki, jak „Live Foul" czy „I Won't Fall".

W ubiegłym roku Mobb Deep wydali nakładem Jive Records swój szósty album „Amerikaz Nightmare", poprzedzony płytą „Free Agents: The Murda Mix Tape". Tak jak wydany w 2003 mixtape przeszedł bez większego echa (mimo sporej ilości nowego materiału na nim zawartego), tak „Amerykański Koszmar" to powrót do najlepszych tradycji duetu. Znakomite połączenie tradycji z nowoczesnością, świetny singiel „Got It Twisted", zaskakujące kolaboracje z Lil Jonem czy Nate Doggiem, pierwszoligowi producenci (Alchemist, Kanye West) towarzyszący wciąż rozwijającemu się Havokovi – całości słucha się bardzo dobrze. Nie jest to już ten sam hard core, co w połowie lat dziewięćdziesiątych, ale na dobrą sprawę, ileż można? I druga rzecz – kto nie idzie do przodu, ten się cofa.

Na zakończenie warto jeszcze wspomnieć, że pod koniec 2004 roku na rynku amerykańskim ukazał się mixtape duetu „The Mix Tape Before 9/11", którym Mobb Deep udowadniają, że wciąż potrafią dać czarnej ulicy trafiające w jej gusta surowe, mocne brzmienie. To się nazywa wszechstronność. Choć fakt, że haterzy mogliby równie dobrze znaleźć nieco inną nazwę...



BEST OF THE BLOCK ENTERTAINMENT PRESENTS: MOBB DEEP INFAMOUS ALLEGIANCE PT 1
LITTLES/dystrybucja KARTELMUSIC

To nielegalne dvd wyszło chyba tylko dlatego, że w Stanach zdaje się materiał video nie jest dowodem w sądzie. Bo to, co tu się, k...a, dzieje, przechodzi ludzkie pojęcie. Jesteście fanami Mobb Deep? OK, ja też. I dlatego miałem zajebistą radochę, mogąc obejrzeć moich idoli w takich sytuacjach, jakie zwykle ludzie nagrywają sobie kamerką tylko po to, żeby trzymać to u siebie na półce i najwyżej pokazywać najbliższym znajomym...

Ja rozumiem, że najebać się substancją zakazaną i siedzieć na backstage'u gadając głupoty, to przywilej gwiazd muzyki rap. Ale żeby do tego stopnia?! OK., to nie zarzut, bo fajnie sobie to pooglądać. Podobnie jak Havoka i Prodigy'ego w studio czy też podczas podróży do Kalifornii samochodem. Prowadzi Alchemist, jest Big Noyd na pokładzie terenowego krążownika, są tematy do rozmowy.

Na tym video zobaczymy kilka ciekawych miejscówek. Między innymi kultowe kalifornijskie studio tatuażu Mr. Cartoona, w którym dziargało się wielu znanych wykonawców rapu z całych Stanów, żeby wymienić tylko Eminema, Exzibita czy kolesi z Cypress Hill. Kalifornia to jednak dla Mobb Deep tylko cel krótkiej podróży (i okazja do zabawy bronią palną w hotelu, Jezu..., zresztą na tym video gnaty pojawiają się często). Kozactwem pełnym jest podróż po Queensbridge, po którym oprowadzają Havoc i P. Miejscówki pokazane inaczej, niż w teledyskach. To wszystko plus podróż z kamerą na komisariat. Albo to jest montowane, albo... Nieważne, podam tylko rozszerzenie skrótu NYPD – New York Pricks and Dicks, tłumaczyć nie będę.

Wszystkich „bonusów", jakie znajdują się na tym dvd, nie opiszę. Nie mam zamiaru psuć wam zabawy. A tej fani hardkorowej formacji z NYC będą mieli sporo. I jest jeszcze jedna kozacka rzecz – do dvd dołączony jest również cd z produkcjami MB i ziomali z dzielnicy. Kilka naprawdę niesamowitych, niedostępnych nigdzie indziej produkcji, m.in. numer Lloyda Banksa z G-Unit z Havokiem, DJ Big Mike, DJ Green Lantern i Gun Sling w exclusive'ach. Można to cudo kupić w Polsce, warte każdych pieniędzy. ***kwl***

nowe klipy

tekst Red Ant

3...2...1...buuummm!!!

Tak, tak to wspomnienie i szum pozostałe po sylwestrze... Czerwona Mrówka jeszcze ma kłopoty ze złapaniem równowagi... od tych wystrzałów;)). No, ale cóż, koniec tego dobrego. Trzeba rzucić się w wir pracy, aby ten nowy 2005 rok był lepszy, a może być lepszy, jeśli pracy będzie więcej. Musicie wiedzieć, że mrówki do życia potrzebują pracy, bo bez niej się marnują. Oczywiście chodzi tu o czarne mrówki! Takie jak My-Czerwone, do życia potrzebują kobiet, zabawy i czegoś na ząb;))). Przerwa świąteczna przedłużyła się trochę i Mrówka nie zdążyła przejrzeć wszystkich nadesłanych klipów, ale coś tam się udało...

Nie da się ukryć, że klipy są kolorowe i chwytające, ja to nazywam lokalnym wrażeniem. Kiedy patrzy się na te filmy, dłużej nic po nich nie zostaje. Podobają mi się zdjęcia, ciężko mi jednak powiedzieć o nich klip. Prosty test – bierzemy płytę w dwa paluchy, kładziemy płytę do wieży i puszczamy. W tym samej chwili uruchamiamy odbiornik TV, cierpliwie czekamy na teledysk hiphopowy. Doczekawszy się wyłączamy Ionię i puszczamy płytkę. I co? Pasuje? No właśnie! Z moich doświadczeń wynika, że jeżeli wcześniej nie widziałem klipu, to pasuje. Nie ma kluczowych (dobrych) ujęć, stanowiących oś, do której wraca treść klipu. Brakuje prowokacji, intrygi, zabawy. Przeważa strach przed tym, jak będzie odebrany klip, jak zareagują ziomy.

Do cholery bieda! Widziałem trzydzieści klipów z ładnymi zdjęciami, w których przewalają się cycki, i nie zapamiętałem żadnego numeru. Wynika z tego, że inspirują was wyłącznie istniejące klipy. Wasze pomysły są lepsze, gwarantuję wam, na tym polega rozwój. Zapomnijcie wzory na klucze oświetleniowe, pokażcie, co wam się podoba. Stare pryki czekają! Co was inspiruje? Jak chcecie o tym powiedzieć? A sprawa jest o tyle nieprzyjemna, że jeżeli staracie się komuś przypodobać, to rezygnujecie z własnego JA. To jest bardzo dobre dla tych, co tego JA nigdy nie mieli i puszczają swoje klipy w TVP2. Funkcjonujecie w czasach bez cenzury, możecie mówić, co czujecie, a powtarzacie po innych... Dobra,

PEJA „Życie kurewskie"

Peja dał mi popatrzeć w telewizor. Jak zawsze szukam czegoś, co wynika między wierszami z tekstu i obrazu. Tam gdzie widać cierpienie bogactwa, i szczęście chorego, którego nie sposób zrozumieć. Coś takiego stało się w tym klipie. Podoba mi się w tym klipie, że niema tu nic nadętego. Nic na siłę, nic patetycznego. Z drugiej strony samo życie. Treść tego klipu nie niesie żadnej historii, ale to tylko pozory, bo tak na serio to niesie historię każdego, kto widział: cwaniactwo, frajerstwo, złodziejstwo, obłudę. Powtarzające się motywy z drobnymi zmianami subtelnie rozszerzają temat i kiedy wydaje się wszystko powiedziane, na rękach ochroniarza pojawia się dziecko. „Dziecko" to „dziecko", pojawia się ono jakby w kontekście pewnego sprzeciwu, nieuchronnego obrotu spraw tego świata. To symbol powtarzania błędów, dla innych nadzieja na ich poprawienie i szansa na życie niekurewskie.

Świetny montaż, choć mogłoby być trochę szybciej. Tak sugeruje muzyka. Są momenty gdzie obrazy przyspieszają i dają wrażenie wolnego przepływu różnych obrazów i myśli. Ma to trochę charakter dokumentalny. To są właśnie smaczki tego klipu.

No, ale cóż... Nie można tylko słodzić! Jest jeden moment, gdzie transowy lot mrówki został przerwany ostrym pikowaniem w kierunku planety Ziemia... W kadrze pojawia się „bezczelny" cień operatora biegnącego z kamerą po boisku. O LITOŚCI!!! To było straszne sprowadzenie do rzeczywistości. Ktoś powie: ten klip to rzeczywistość! Tak, zgadza się, ale pamiętajmy, że jest to mały film i jaki by nie był, to zawsze wprowadza widza w inny wymiar. A cień kamery w kadrze to zupełnie inna, słaba bajka...

Tym optymistycznym akcentem RedAnt kończy nadawanie;).
Pozdro.

PS. redant@op.pl ...jakby co...







dj krush
trwać w ruchu



Jest muzykiem utalentowanym i cenionym nie tylko przez odbiorców hiphopowych. W ciągu niemal 20 lat działalności jego pseudonim stał się jeszcze jedną rozpoznawalną japońską marką. Aż trudno uwierzyć, że gdyby nie jeden film, nikt dziś nie słyszałby o DJ'u Krushu, może w latach 80. kilka tokijskich dzienników wspominałoby o niejakim Hideaki Ishii, dilerze narkotykowym zastrzelonym w wojnie gangów...

tekst MamaCess (Czyste Słowa)

Choć trudno w to uwierzyć, patrząc dziś na tego 43-letniego poważnego i wrażliwego Japończyka, kiedyś był naprawdę niespokojnym duchem - „uciekałem ze szkoły, zadawałem się z gangami - pracowałem nawet dla jednego takiego gangstera, brałem narkotyki, wdawałem się w bójki, wiecznie aresztowała mnie policja". Któregoś dnia jednak zerwał wszystkie szemrane znajomości i wyrwał się z przestępczego półświatka, a wszystko dzięki kultowemu dziś obrazowi firmowanemu przez Zulu Nation – „Wild Style". Krush przyznaje, że oba światy – przestępczy i rapowy – są ze sobą bardzo silnie powiązane poprzez koncentrację na ulicznym życiu i podziemiu, dlatego tak wczuł się w film i odnalazł dzięki niemu nową drogę życia.

Początki nie były najłatwiejsze. Chociaż dziś wydaje się to niemożliwe, w połowie lat 80. w Japonii nie było czegoś takiego jak mikser dj'ski. Nie było też nikogo, kto mógłby pokazać początkującemu turntabliście i producentowi jak sobie poradzić z różnymi trickami. „Musiałem się wszystkiego uczyć sam. Zacząłem od dociekania jak skreczować tak, jak to robili inni dj'e w utworach. Robiłem wszystko, co było tylko możliwe na sprzęcie, który miałem, dlatego teraz jestem w stanie maksymalnie wykorzystać możliwości każdego ze sprzętów, na których gram."

W 1987 roku powstało Krush Posse, w którego skład wchodził Hideaki i jego młodszy brat, który przybrał sceniczny przydomek Bang. Nazwę grupy, a zarazem przydomek Krush zawdzięcza publice jednego z klubów, w których grał. W weekendy organizowano tam szeroko pojęte imprezy „open mic" – swoje dokonania mogli tam zaprezentować nie tylko raperzy, czy ogólnie wykonawcy muzyczni, ale także dj'e. Kiedy za gramofony wszedł Krush, ludzie zaczęli krzyczeć „Zgnieć ich! Zgnieć ich!" i tak już zostało.

Muzyka tworzona przez Krusha jest niezwykle eklektyczna i plastyczna. Łączy w sobie rozwiązania rytmiczne typowe dla hip-hopu, breakbeaty, często odwołuje się do jazzu, nie tylko poprzez improwizację, ale także sięganie po klasyczne dla tego gatunku instrumenty: trąbkę i saksofon.

Każdy z jego albumów jest inny, bo, jak przyznaje Ishii, nie lubi zatrzymywać się w jednym miejscu: „Na każdej płycie staram się robić coś nowego, eksperymentować". Jednak wszystkie albumy mają pewne wspólne cechy składające się na bardzo charakterystyczny styl tego dj'a. To przede wszystkim wspomniane wyżej zamiłowanie do instrumentów dętych, także typowo japońskich - bambusowych fletów shakuhachi, ryuteki i kagurabue - dzięki ich brzmieniom Krush połączył nowoczesne trendy muzyczne z tradycyjnymi dźwiękami ze swojej ojczyzny (zresztą łączenie tradycji z nowoczesnością to jedna z wizytówek kraju kwitnącej wiśni). Z czasem nie tylko samplował je, ale także nagrywał na żywo zapraszając do współpracy popularnych muzyków sesyjnych (ukoronowaniem stała się nagrana wspólnie z trębaczem Toshinori Kondo świetna płyta „Ki-Oku", ale również występy wirtuoza gry na shakuhachi na najnowszym albumie „Jaku"). Krush porusza się także w obrębie określonych brzmień perkusji - brudnych i mocnych. Bardzo starannie dobiera sobie gości. Kiedy nagrywał album „Shinso (Message at the depth)" – własną odpowiedź na zamach 11 września, zaprosił na niego raperów z Anticonu i Anti-pop consorcium, którzy są „anty" nie tylko z nazwy.

Zresztą to nie jest pierwszy przypadek, kiedy jakieś aktualne zdarzenie inspirowało Japończyka. Gdy przygotowywał w Nowym Jorku płytę „Meiso" całymi Stanami wstrząsnęła wiadomość o zamachu bombowym w Oklahoma City. Sam przeczytał o tym w jednym z dzienników, gdzie obok artykułu było wielkie zdjęcie przerażonego strażaka niosącego spalone dziecko. Poruszyło go to na tyle, że nagrał utwór „OCE 9504" i zamieścił go na płycie...

> Wychodząc z cieni przeszłości, trwać w ruchu, nigdy nie oglądać się za siebie

Podczas komponowania muzyki Krush nie zwraca natomiast absolutnie uwagi na trendy: „Kiedy nagrywam, nie jestem świadomy co jest nowe i gorące w hip-hopie, więc nawet nie wiem, czy działam zgodnie z panującą modą, czy przeciwko niej. Czasem tylko oglądam występy amerykańskich dj'ów robiących numery w obrębie tak zwanego hip-hopu abstrakcyjnego, jeśliby usunąć z nich rap." Sam jest zwolennikiem minimalizmu rapowego. Jego albumy nie są przeładowane popisami mc's, dzięki czemu można się lepiej skupiać na treści zawartej w samych kompozycjach, poza tym, jeśli nie ma rapera, producent ma swobodę eksperymentowania z całą gamą różnych dźwięków. Z kolei „umieszczając utwory instrumentalne i rapowe obok siebie na jednym krążku, jest możliwość zaobserwowania, czy dj jest w stanie zrobić wystarczająco dobry numer bez wokali, by potem podołać takiemu z wykonawcą."

Obok raperów i muzyków sesyjnych Krush często zaprasza wokalistki – kolaboracje z nimi brzmią naprawdę świetnie, wystarczy choćby wymienić tu soulowe „Danger of Love" z Zap Mamą, nastrojowe „Find Home" z Esthel, czy bardzo energetyczny „Aletheuo" z Angeliną Esperanzą na „Shinso". Jak większość turntablistów nie stroni także od współpracy z innymi dj'ami. Na swoim koncie ma wspólny utwór z X-ecutioners, płytę „Ryu" będącą efektem pracy z dj'ami Hide i Sak, którzy pojawili się także na solowych krążkach Ishiiego. Najczęściej jednak Krush występuje w duecie z Shadowem, zresztą obu panów wiele łączy, choćby ich europejski wydawca – legendarny James Lavelle (a w zasadzie Mo Wax, w którym Lavelle jest specem od A&R). Najważniejsze są jednak podobne upodobania brzmieniowe i dobra chemia, której świadectwem są liczne wspólne sety, mini-epki, czy udział Shadowa na albumie „Meiso". Krush szczerze wierzy w to, że obaj są w stanie używać swoich gramofonów jak mikrofonów i rozmawiać za ich pomocą ze sobą - „dj'e także mają coś do powiedzenia, a ja chciałem sprawdzić, jak dobrze mogę przekazać wiadomość lub obraz z mojej wyobraźni za pomocą dźwięku".

Zarówno jako człowiek, jak i producent Ishii przebył długą drogę od początku swojej kariery muzycznej. Debiutował dwa razy – w 1994 na rynku azjatyckim i europejskim albumem „Strictly turntablized" i rok później na rynku amerykańskim płytą „Krush". Oba krążki są zdecydowanie najbardziej hiphopowe w całej karierze Ishiiego – typowe dla gatunku ułożenie perkusji, spora surowość w wyborze sampli – oczywiście jak na możliwości tego producenta, gdzieniegdzie pojawiają się scratche i dźwięki trąbki. „Meiso", mimo, że znaleźli się na nim klasyczni raperzy – Guru, the Roots (nie jest to ostatni raz, kiedy Krush zaprasza Rootsów do współpracy, pojawiają się na jego płytach w rozmaitych konfiguracjach), C.L. Smooth, jest bardziej eksperymentatorskie, jazzowo-breakbeatowe, a zarazem mroczne. „Milight" to głębszy oddech po trzech pierwszych płytach - jest zdecydowanie jaśniejszy i bardziej optymistyczny. „Kakusei" jest najbrudniejszym i najcięższym z albumów. Pełno tu niepokojących dźwięków, zgrzytów, pisków, niby-ludzkich krzyków, pogłosów. „Zen" z kolei jest najbardziej „przejściową" i „niezdecydowaną" płytą - zawieszony pomiędzy tym, co Krush robił wcześniej i tym, co zamierzał robić w przyszłości. „Shinso" okazuje się jedną z trudniejszych i „zbuntowanych" pozycji w dorobku Japończyka. Najnowsza płyta - „Jaku" jest definitywnie najdojrzalsza, bardzo jazzowa, bardzo nastrojowa, klimatyczna i kojąca.

Panująca już od dłuższego czasu moda na sushi, samurajów, anime i inne bardzo japońskie rzeczy może być doskonałym pretekstem, by sięgnąć po płyty Krusha. Jedni pokochają jego muzykę od razu, taką, jaka jest, drudzy będą potrzebowali więcej czasu, by do niej dojrzeć. Jeśli nie jesteście pewni, od czego zacząć, Hideaki wyszedł wam naprzeciw przygotowując kilka mixtape'ów z własną twórczością, z czego najciekawszy jest „Holonic".

rahzel
kocham hip-hop



Członek The Roots, jeden z najlepszych beatboxerów na świecie, wynoszący tę umiejętność do rangi sztuki. Współpracuje z wieloma muzykami, wśród których można wymienić choćby Everlasta, Bjork, Erykę Badu i Mike'a Pattona, z którym gościł zresztą w ubiegłym roku w Polsce. Przed wami Człowiek-Orkiestra, Rahzel

rozmawiał Tomek Michniewicz

Kto jest drugi i trzeci na top-liście po „niekwestionowanym mistrzu świata"?
Jest mnóstwo dobrych gości. Jest Kenny Mohammed, Scratch, DOA...
...Killa Kela?
Killa Kela jest niezły, choć dla mnie nieco za biały. Zwłaszcza, że on odchodzi od hip-hopu, coraz bardziej zmierza w kierunku drum'n'bassu.
Na jednym wdechu wymieniasz kilku dobrych beatboxerów. To skąd ta pewność, że jesteś z nich najlepszy?
Bo wiem więcej o muzyce, niż każdy z nich. Bo słucham muzyki, od kiedy latałem po podwórku z wiaderkiem mając pięć lat. I to naprawdę jej słucham, chłonę, wsłuchuję się w nią. I to nie tylko czarną muzę. Wszystko jak leci, stary. Opera, country, folk. Ja po prostu rozumiem muzykę, wiem o niej dużo.
Ile sprzedałeś egzemplarzy swojej płyty „Make The Music 2000"?
300 tysięcy.
To trochę mizeria. To jest wynik godny mistrza świata?
Nie wydaliśmy ani centa na promocję, nikt nie nagłaśniał tej płyty. Te trzysta tysięcy płyt rozeszło się podziemnymi kanałami, pocztą pantoflową. I popatrz, nawet ty ją masz. To chyba niezły wynik.
Ale ostatni album Black Eyed Peas to bestseller...
Gdybym wydał płytę w A&M, to też bym sprzedał jej trzy miliony. To jest maszyna – masz w wytwórni znane nazwiska, pieniądze na reklamę, promocję, sprzedasz każdą płytę. Tak to działa. A poza machiną promocyjną to jest po prostu dobry album, nie dziwne, że się sprzedaje.
Czy to prawda, że nie można nauczyć kogoś beatboksu?
No pewnie. Przede wszystkim musisz chcieć się tego nauczyć. Możesz u kogoś podpatrzeć jakieś podstawowe sztuczki, ale dalej już musisz pracować sam. Beatbox opiera się na wiedzy i kreatywności, a nie na lekcjach jak w szkole. Musisz znać dźwięk, poznać go bardzo dobrze. Wiedzieć, czuć, jak co brzmi, żeby potem szukać technik, które to naśladują. To jest sztuka, a nie zabawa w oddychanie, plucie w sitko i zasuwanie sto mil na godzinę z mikrofonem, jak to niektórzy traktują.
To co sądzisz o tutorialach, tych wszystkich DVD „beatboxing w weekend"?
To szajs do zbijania pieniędzy. Owszem, są tam jakieś podstawy, jakieś banały, ale choćbyś ich przejrzał setkę, to nie zrobi to z ciebie beatboxera.
Komercja, jak wszędzie. Jak ci się więc podoba kierunek, w którym zmierza coraz bardziej komercyjny hip-hop?
Są rzeczy, które mi się podobają i są rzeczy, które mi się nie podobają. Jest sporo miglanców, którzy grają jakieś smuty, ale jest też wielu ludzi, którzy pchają hip-hop cały czas do przodu, tak jak na początku. O to w tym chodzi. Zachowując beat, flow, zmieniać go cały czas, ewoluować.
A w której z tych przegródek umieścisz bling-bling?
Przecież bling-bling to nie jest nic nowego. Ktoś ostatnio wyciągnął takie słowo, wylansował je i mamy niby nowy styl bling-bling. A to było w hip-hopie od zawsze! Slick Rick, Big Daddy Kane – oni zawsze mieli złote łańcuchy i samochody, ale wtedy się o tym nie mówiło. Może dlatego, że Big Daddy Kane miał bryki pełne lasek, ale nie nagrywał piosenek o tym, ile to on takich bryczek ma. A teraz są artyści, którzy rapują tylko o tym, co mają i dlatego to zwraca na siebie uwagę. Ale sama biżuteria była w hip-hopie od zawsze.

Czy z perspektywy Amerykanina masz wrażenie, że inne kraje kopiują hip-hop, że to, co robią, to nieudolna podróbka amerykańskiej muzyki?
Czasami tak. Ale są takie sceny, jak np. francuska, gdzie masz Alliance Ethnik czy Manau i to jest w ogóle inny klimat, inna melodyka, całkowicie świeża rzecz. Dobrze, że są takie zjawiska, bo to sprawia, że hip-hop się rozwija, gdy takie różne kultury się nawzajem przesiąkają.
W polskim mamy takie zwroty jak „sprawdź to" czy „zróbcie hałas", które są bezpośrednimi kalkami angielskich wyrażeń. Dokładnie to samo znaczenie, tylko słowa nasze. Kopia?
To nie jest kopia, to jest po prostu tłumaczenie na wasz język pewnej idei, wspólnej dla wszystkich. Tak po prostu wygląda nasze pokolenie, takimi wyrażeniami się porozumiewamy.
Co sprawia, że po takim koncercie jak ten na Battle Of The Year, na 10 tys. osób, masz ochotę przyjechać do Polski i zagrać w małym obskurnym klubie dla 300 gości?
Miłość do hip-hopu, to wszystko. Jeśli kochasz tę muzykę, rozmiar klubu nie ma znaczenia. Gram dla ludzi, nie dla pieniędzy.
Na twoim zimowym koncercie w Warszawie na scenie pojawiło się spontanicznie kilku naszych beatboxerów. Co o nich sądzisz?
Byli OK, serio. To było dla mnie duże przeżycie, zobaczyć Polskę biorącą udział w hip-hopie, współtworzącą go. Dla mnie coś zupełnie nowego.

analogia
dar pomorza



Wewnątrz Wielkiego Jot mamy wiele crew: Bezele, Gib Gibon, GTW a teraz Ziomboi Klika. „Co tu dużo mówić. To nasze ziomeczki, z którymi robimy rap: DwaZera, KSC, DJ Chill, DJ Wojak" – mówi Kaszalot, który wraz z tworzonym razem z Benkiem i RDW zespołem Analogia jest oczywiście członkiem formacji. Benito z sentymentem wspomina piesze wycieczki z Żabianki do Sopotu, tylko po to, by wieczorem porapować, ale trójmiejski tercet do energicznego, przebojowego debiutu „Esensja Czysta" przebył drogę znacznie dłuższą. Sami przeczytajcie

rozmawiał Flintstone (CS)

Do tej pory na oficjalnej scenie trójmiejskiej działo się niewiele. W 2004 nastąpiła istna eksplozja – w ramach PCP zadebiutował na legalu Definks, wyszedł Elegans, wyszło DSPR, jeszcze wcześniej Rymoplastykon. W końcu ukazała się Analogia.

Kaszalot: Na pewno nie było tak, że to się nagle wysypało. Owszem, pojawiło się na legalu, ale wcześniej działo się podziemnie, a teraz wypłynęło.

RDW: Mieszkamy w Trójmieście. nie w Warszawie. Tutaj nie ma firm fonograficznych, które by nas wydawały. Kontakt jest utrudniony, wszystko dłużej idzie. W Warszawie łatwo zagrać trzy, cztery koncerciki i gdzieś się wbić. Ktoś z tych bardziej znanych raperów weźmie cię pod skrzydła i już idziesz do przodu. Wiele kapel, które zaczynały w tym samym czasie co my, ma na koncie drugą, trzecią płytę. Zaczynali, kiedy my graliśmy już koncerty. Ale u nas nikt nie spieszy się, żeby wciskać się gdzieś na siłę.

Co do koncertów, te sporo wam dały. Słyszałem jak supportowaliście u siebie Peję i tak dobre występy jak tamten przełożyły się chyba na zaproszenia na płyty...

Kaszalot: Dzięki koncertom się poznaliśmy, to podziałało „środowiskowo".

RDW: Po pierwszych koncertach z pierwszym materiałem „To co w nas drzemie" poznaliśmy Stopera z Zoom Cafe w Gdyni. Knajpa była jego, robiliśmy mnóstwo koncertów i co chwilę próby. Udostępniał nam sprzęt. Przez pół roku tych występów było full. To był najlepszy okres, byliśmy niesamowicie obcykani z materiałem. Z czasem zaczęliśmy zapraszać do siebie artystów, którzy nas zauważali w innych miastach, mówili „O, fajna grupa". Tak narodziły się kontakty z Peją, Witrynami czy Tedem i powstały featuringi. Od paru lat tkwimy w tym wszystkim, poznaliśmy się na tyle, że wiedzą, iż nie odpierdolimy maniany totalnej. Stąd też ich obecność na naszej płycie. Nie jest to na zasadzie „Ej, bo my tu wydajemy w Wielkim Jot i damy wam 5 tysięcy".

Bardzo oryginalnie podeszliście do gościnnych występów. Większość płyty jest ich pozbawiona, a potem nadchodzi kumulacja. W jednym utworze WFD, w drugim Sokół, Fu i Peja. Trudno było zebrać ich razem?

Kaszalot: Nie zapominaj o Raku.

Benek: Raczej bardziej się tym jarali, niż uważali to za przeszkodę.

RDW: Nikt nie miał z tym problemów. Udział Warszafskiego Deszczu wyniknął bardzo spontanicznie, miał być Tede, potem wyszło na to, że byłoby fajnie, gdyby Numer dograł zwrotkę, skoro jest z nami. Skoro mieliśmy już dwóch, to czemu Marian miałby nie zrobić skreczyków? Wyszła z tego od dawna oczekiwana współpraca. A z kawałkiem „Byłem pewien" było tak, że chłopaki nie za bardzo chcieli się dogrywać, mi podobał się beat, napisałem zwrotkę i pomyślałem, że w takim wypadku dobiorę gości. Rychu z miejsca pasował elegancko. Doszedłem do wniosku, że Sokół jest dobrym raperem, więc z takim tematem sobie poradzi. I wyjdzie niestandardowe połączenie, coś nowego, podejście z innej mańki.

Hip-hop to jedno, ale wiem, że ty, RDW, grałeś bardzo dużo koncertów jako mc drum'n'bassowy. To na pewno nowe doświadczenie. Jak się w tym odnalazłeś?

RDW: Jaram się tym i to strasznie! Kiedy znów się zbierze moja ekipa, będę cisnął to nadal. Mistrzowskie imprezy, mistrzowskie wyjazdy. Zwiedziłem trochę miejsc, pojeździłem po Polsce, poznałem ludzi. Byłem w Berlinie, mieliśmy jechać do Czech, w trasę po najlepszych klubach, ale niestety się rozchorowałem. Sabbia Kru, ze mną i DJ'em Rosem była dobrą bandą na najlepsze imprezy, kiedy obok mieliśmy czołówkę: Weekenders, Sonic Trip z Łodzi, Electric Rudeboyz, czy Fevera z jednym ze swoich mc. To ogromne doświadczenie obycia z publiką. Non stop szedł freestyle, jechałem na wolno i dwie godziny.

A ty, Benek, co sądzisz o takich klimatach?

Benek: Kiedyś miałem dużo oporów. Kiedy Radziu na początku grał, zapraszał mnie, ale niespecjalnie miałem na to zajawkę. Przekonałem się do d'n'b bardzo, bardzo późno i to nie na tyle, żeby wyszedł przed hip-hop. Kiedy DJ zgrywa mi bit pod wolne style, musi być śmietnik, musi być brud, wtedy jest dobrze. Jeżeli chodzi o imprezy, u nas tych hiphopowych na dobrym poziomie nie ma. Możesz co najwyżej pobujać się z nastolatkami do tanecznych hitów, ale o coś dobrego ciężko. Zdarzają się za to klubowe kozaki, na których można się dobrze wyszaleć. Pod tym względem się jaram, ale co do mojej twórczości, to co najwyżej gdzieś gościnnie...

RDW: Przy dobrych najebkach, kiedy pojawiała się Ziomboi Klika, Benio łapał za mikrofon i się w to wkręcał.

Muzycznie Analogia nawiązuje do brzmienia złotej ery, do bangerów wyrzucających do góry ręce na koncertach. Zamysłem było cofnięcie się, ucieczka od elektroniki i eksperymentów?

Kaszalot: To efekt naturalnego odbicia muzyki słuchanej przez nas na co dzień. Starałem się zrobić klasyczne beaty zaaranżowane w nowy sposób, powalczyć z samplami.

Benek: Iść do przodu, ale nie zapominać tamtych patentów. Produkcyjnie hip-hop coraz mniej mi się podoba, ale bez sensu jest też zamykać się w latach, które minęły.

Kaszalot: Dla mnie hip-hop to sample, wtedy, kiedy z fragmentów możesz poskładać nową jakość.

RDW: Analogię chciałbym pozostawić w klimacie w którym tkwi od początku – samplowania i robienia tłustych produkcji z brudem, ale ja zajarałem się Francją – beaty bez sampli, ale wciąż dobre. Fonky Family, Double Fact, Rohff, 113, Mafia K-1 Fry – tego typu rzeczy będę chciał robić, ale przy okazji swoich projektów.

Dziwi mnie więc nieco to, że numer z wami promuje nowego Volta.

Kaszalot: Nagraliśmy numer do instrumentala Wu-Tangu, Volt zrobił beat, okazało się, że na tyle dobry, że chce promować nim swoją płytę.

RDW: My nie mamy imprezowych numerów. Przy naszej płycie nie potańczysz z babeczką.

Niespodzianką była już „rdzenna" Analogia w nowoczesnym Wielkim Jot. Wydawnictwo nie miało uwag i sugestii?

Kaszalot: Uwag nie było. Kiedy patrzę teraz na WJ, to widzę, że otworzyło się na różne brzmienia, o czym świadczą reggae'owe zespoły. Numer też nie jest baunsiarzem.

RDW: Sistars gra na żywo... Chyba przylgnęła etykietka. Jazda jest różna, a opcji jest wiele.

Zanim znaleźliście się w WJ, pojawialiście się w zapowiedziach wydawniczych UMC.

Benek: To były wstępne rozmowy. Remik zaprosił nas na dwa koncerty w początkowym okresie UMC, kiedy wyszła tylko płyta Owala. Wszystko było gitarka.

RDW: Pytaliśmy więc kogo będą wydawać, oni powiedzieli, że mogliby nas. Nie było to przybite konkretami. Ja potem wyjechałem, nie było mnie trochę, kiedy zaś wróciłem, zobaczyłem, co się dzieje, a dodatkowo nie wiedziałem, co z naszym materiałem. Potem wysłaliśmy mini-demo do wytwórni, w których chcielibyśmy się znaleźć. UMC od strony promocji jest dobre, ale jest nie w naszym guście. Znam i lubię Remika, rozumiem, że chce zarobić, ale z tego, co wydaje, bardzo rzadko coś mi się podoba.

Można odnieść wrażenie, że RDW odchodzi od swojej wizytówki – beatboksu. Na płycie pojawia się on tylko na moment w skicie.

RDW: Nie to, że odchodzę od beatboksu, ale to, co robiłem na innych płytach nie wyszło tak jak chciałem z wielu powodów. Nie jestem zadowolony, i nie chcę, żeby to odbywało się na takich zasadach. Beatbox na dobrym poziomie to przede wszystkim brzmienie – niezależnie czy na płycie, czy na koncercie. Sprzęt ustawiony na dobre basy, dobrą górę. Wtedy można to robić. Byłem na Killa Keli, byłem na Rahzelu, bez odpowiednich ustawień nie ma sensu zaczynać akcji, bo pierdzenie do mikrofonu może zrobić każdy gość z ulicy. W Polsce nie ma warunków. A poza tym ludzie za bardzo kojarzyli RDW z beatboksem, a ja robiłem go po jakimś czasie, kiedy pisałem już teksty, freestyle'owałem. Ludzie sobie skojarzyli, bo zobaczyli pierwszą osobę, która robi to na jakimś poziomie i ma odwagę się pokazać.

Podobnie jak Decks czy Kochan należycie do grona fanów rugby.

RDW: Można tak powiedzieć, u nas w Trójmieście rugby stoi na najwyższym poziomie w Polsce, ekipy od nas zdobywają mistrzostwo od wielu lat. Zawsze było Ogniwo i Lechia, teraz dołączyła Łódź. Arka ma dobrą ekipę, powstała drużyna z naszego miasta, często koledzy podwórka, chodzi się więc i ogląda. Sport rozwija się elegancko. Podczas turnieju plażowego sporo osób grało koncerty. Piwko, grill, fajna atmosfera. Nie ma co doklejać animozji.

nielegalny mixtape

komentował Flint (CS)

BRAHU – Nie możemy przestać (gość. DJ Cent) / Rymy: Brahu / Beat: Brahu / Gramofony: DJ Cent / Artysta nagrywa obecnie dla Vabank Records
Brahu to gdański raper i producent z westcoastową duszą. Dosadny, ale zarazem lekki i z naturalnym darem w kierunku przebojowych produkcji.

DRUTZ – Nafunkowani na imprezie / Rymy: Łozo, Jot, Globus / Beat: Jot, Erio / Śpiew: Zoe
Wszystko co charakterystyczne u wrocławskich Drutzów – słyszalna spontaniczność i radość z tworzenia rapu, funky brzmienie oraz duży producencki potencjał.

MROKU/BLA BLA – Umrzemy Młodo / Rymy: Mroku / Beat: Skwaro / Klawisz: Machyn / Utwór pochodzi z albumu „Od sceny do sceny"
Kawałek, który nie może mi się znudzić od kilku miesięcy. Flow tworzy idealną całość z beatem, nawiązania do innych raperów wbijają fotel, a saksofon doprowadza do gorączki. Po prostu Mroku z Koszalina.

MŁODZIK – Nigdy Cię nie zapomnę / Beat: Młodzik / Utwór pochodzi z albumu „Zatracenie"
Instrumentalny hh z Jeleniej Góry. Sentymalna część tego beatu to nic specjalnego, ale te gitary... Poczucie dumy i ciarki na plecach. Mógłby się pod tym podpisać i RJD2.

MASSEY – Najsilniejsi przetrwają (gość: Masseya Stary) / Beat: Piecuch / Utwór pochodzi z albumu „Warto było"
Massey, raper i koszykarz z Inowrocławia, mówi, że ten numer sprawił, iż usłyszał wiele ciepłych słów od utytułowanych składów na naszej scenie. Bije z niego nieprzeciętna siła. „Bo gdybym nagrywał do gorących cykaczy, to sam bym sobie tego kurwa nie wybaczył" jest ulubionym mixtap'owym wersem Spoksa.

KOMERCYJNA ZBRODNIA – Sny / Rymy: Cosmo / Beat: eRAeFI / Utwór pochodzi z albumu „20.04"
eRAeFi to innowacyjny, na wskroś nowoczesny producent, jeden z tych, który powinien wyznaczać przyszłość rapu. Solówka z dnia na dzień coraz lepszego Cosmo, do tej pory będącego w cieniu Breka. Chyba przestanie się określać Szczecinek mianem „Smentowa".

RENO – Natura Ludzka (Zetena remix) / Rymy: Reno / Beat: Zetena / Gramofony: DJ Ike / Utwór pochodzi z albumu „W rymach siła"
Dla tych lubiących liczyć punchlines w kawałkach i niewierzących, że bez sprzętu nie da się robić kozackiego rapu. Studio było wynajęte na parę minut, bełchatowski mc podobno musiał pojechać tekst za pierwszym podejściem. Efekt słyszycie, jest tym lepszy, że na gorącym beacie dobrego lubelskiego beatmakera Zetena.

MIEJSKI KLASYK – Psychoza Cieni / Rymy: Jimson, CBK / Beat: Me? How? / Gramofony: DJ Supreme
Nie mieliśmy jeszcze na mixtape'ie mrocznego, niepokojącego numeru z przeplatającymi się często mc. Co ciekawe, przy takiej koncepcji utwór nie wytracił dynamiki. Pogratulujmy mieszkańcom Słupska wyobraźni i plastyczności.

NA 2 MAJKI FUNDACJA – Nie dam ci zasnąć / Rymy: MHow, Akton, Mrl / Beat: Giechu
Absolutny debiut. Panowie po postu przysłali mi na mail linki do kawałków, nie wiedziałem, że w Kielcach powstaje taki rap. Zaczepne, cięte wersy na bujającym beacie. Czego chcieć więcej?

TE TRIS – Solo / Rymy: Te Tris / Beat: Te Tris / Gramofony: DJ Tort / Utwór pochodzi z albumu „Naturalnie EP"
Definicja słowa „headbanger". Szybkie wersy są równie celne co wolne style reprezentanta Siemiatycz. Beat prze do przodu jak oszalały. Te Tris to mega talent i czarny koń rodzimego undergroundu. Kto jeszcze pyta „What's golden?"

SMAGALAZ – Da Joint / Rymy: Abel / Beat: DJ Pete / Refren: Jimiroyal / Gramofony: DJ Pete
Słubicko-berlińska konekcja. Miażdżący beat, jak to powiedział Kowal „polski Pharell Williams" w refrenie i wersy poskładane w stylu starego Dizkreta i Wanka, nasuwające na myśl czasy, kiedy zaczęło się mówić o polskim „truskulu".

TYBET – Nie chciej zapomnieć (Prosper remix) / Rymy: Tybet / Beat: Prosper / Ekskluzywny remix dla SLG, oryginalny utwór pochodzi z albumu „II Obieg"
„Polski rap? Ej, jak mam to streścić? Bogowie kiczu, piewcy agresji" – Tybet z Lublina dał w tym utworze najlepszą diagnozę oficjalnej sceny. Musiałem mieć ten numer. Był problem – „II Obieg" jest w całości na „kradzionych" instrumentalach. TBT miał jeden dzień na załatwienie sobie remiksu.

PUENTA – Balans / Rymy: Primo, Łasuch, Ściecha / Beat: Creon / Gramofony: Creon / Utwór pochodzi z albumu „Rozdział zamknięty"
Prosto z Lublina. Skrecz i beat Creona na medal, wejście „Nie dam zniszczyć się jak tyłek Teresy Orłowski" błyskawicznie zapada w pamięć. Świetne tempo. Mocny strzał w ucho.

PHFNG – Się tyje / Rymy: Eneka, Elien / Beat: Elien / Utwór pochodzi z albumu „Co by tu jeszcze zepsuć?"
Katowiczanie dają to, czego póki co, tu brakowało – humor i autoironię. Ten organicznie brzmiący kawałek potraktujcie jako chwilę odpoczynku i wytchnienia.

FACZYŃSKI I KIDD – Ściana (gość: Muk) / Rymy: Muk, Kidd, Faczyński / Beat: Franxx / Utwór pochodzi z albumu „Pansofia"
„Pansofia" to cholernie ważna, cholernie trudna i cholernie specyficzna płyta. Spox uczulony jest nieco na ekshibicjonistyczny, nadwrażliwy rap. Musiałem więc wybrać coś w miarę normalnego. Naturalnym wyborem był „Plecak", jednak okazał się dla DJ'a zbyt chaotyczny. Padło więc na „Ścianę", beat z miejsca wpadł mu ucho, długo kombinował nad przejściem. W końcu jednak elbląski rap odcisnął u nas piętno.

GRES & SNATCH – Ostatni raz / Cześć (Tejp remix) / Rymy: Gres / Beat: Tejp
Niełatwy, ale satysfakcjonujący epilog. Pisałem już w „nielegalnej" o drapieżnym abstrakcjonizmie łodzianina Gresa. Jakby dziwnie to nie brzmiało, to intrygujący mc. Zamieszczając brudny, oparty na agresywnym cięciu sampla remix mocno nastoletniego jeszcze Tejpa z Włocławka, upiekliśmy dwie pieczenie przy jednym ogniu, pokazując za jednym zamachem dwie nowe twarze.

Więcej odnośnie koncepcji mixtape'u i wyborów: www.slizg.com.pl

rob swift

nie jesteśmy doskonali



Słuchanie płyt turntablistycznych przypomina w dużym stopniu oglądanie filmu erotycznego z wyłączonym obrazem. Czujesz wprawdzie podniecenie słysząc rozkoszne dźwięki, ale wyobrażając sobie jak niesamowite rzeczy się dzieją bez obecności twoich oczu, dostajesz uczucia ogromnej frustracji. „Jak oni TO robią?" Dlatego uczestnictwo w koncercie X-Ecutioners to jedno z najbardziej ekscytujących wydarzeń, w jakim może brać udział fan hip-hopu. A po koncercie, za sceną, okazuje się, że to normalni, zwyczajni ludzie. No, prawie...

rozmawiał hadero

Po tym, co przed chwilą zobaczyłem, pierwsze pytanie nasuwa się samo: jak to jest, że po tylu latach wspólnego grania, dj-owania, drapania płyt, wciąż znajdujecie taką radość w występach?

Wiesz, dla mnie to jest wciąż wspaniała zabawa. Dorastaliśmy robiąc to, dj-ując, skreczując dla zabawy, kreacji, więc możliwość pokazania naszych talentów publiczności to niesamowite uczucie. To zresztą najlepsza rzecz w graniu koncertów – zabawa, radość; poza tym, jeśli jesteś zbyt poważny na scenie, publika natychmiast to wyczuje.

Myślisz, że dziś była dobra publiczność?

Tak, bardzo dobra, byli naprawdę pełni energii. Bawili się znakomicie, co zawsze sprawia, że my, jako dj'e, mamy większą radość z grania.

Ale gdy graliście takie klasyki jak Ultramagnetic Mc's czy „Rock The Bells" LL'a, byli raczej cicho, dopiero przy Missy Elliot, Timbalandzie, czy DMX-ie reagowali bardziej żywiołowo. Jak zapatrujesz się na fanów współczesnego hip-hopu?

Większość młodszych słuchaczy nie pamięta LL Cool J'a czy Public Enemy, więc ciężko jest grać cały koncert tylko z oldschoolowymi kawałkami. Ważne, by użyć piosenek, które oni znają, jak Missy czy Jay-Z, i w tym samym czasie zapoznać ich ze starymi numerami – edukując ich w ten sposób. Wychodzą po występie z sali zadowoleni, bo usłyszeli swoją ulubioną muzykę, ale też zaskoczeni, bo poznali coś, czego nie znali, nie oczekiwali.

Gdybyś mógł określić procentowo ile w waszym show jest improwizacji, a ile ćwiczeń, treningów i pracy w studio?

Myślę, że około 95% jest przygotowane wcześniej; 5% to spontaniczne rzeczy. Nasz występ jest jak przedstawienie teatralne – każdy utwór, każdy ruch jest zaplanowany i przećwiczony. Jak sam widziałeś, często zmieniamy się przy gramofonach, czasami skreczujemy we dwóch na tym samym zestawie, mamy dopracowaną choreografię, triki, kolejność utworów, tak, by wszystko stanowiło ciekawy pokaz. Zawsze zostawiamy trochę miejsca na dowolność, na przykład mówię do Total Eclipse „a teraz zapuść ten i ten break, zagrajmy to czy tamto".

> Najlepiej funkcjonujemy jako grupa. Mamy wprawdzie swoje solowe, poboczne projekty, ale w niczym nie da się ich porównać do tego, co tworzymy wspólnie

Mówią o was jako o najlepszej grupie dj'skiej na świecie. Jak na to reagujesz?

Wcale nie uważam, że jesteśmy najlepsi, nawet nie myślę w tych kategoriach. Widzisz, my po prostu staramy się zaprezentować tę formę wyrazu artystycznego, sprawić, by stała się coraz bardziej powszechna. Naprawdę, jest zbyt wielu dobrych dj'ów na świecie, by twierdzić, że ktoś jest najlepszy.

Cofnijmy się trochę w czasie. Zaczynaliście pod nazwą X-Men. Możesz przypomnieć, co było powodem zmiany nazwy?

Znasz komiks „X-Men"?

Jasne.

No właśnie, nie chcieliśmy trafić do sądu za kradzież tytułu. Jeśli podpisujesz kontrakt z wytwórnią, wydajesz albumy i masz zamiar robić, w cudzysłowie, jakieś tam pieniądze na swojej muzyce, musisz robić wszystko zgodnie z prawem.

Najpierw dj'e, następnie turntabliści, wreszcie – producenci. Co dalej? Jest jeszcze jakaś przestrzeń, w której chcielibyście się sprawdzić?

Osobiście planuję pójść jeszcze bardziej w stronę produkowania muzyki. Wielu dj'ów jest jednocześnie producentami, ja również mam zamiar się temu poświęcić. Dwa lata temu wydałem album producencki „Sound Event", na którym zrobiłem całą muzykę, rymowało na nim wielu dobrych podziemnych raperów i wyszło to całkiem nieźle. Oprócz tego chciałbym się sprawdzić we współpracy z ludźmi grającymi inne gatunki. Ostatnio pracuję z muzykami jazzowymi i na pewno będę to kontynuował.

A co z podziemnymi mixtape'ami? Wciąż nagrywasz?

No pewnie. Całkiem niedawno wydałem taśmę pod tytułem „Who Sampled This?", ze starymi, rzadkimi, funkowymi kawałkami.

Jest taka tendencja wśród zespołów z Nowego Jorku (choćby Anti Pop Consortium, czy Company Flow), że po kilku latach wspólnej działalności rozpadają się. Wy jednak wciąż trzymacie się razem. Jak wam się to udaje?

Och, czasem jest naprawdę ciężko. Są takie momenty, kiedy się ostro kłócimy, ale koniec końców... Tym, co doprowadziło nas do punktu, w którym jesteśmy, jest fakt, że najlepiej funkcjonujemy jako grupa. Mamy wprawdzie swoje solowe, poboczne projekty, ale w niczym nie da się ich porównać do tego, co tworzymy wspólnie. Myślę, że przede wszystkim to trzyma nas razem.

Co dzieje się w takim razie z Mista Sinistą (oryginalnie czwarty członek X-Ecutioners – przyp. red.)

Był taki okres, w którym dochodziło między nami do poważnych starć na tle tego, co chcemy prezentować, jaką muzykę grać, dlatego postanowiliśmy, że najlepiej będzie, jeśli się rozstaniemy. Mista Sinista jest teraz w Nowym Jorku, pracuje nad swoimi rzeczami, różnymi projektami. Życzymy mu jak najlepiej.

Twoja opinia na temat mp3 i ludzi, którzy ściągają muzykę z sieci?

To rzecz, która mnie naprawdę denerwuje. Słuchacze muszą zrozumieć, że jeśli chcą, by ta kultura się rozwijała, to muszą ją wspierać. Jeśli fani wypalą płytę z internetu, to ani artysta, ani wytwórnia nie zarobi pieniędzy, i ludzie z wytwórni powiedzą: „ta muzyka się nie sprzedaje, nie będziemy wydawać czegoś, czego nikt nie kupuje". I po prostu zaczną inwestować w inny styl muzyki lub innych muzyków. Jeśli sprzedamy naszą płytę, to zagramy więcej koncertów, będziemy mogli dotrzeć do szerszego grona odbiorców. Dlatego tak ważne jest, by ludzie kupili nasz album, wtedy my będziemy zadowoleni i nasz wydawca zarobi pieniądze. Bo dla nich wszystko kręci się wokół kasy, wiesz?

Jeszcze tylko kilka pytań o waszym albumie i jesteś wolny. Na „Revolutions" macie całą plejadę gwiazd hip-hopu – Ghostface, Cypress Hill, dla przykładu. Ciężko było ich nakłonić do featuringów?

Nie, właściwie nie mieliśmy żadnych problemów. Wszyscy, których mamy na płycie, chcieli z nami współpracować, więc było tylko kwestią czasu i dogrania wszystkiego, by mieć ich razem na płycie. Każdy z nich udowodnił, że ma duży szacunek dla naszej pracy, pracy dj'ów, więc nie było trudno.

Pojawił się też Slug z Atmosphere, który, mimo że nagrywa dla niezależnej, podziemnej oficyny, cieszy się dużą popularnością i szacunkiem. To cecha wspólna jego i was – respekt fanów i sukces zarazem...

Tak, ponieważ nigdy tak naprawdę nie zmieniliśmy tego, kim jesteśmy i jacy jesteśmy. Spędziliśmy naprawdę sporo czasu tworząc tę muzykę, jesteśmy w tym już długo, ale pozostaliśmy sobą, nawet nagrywając kawałek z Linkin Park. Kontrakt z dużą wytwórnią nic w nas nie zmienił, słowo.

Macie już jakieś plany co do następnego krążka?

Na razie promujemy „Revolutions", ale tak, jak najbardziej. Mamy już kilka szkiców, wstępnych pomysłów na utwory i najprawdopodobniej na jesieni ukaże się nasz kolejny longplay.

Pytanie z przymrużeniem oka: jakie są największe wady RocRaidy i Total Eclipse'a?

Trudno powiedzieć, każdy z nas jest dobry w określonym elemencie. Roc Raida robi niesamowite, efektowne triki, Eclipse daje z siebie dużo energii na scenie, rozgrzewa publiczność; ja jestem „drapaczem". Nie jesteśmy doskonali, każdy ma swoje lepsze i gorsze strony.

itf 2004
mistrzostwa polski dj'ów

No i finał Mistrzostw Polski Dj'ów ITF 2004 za nami... Impreza odbyła się w piątek 22 października w klubie Ground Zero w Warszawie i składała się z dwóch części. O tym, co działo się na scenie i poza nią i oczywiście, kto został zwycięzcą imprezy, przeczytacie poniżej

przygotowanie Falcon & ITF Polska

Pierwszą część imprezy stanowiła wystawa sprzętu. Każdy mógł przetestować produkty takich firm jak Korg, Stage Line, Stanton, Reloop, Numark, Gemini, a także sklepów Lfx i Djshop.pl. Wpadliśmy do Ground Zero około 14.30 i pierwsze wrażenie to jeden wielki chaos dźwiękowy – na każdym stoisku coś grało, stoisk było około 6, więc możecie sobie wyobrazić co się działo... Po jakimś czasie dało się względnie przyzwyczaić.

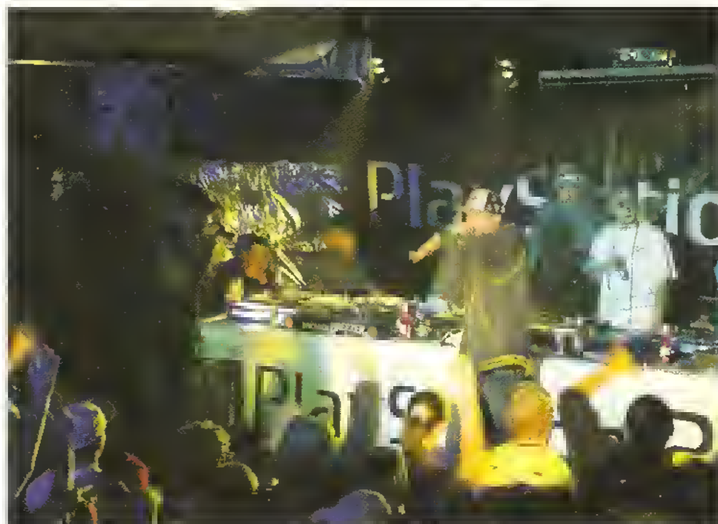
Niektóre wystawiające się tam firmy nie zrozumiały, że na imprezie stricte turntablistycznej, jaką jest ITF, powinno się położyć głównie nacisk na ten rodzaj DJ'ingu. Niektórzy zaś postawili wyłącznie na styl techniczny... No ale to moja własna opinia, bo przecież nigdzie nie było napisane, że to wystawa tylko dla skreczujących DJ'ów;).

Z biegiem czasu w Ground Zero zaczęli pojawiać się bohaterowie wieczoru. Pierwszy zjawił się Eprom, który udzielił wywiadu dla TVP i wykonał dla niej mały pokaz swoich umiejętności. Po tym co pokazał, skreczując sobie rozgrzewkowo dla telewizji, byłem prawie pewien, że kategoria skrecz należy do niego. Ale o tym później... Bardzo fajnie, że organizatorzy postarali się o taką wystawę. Dla mnie i dla wielu innych była to jedyna okazja, aby samemu stwierdzić, czy dany sprzęt jest dobry czy zły. Około godziny 17 zawinęliśmy się z klubu, aby wrócić tam wieczorem na część główną, która miała zacząć się o godzinie 20.

Byliśmy z powrotem około 21 i pierwsze, co mnie zdziwiło, to brak tłumów, zarówno przed klubem, jak i w klubie. Imprezę rozpoczął Krime, a DJ'e w tym czasie ostatni raz ćwiczyli rutyny na słuchawkach. Krime zabrał ludzi w podróż w czasie i puszczał takie numery, że zwariowałem. Hiphopowe klasyki, dużo funku, dużo brejków i mistrzowskie skrecze... Z przyjemnością się go słuchało, jednak po jakimś czasie zacząłem zastanawiać się, czemu nie zaczynają się zawody. Około godziny 23 zacząłem się już poważnie denerwować, bo ile można czekać. Jest to naprawdę duży minus tej imprezy, że zaczęła się tak późno. Sporo ludzi zjechało się z całej Polski, by obejrzeć battle, a przeciąganie jego rozpoczęcia było bardzo wkurzające. Dowiedziałem się jednak, że było to spowodowane tym, iż w ostatniej chwili odwołano lot Lordz Ot Fitness. W tej sytuacji chłopaki z polskiego ITF'u spisali się na medal – dokonali niemożliwego i Lordz Of Fitness pojawili się w Ground Zero. Po 23 na scenie pojawił się prowadzący imprezę Mercedresu i zapowiedział początek zawodów. Przedstawił wszystkich uczestników i jako pierwsza rozpoczęła się kategoria beat-juggling, w której startowało tylko 2 uczestników – DJ MentalCut oraz DJ Pistolet. No i co tu dużo pisać... Pistolet zwyczajnie rozwalił Mentala. Jego rutyny były wyżej jeśli chodzi o poziom, a przede wszystkim były dużo bardziej melodyjne. Szczególnie druga, kiedy to zagrał np. motyw z Deep Purple „Smoke on the Water" albo manewrował dźwiękiem będącym wynikiem ocierania talerza PDX-a o igłę. Mental też zaliczył niezłe juggle, ale miał czasem problemy z rytmem.

W następnej rozegrano kategorię skrecz. Wystartowało 5 uczestników – Eprom, Kostek, O2ld, BRK i Hen. Pozytywnie zaskoczyli mnie BRK i O2ld. Pierwszy miał naprawdę zajebiste rutyny, szczególnie pierwszą, kiedy to przy końcu wywołał duży aplauz publiczności, jak i DJ'ów, zmieniając rytm i skreczując na połamanym bicie z Noisy Stylus „Tobayer's Pizza Breaks". Natomiast O2ld zaskoczył mnie swoją precyzją i melodyjnością, ale brakowało przede wszystkim zmian, ponieważ każda rutyna Odwalda to skreczowanie przez 3 minuty praktycznie tylko na jednym dźwięku i na tym samym bicie. Ale jest faktem, że robił to bardzo dobrze. Gdyby jednak bardziej urozmaicił swoje sety, myślę, że drugie miejsce BRK mogłoby być zagrożone. Pozostali pojechali też całkiem nieźle, no może oprócz Kostka, który albo miał słaby dzień, albo się zwyczajnie nie przygotował i liczył na to, że się uda. Moim zdaniem, DJ tej klasy nie powinien występować z setami w stylu robienie drummingu pod acapelle, czy też ciągłe napierdzielanie chirp flare i crabów. Kreatywność w skreczingu to jego słaby punkt i ten finał bardzo dobrze to pokazał. Myślę, że Kostek wyciągnie z tego wnioski i za rok zaskoczy nas czymś nowym. Pierwsze miejsce to DJ Eprom i – co tu dużo mówić – należało mu się. Chłopak jest mistrzem techniki. Rutyny naszpikowane najtrudniejszymi i najbardziej zaawansowanymi rodzajami skreczu (np. zajebisty euro scratch), czasami niesamowite tempo oraz używanie dwóch mikserów stanowiły o jego wysokiej przewadze nad rywalami. Po rozegraniu tych kategorii odbył się koncert krakowskiego Wysokiego Lotu. Chłopaki mają w sobie niezły potencjał i nawet skutecznie rozruszali publikę. Zagrali kilka numerów i zaraz potem nadszedł czas na eliminacje w kategorii advancement. Do walki stanęło ośmiu DJ'ów: Eprom, BRK, S--Master, Kostek, Hen, MentalCut, Bez Ksywy oraz Taśmy. W pamięci utkwił mi S-Master – bardzo pomysłowy set, ten koleś na bank jeszcze zamiesza. Słyszałem kilka opinii, że to właśnie on powinien znaleźć się w finale. Ogólnie wszyscy dobrze pojechali, jednak bez żadnych rewelacji. Po eliminacjach advance wystąpił warszawski Flexxip. Najciekawszym momentem półfinałów była według mnie walka BRK vs. Taśmy (zajebiste dissy) – przeszedł BRK. Po półfinale na scenie pojawił się O.S.T.R. Podczas występu powiedział jedną ważną rzecz – że w Polsce powinno być więcej sklepów z vinylami. Sam koncert miał w sobie to, co dobry koncert mieć powinien. Można tu śmiało napisać, że Ostry po raz kolejny pokazał, że ma w polskim rapie dużo do powiedzenia. Po występie reprezentanta Łodzi nadszedł czas na finał – BRK vs. Eprom. Każdy grał 1 set po 120 sekund. Widać było wielki stres, który dopadł finalistów. Ostatecznie jednak pokazali, że w finale nie znaleźli się przypadkowo. Po tej walce wystąpili wyczekiwani przez wszystkich fanów turntablismu zgromadzonych w klubie (nie było ich za dużo, gdyż po koncercie Ostrego większość ludzi już się zmyła) – Lordz of Fitness. To, co pokazali, diametralnie różniło się od tego, co w większości prezentowali nasi rodzimi DJ'e. Każdy z Lordzów (Ratik, Rasgunyado, Kid Fresh i J-Bounce) zaprezentował około pięciominutowy show. Byli przede wszystkim maksymalnie wyluzowani, co przekładało się na to, że wszystko zajebiście im wychodziło. Chyba najtrafniej określił ich występ DJ Twister, który stwierdził, że... sprzedaje gramofony;). Po tym nastąpiło ogłoszenie wyników i rozdanie nagród. W kategoriach skrecing i advance na najwyższym podium stanął DJ Eprom. Zgarnął 2 gramofony Stanton STR8-150, mikser Stanton SA5 oraz najnowszą zabawkę Pioneera – mikser DJM 909. Ciekawe, gdzie skubany będzie to wszystko trzymał? Poza tym Pistolet otrzymał wkładki Stantona, a wszystkie drugie miejsca otrzymały konsole Playstation2.

Impreza mimo megadługiego poślizgu (zakończyła się po godzinie 4 nad ranem), nienajlepszej frekwencji i duchoty w klubie była całkiem niezła. Poziom dużo wyższy niż rok temu, ale jednak wciąż jeszcze nie taki, jakiego byśmy oczekiwali. Duża część setów sprawiała wrażenie przygotowywanych na szybko i brakowało elementów zaskoczenia. Myślę, że potrzeba jeszcze trochę czasu, aby nasz poziom był porównywalny z – ogólnie mówiąc – europejskim. Mimo tego, uważam, że Eprom ma naprawdę duże szanse w finale, chociaż będzie walczył m.in. z Rafikiem i Rasgunyado. Życzymy powodzenia! A nam wszystkim nie pozostaje już nic innego, jak tylko szlifować rutyny i czekać na następne posunięcia ITF Poland.





funkmaster flex

historia pewnej kariery



Zaczynał jako DJ radiowy, pozostaje nim do dziś. Ale kim tak naprawdę jest obecnie Funkmaster Flex? Czy można go postrzegać jedynie jako DJ'a, czy też jest kimś więcej? By spróbować udzielić odpowiedzi na te pytania, przyjrzyjmy się bliżej tej niewątpliwie ciekawej, wielowymiarowej postaci

tekst Grabiszczy

Kariera Fleksa w radiu zaczęła się pod koniec lat osiemdziesiątych, kiedy to poprowadził swą pierwszą audycję w rozgłośni KISS-FM. Był tam pomocnikiem Chucka Chillouta, bardzo znanego wówczas i szanowanego DJ'a radiowego. Ściśle rzecz ujmując, nosił za nim skrzynki z płytami. Pewnego dnia Chuck spóźnił się do pracy i pozwolono młodemu Astonowi Taylorowi rozpocząć puszczanie nagrań w chwilowym zastępstwie starszego kolegi. Zastępstwo to przedłużyło się jednak do trzech godzin i stało się debiutem Fleksa na falach radiowych. Miał wówczas 19 lat. Można by rzec, że FMF wybił się przez przypadek, ale to nieprawda. Już od szesnastego roku życia był bowiem właścicielem sprzętu didżejskiego i doskonalił się w swym fachu. Okazję daną przez los wykorzystał wzorowo.

Jakiś czas później Flex był już pełnoprawnym DJ'em w radiu WBLS. Spędził tam półtora roku, po czym jego talent został dostrzeżony przez najważniejszą hiphopową stację radiową, nowojorską Hot 97 FM. Zatrudniono go tam i niemal z miejsca wywalczył sobie miano czołowego DJ'a w całym kraju. Przez pewien czas prowadził ponadto program w radiu Power 106 w Los Angeles. Obecnie Flex jest na antenie Hot 97 już od ponad dziesięciu lat i wciąż cieszy się wielką popularnością. Jego audycje słuchane są przez 2 miliony osób na tydzień, około co dziesiąta osoba słuchająca radia w NYC włącza Hot 97, gdy nadawana jest audycja Fleksa. Ale to nie liczby są tu najważniejsze. Funkmaster stał się bowiem osobą wyznaczającą trendy w hip-hopie. Gdy gra on jakiś kawałek, ten staje się hitem. Gdy promuje debiutantów, ci mogą liczyć na ogólnonarodowe uznanie. Gdy danego numeru nie puszcza, może to spowodować jego klapę. Wyrabiając sobie popularność w nowojorskich rozgłośniach, Flex równocześnie rozkręcał imprezy w klubach tego miasta. Już w połowie lat dziewięćdziesiątych był DJ'em w jednym z największych klubów NY, The Tunnel. „Jestem DJ'em, lubię być w klubie i wyczuwać nastroje tłumu" – mówi FMF.

> Gdy gra on jakiś kawałek, ten staje się hitem. Gdy promuje debiutantów, ci mogą liczyć na ogólnonarodowe uznanie. Gdy danego numeru nie puszcza, może to spowodować jego klapę

Jego sety radiowe nagrywano i rozpowszechniano na własną rękę w całym kraju. Gdy Flex usłyszał o tym, postanowił zadziałać: „Jeździłem do innych stanów i słyszałem wszędzie płyty z nagranym moim show. To było w porządku, ale nie były to najlepsze z moich audycji. Zatem postanowiłem nagrać własne płyty dostępne w oficjalnej sprzedaży, kompilacje moich setów klubowych i radiowych." W 1995 roku nakładem Loud Records ukazał się pierwszy z wysokonakładowych mixtape'ów Funkmastera Fleksa: „The Mix Tape, Vol.1: 60 Minutes of Funk". Sprzedano ponad 300 tysięcy egzemplarzy tego albumu. Po nim przyszły kolejne części serii (w sumie ukazało się pięć części, dwie ostatnie już w wytwórni Relativity), kolaboracja z Big Kapem na płycie „The Tunnel" wydanej przez Def Jam (był to mixtape składający się z hitów najgoręcej przyjmowanych w tym klubie) czy też nagrana dla Aristy płyta „Vibe Hits, Vol. 1" z największymi przebojami roku 2000. Sukces Fleksa polega jego zdaniem na koncentracji na tylko jednej dziedzinie – DJ'ingu. „Nie jestem producentem. Mnóstwo DJ'ów rozprasza się, tworząc remiksy i produkując. Ja jednak podjąłem decyzję, by trzymać się tego, na czym znam się najlepiej. Wtedy właśnie moja kariera nabrała rozpędu."

Działalność Fleksa sięga jednak dziś daleko poza sferę stricte muzyczną. Chyba właściwym byłoby określenie go „człowiekiem-firmą". Jest na przykład pośrednikiem między hiphopowym podziemiem, typową amerykańską „ulicą" a wielkimi wytwórniami, szukającymi nieodkrytych talentów. Wśród drobniejszych, ale równie ciekawych przedsięwzięć DJ'a, jest także choćby firmowany przez niego komputerowy program muzyczny Digital Hitz Factory. Można go ponadto oglądać na małym ekranie w MTV. Najpierw był gospodarzem programu „Direct Effect", zaś obecnie prowadzi niesłychanie popularny show – związany z jego drugim wielkim hobby, czyli samochodami, „Ride With Funkmaster Flex". Program ten produkowany jest przez Spike'a Lee i nadawany od sierpnia 2003. DJ zaprasza tam znane postacie showbiznesu z ich autami, które to poddawane są przeróżnym próbom lub... są przerabiane przez grupę Fleksa, Team Baurtwell. FMF to prawdziwy samochodowy maniak. Prowadzi klub, w ramach którego upiększa samochody największych gwiazd – od Busty Rhymesa po Shaquille'a O'Neala. Pisze ponadto artykuły motoryzacyjne dla „The Source", doradza firmom produkującym samochodowe akcesoria w dziedzinie marketingu i reklamy (sam zresztą jest właścicielem tego typu przedsięwzięcia), jest konsultantem w sprawach aktualnych trendów w samochodowym tuningu, a także opracował design własnej linii obuwia przeznaczonego do jazdy samochodem dla znanej firmy Lugz, z piorunującym efektem – sprzedano ponad 1,5 mln par tego modelu. Największym jednak związanym z motoryzacją sukcesem Fleksa jest organizacja The Funkmaster Flex Celebrity Car Show. Wystawa, na której gwiazdy przedstawiają szerszej publiczności swe auta i walczą o nagrody przyznawane w licznych dziedzinach. Pierwszy show odbył się w 2001 roku, przyciągając około 30 tysięcy widzów, co na tego typu imprezę (wjazd tani raczej nie jest) stanowiło spory sukces. Obecnie jednak wystawa przerodziła się w objazdowy tour, co jest niesłychane, biorąc pod uwagę rangę jego uczestników. W 2003 roku Celebrity Car Show Tour odwiedził aż dziesięć amerykańskich miast.

Odkąd Flex stał się poprzez telewizyjne występy postacią znaną szerszemu gronu ludzi, często zaprasza się go do udziału w telewizyjnych przedsięwzięciach. Pojawił się choćby w trakcie rozdania Vibe Awards i Video Game Awards, w tym drugim przypadku będąc jednocześnie współproducentem show. W ubiegłym roku był odpowiedzialny za muzyczną oprawę specjalnego sylwestrowego programu giganta telewizyjnego FOX.

Ogarnąwszy wszystkie aspekty działalności Funkmastera Fleksa, na postawione na początku tego tekstu pytanie można odpowiedzieć bardzo łatwo. Nie jest to dziś tylko i wyłącznie bardzo popularny DJ. Można by wręcz zaryzykować stwierdzenie, że dla wielu niezorientowanych osób ta sfera działalności Fleksa pozostaje niestety nieznana, postrzegają go bowiem jako „tego gościa od samochodów". Nie każdy ma wszak możliwość słuchania jego nowojorskich audycji, choćby kilku z aż 27 godzin programu, jaki tworzy on na antenie Hot 97. Nie każdy słyszał jego mixtejpy, za to mnóstwo osób na całym świecie widziało jego program na MTV.

Czy to dobrze? Chyba nie bardzo, gdyż przecież Funkmaster Flex jest DJ'em, który dokonał ważnej rzeczy, swego czasu cofając hip-hop do jego korzeni, do momentu, gdy DJ był równie ważny jak emce, a może nawet ważniejszy. Wystarczy spojrzeć na jego pseudonim. Kojarzy się Wam ze słyszaną już kiedyś ksywką? Nie? A Grandmaster Flesh? Tak, nawiązanie jest bardzo czytelne i zrozumiałe, a także adekwatne. Choć w sumie Funkmaster Flex sam zdaje się do tego dążyć, źle byłoby, gdyby świat zapamiętał go nie jako znakomitego DJ'a, a jedynie showmana i maszynkę do robienia pieniędzy.

nielegalna

akcja eselgie



tekst Flintstone (CS)



„**W Rymach Siła** to album producencki Zani (czyli **Zetena**) – lubelskiego bitmejkera tworzącego rap od roku 1997. Zania w latach 1997 - 2004 udzielał się w różnych projektach i składach – (2gi skład, Eskai eskadra, Co combo, Bit fabryka). Materiał na płycie powstawał w okresie od czerwca do grudnia 2004 i został wyselekcjonowany z ponad 40 traków" – czytam w przysłanej mi informacji. Skoro w rymach siła, to od nich zaczniemy.

Część mc (Golon czy Galeria) jedzie plastycznie, z pasją i wyobraźnią, co może rekompensować pewne braki techniczne. Niektórzy jak Boguduch potrafią zdziwić bardzo pewnym flow. Zdarzają się udane teksty, które polubią z miejsca zwolennicy klimatów Feno/Endefis (Dusza). Nawet mc wymagający miesięcy ćwiczeń, pultający się nieco na werblach, niechlujni za mikrofonem (taki choćby Majk) potrafią czymś miło zaskoczyć – np. chwytliwym, mocnym refrenem. Najjaśniejsze punkty? Peny ze śpiewnym flow na przyprawionym Jamajką bicie z fikuśnym samplem a la Beatnuts wypada bardzo oryginalnie i przebojowo. „Za każde słowo" to dobry numer. Zeto nagrał najlepszy kawałek w swoim życiu, gdzie dobry warsztat idzie w parze z emocją i sensem. Liczyłem na Tybeta, ale miewał lepsze flow, a już z całą pewnością lepiej napisane teksty. Nie zawiódł za to Reno: bezczelny, błyskotliwy, po prostu rewelacyjny. Słabsze pozycje? Niestety jest ich trochę. Trudno obronić już zawodnika z początku albumu. Kama prezentuje większość bolączek hardcore'owych mc z rwaniem tempa i równie często co głośno branymi haustami powietrza sprawiającymi wrażenie, że mc się dusi.

Produkcja. ZNA umie właściwie wszystko, od imprezowego plastiku po zamułkę, w starym „francuskim" stylu. W „Po co ci to?" cięcie i dobór sampla przypomina Noona, a przejmująca, oniryczna aranżacja refrenu Waco w „Śnie" WWO. Spotkanie tych dwóch koncepcji na jednym beacie wypada bardzo dobrze. Dynamiczne intro na mięsistym basie z gęstym skreczem Ike'a dobrze wróży, outro splatające beatmaking z beatboksem jest pomysłowe i innowacyjne. Otrzymujemy produkcję dobrze brzmiącą, wiadomo, że mamy do czynienia z talentem, który trzeba sprawdzić (zacznijcie od zajrzenia na www.east-eventz.tk i www.zetena.tk). Żeby nie było zbyt słodko, wypunktować trzeba wybieranie dróg na skróty, łatwe do zrobienia i milion już razy robione napuszone, histeryczne beaty pełne smyczków i pianinek zamulające bezlitośnie drugą połowę płyty. Było, minęło, wystarczy.



„Ćw. 1: Peregrynacja" Ustinstrumentalix (www.utx. prv.pl) jawi mi się jako przemyślana, arcyciekawa płyta. Bity Asteka są przyjemnie analagowe, z gatunku tych lejących się z głośnika. Kiedy już wydaje się, że wypracował sobie patent i na nim jedzie, spokojnym cięciem sampla uzyskując brzmienie ciepłe i matowe, potrafi zdziwić choćby mocnym, wyjątkowo bujającym Ibem „Zmień pryzmat rmx" (zrozumiałem przytyk panowie, spokojnie). Swoją drogą „W coś tu nie gra" kombinacje z rytmem są udane, drum'n'bass w outro daję radę, ale przejście na refren w „na zatwardzenie" jest ponad mnie.

O podkłady łódzkiego zespołu byłem spokojny, ale raperom (znów Astek i Cherch) wypada pogratulować spektakularnej ewolucji. „Peregrynacje rozpoczęli jak Peregrin Tuk / by uciąć wszelkie dywagacje, że brakuje im nut" to tylko krótki dowód na rozmach w klejeniu wersów, i umiejętną, podlaną specyficznym humorem grę słów. Ale o ile wersy takie jak „Moje predykcje? Będziesz mak jadł w celi / bo jesteś Mc dupa, a nie Machiavelli / ja wiem, magia elit pociąga ludzi" to dowód błyskotliwości i sprawności technicznej, to w takim „(...) To nieładnie za szczurem wciąż goniąc / biegać po trupach mówiąc, że ich nie boli / szukając dla niecnych środków swych aureoli" jest już duży talent lirycznego obrazowania, a stwierdzenia pokroju „jesteśmy kochalni powoli" są poezją. Jestem pod wrażeniem wyrafinowanej złośliwości, kiedy mc opowiada historię i opisuje kolesia panny, która mi się podoba i stwierdza, że „w oldschoolowym dresie i oldschoolowych trampkach wygląda jak Pete Sampras". Swoją drogą dwa spojrzenia na jedną historię, w tym jedno instrumentalne (a tak jest z „Heroiną") to mistrzowska idea. Strzałem w dziesiątkę jest dj chROBOT, sprawny technicznie a przede wszystkim mistrzowsko wpasowujący się cutami w sens tekstów i skreczami w tempo beatów.

Wady? Nawinięto zwrotki nieco zbyt ekspresyjnie i zbyt mocno akcentując, zwłaszcza, że podkłady są jednak stonowane. Choć „Szablonowa oryginalność" rymowana na pograniczu krzyku do porwanego, chłodniejszego beatu Snatcha, brzmi nienajlepiej. Uwaga na to ciśnienie. A propos: sprawdźcie rmx bardzo obiecującego duetu Gres/Snatch na naszym mixtape'ie. To trochę inna bajka niż UTX – nastrojowy mrok i drapieżna abstrakcja.



Włóczęga z dwuutworowym singielkiem **„Tu zaczyna się gra wyobraźni"** zdumiewa. Staranną produkcją z głębią i bogactwem aranżu na wstępie. Zaraz potem zaś tekstem – nie tyle tytułowego kawałka, który jest sumą luźnych, niezwiązanych ze sobą jakkolwiek (choć może jakąś absurdalną nicią w umyśle Włóczęgi) obrazów, a raczej „Nie ma mnie" – ładnym, niebanalnym, marzycielskim utworem o uczuciu (werbel brzmi jak żywa perkusja, przewija się ciekawy, niepokojący orientalny motyw). Ambicje tego pana sięgają wysoko, więc ciekawi mogą napisać do niego na zbynra@wp.pl i zapytać o więcej.

Albertone z Inowrocławia przysłał **„solo"**. Jaki to mc? Z gatunku tych przejętych, mało swobodnych za mikrofonem, zaskakujących czasem ciekawą metaforą rzuconą pod melancholijny beat. Werble biją po uszach, sample wchodzą harmonijnie, słychać, że producent Reze ma doświadczenie. Mc mieści się w kanonach surowego, prostego reality rapu bez wzlotów i szczególnych upadków. Można posłuchać, zwłaszcza utworu „Inowrocław--Koszalin" (gościnnie Espe, Rmdm, Ddtk, Prusin) gdzie wiele skrzyżowanych styli daje ciekawy obraz życia na północy. Album doskreczował Ike. Nabyć można go pod sosu@pf.pl



Nienawidzę recenzować takich płyt jak **„Opór"** wielkopolskiego **Desant Zwiadu** (www.desantwrz.prv.pl). Reprezentanci Wrześni zadbali o zróżnicowane, urozmaicone klimatycznie, wsparte wieloma żywymi instrumentami beaty (Edas), zaprosili mocno ingerujących w materiał dj'ów (Show, Story), wokalistki (m.in. Kada), zadbali o miks i mastering na poziomie. Rymują (Cuboł, Barył i Żołnierz) dynamicznie, rytmicznie, mocnymi głosami z poprawną dykcją, na różne życiowe tematy. Okładka prezentuje się ciekawie, a militarna pasja znajduje swoje odbicie w wielu tematach i metaforach na albumie. Obiektywnie więc wszystko jest w porządku, czuć ciężką pracę, trud, poświęcenie itd. Gorzej w kwestii wrażenia. Ja nie mam żadnego (a taki Green Team np. mnie bawi), zwrotki mi się zlewają, bez skutku usiłowałem wybrać jakiś wers do zacytowania, beaty mnie nie magnetyzują, nie bujam do nich głową, do żadnego nie chcę wrócić. Może więc powinniście sprawdzić osobiście?

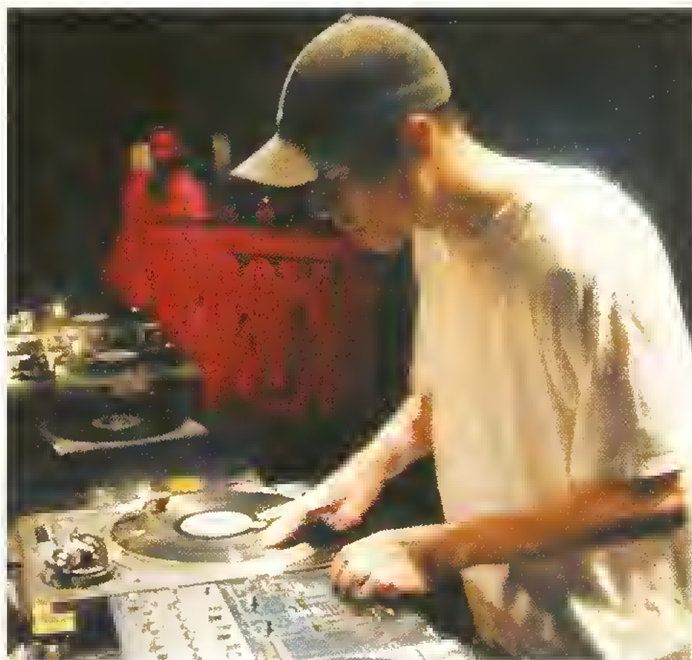
Krótka pochwała dla **Rado** z Konina, który jest jednym z tych niesłusznie pominiętych w „Nielegalnej...". „Pakiet" jest słaby z wielu względów, za to nowy materiał zapowiadający płytę wskazuje na olbrzymi progres. Inaczej (pełniej i lepiej technicznie) brzmią beaty, Rado nabrał luzu i ogłady, pierwszy numer zaś jest na tyle udany (i miło kojarzy się z leniwym flow Numera), że dopiero z ostatniej chwili wypadł nam z koncepcji redakcyjnego mixtape'u. Wyrazy uznania, rap przestrzeń czeka na **„Radolot"**.

Z rapem **Dasa** (Trójmiasto) mogłoby być dużo lepiej. Słabo jest z dykcją, nienajlepiej z flow (przeciągnięte końcówki wersów zbyt często brzmiących jak wystękane). Ale przyciąga uwagę, ma dar obserwacji (do rozwinięcia) i opartą na inteligencji uszczypliwość.

Beaty Pablo i D.O.C. są klasę wyżej od tych Emo. To kwestia warsztatu i etosu (samplowanie wciąż chętnie granych przez radia przebojów, blah). Choć tak naprawdę uwagę wzbudza tylko podkład do „Uzależnionego". Właściwie epkę **„Audiografia"** można by było sobie odpuścić, czekając na lepszą muzykę i rozwój nawijki. Jedyną przeszkodą jest „Pejzaż", ze świetnym pomysłem, dobrą narracją i paroma na długo zapadającymi w pamięć motywami. Możecie spróbować wycyganić ten numer pisząc na das@irc.pl

dj five

i've got five on it



Większość ludzi kojarzy dj'i z klubów, gdzie zazwyczaj warunki uniemożliwiają przypisanie twarzy do odpowiedniego pseudonimu widzianego na plakacie. Postaram się więc raz na jakiś czas pokazać wam sylwetki różnych dj'i tak, abyście byli w stanie rozpoznać taką osobę nie tylko ze stylu w jakim gra. Jest to ciekawe, ponieważ zazwyczaj okazuje się, że dj'e mają sporo do powiedzenia odnośnie muzyki, stylu życia, imprez jak i całej kultury hiphopowej. Będę starał się pokazać wam sylwetki dj'i z różnych stron świata, niekoniecznie z Polski czy nawet Europy, bo w końcu to jednak dj'e w znaczący sposób przyczynili się do stworzenia hip-hopu, jak i do jego popularyzacji. W pierwszym wywiadzie rozmawiam z Czechem, który gra pod pseudonimem Dj FIVE. Jest on doskonałym turntablistą i posiada wiele dowodów na potwierdzenie swych umiejętności. Pozwólcie mu tylko dorwać się do jego klasycznego sprzętu: Vestaksa 07 (lub Pioniera 909) i Technicsów 1210. Panie i Panowie – Dj Five

pytał DJ Spox
foto Kwe/BBaRaK.cz

Myślę, że większość ludzi w Polsce rozpoznaje raczej twoje umiejętności niż osobę, czy mógłbyś powiedzieć coś o sobie?
Witam wszystkich czytelników, mam na imię Tomáš, mam 25 lat i mieszkam w Brnie, w Czechach.

Jak doszło do tego, że wybrałeś sobie pseudonim Dj Five – byłeś może piątym dzieckiem w rodzinie, albo skreczujesz za pomocą pięciu dłoni?
Niee, było to dawno temu, gdy szukałem jakiegoś pseudonimu, aby wpisać go na plakat jednej z moich pierwszych imprez i dowiedziałem się, że jestem piątym dj'em hiphopowym w Brnie. W prosty sposób padło więc na ksywkę Five.

Kiedy zacząłeś na poważne zajmować się dj'ką? Ile godzin spędzasz na ćwiczeniach?
Zacząłem około 2000 roku, a co do ćwiczeń, to czasem stoję za gramofonami cały dzień a czasem nie jestem w nastroju i w ogóle nie włączam sprzętu. Ale przeciętnie ćwiczę 5-8 godzin dziennie.

Jesteś solowym dj'em, czy należysz do jakiejś ekipy?
Jestem członkiem Questablists crew (dwukrotnych zwycięzców czeskich ITF w kategorii zespół), w skład której wchodzi jeszcze Dj Arsen. Cały czas pracujemy nad nowymi rutynami i mamy z tego dużo radości.

Czy jesteś stricte turntablistą, czy grasz jakieś imprezy? A jeśli tak, jakie płyty wybierasz, czy przygotowujesz sety?
Myślę o sobie głównie jako o turntabliście, ale gram również imprezy. Lubię niezależną muzykę, więc w mojej selekcji nie znajdziesz większości hitów MTV. Taka muzyka sprawdza się lepiej w małych miastach, gdzie ludzie chcą usłyszeć jakieś nowe kawałki, a nie wciąż w kółko to samo. 90 procent moich setów imprezowych opiera się na freestyle'u. Na początku zazwyczaj gram jakąś turntablistyczną rutynę, a potem zaczynam grać imprezę i po prostu się tym bawię.

Jakie są twoje muzyczne horyzonty? Czy często sięgasz poza czarną muzykę?
Myślę, że muzykę można podzielić na dobrą i złą. Lubię dobrą muzykę, niezależnie od gatunku, aczkolwiek najczęściej skłaniam się ku jazzowi i drum'n'bassowi.

Co myślisz o urządzeniach typu Final Scratch, Serato czy odtwarzaczach CD np. CDX firmy Numark, pozwalających na granie z MP3 bądź z płyt CD z możliwością skreczy?
Są dobre do sprawdzenia, jak dany kawałek brzmi na imprezie lub jak ludzie go przyjmują, co pozwoli na lepszą selekcję przed tłoczeniem nagrań na winylach. Łatwo jest wypalić i grać z CD, ale dla mnie winyl zawsze będzie na pierwszym miejscu. Najbardziej irytuje mnie granie z mp3. Niemniej jednak myślę, że są to inne „instrumenty" niż gramofony i w połączeniu z nimi można rozszerzyć swoje możliwości w graniu, rozwinąć się.

Udaje ci się utrzymać z zawodu dj'a?
W zasadzie tak, ale nie jest łatwo. Nie zarabiam na razie dużych pieniędzy, ale lepiej jest poćwiczyć cały dzień i ich nie mieć, niż iść do pracy i nie mieć możliwości ćwiczenia.

Czy pracowałeś z jakimiś artystami spoza Czech?
Miałem okazję współpracować z Dj'em Kul-O z Wrocławia, Dj'em JSS ze Słowacji. Kolejne kolaboracje wkrótce...

Poznaliśmy się w Krakowie na zawodach Vestax Extravaganza 2001. Opowiedz o innych zawodach, w których brałeś udział i z jakim skutkiem.
Moje pierwsze zawody to rok 2000, ale bez znaczącego sukcesu (poza samym występem), następne to DMC Czech i Słowacji 2001, gdzie byłem drugi i wygrałem gramofony, co akurat bardzo mi pomogło, ponieważ do tamtych zawodów wciąż miałem tylko jednego Technicsa. Kolejne to Mistrzostwa Czech „Hej Mr Dj" 2 i 3 czyli lata 2001 i 2002, gdzie w obydwóch tych imprezach zajmowałem pierwsze miejsce. Wtedy do Czech dotarły zawody 00 ITF, gdzie w latach 2003 i 2004 wygrywałem wszystkie kategorie (scratching, beat juggling, advance, teams). W roku 2002 startowałem też w Vestaksie, gdzie byłem drugi za Dj'em Krime'em. Kolejne bitwy to ITF 2003 Eastern Hemisphere kategorie: Scratching – trzecie miejsce, Beat Juggling - drugie miejsce, Teams - trzecie miejsce. ITF 2004 Europa: Scratching - drugie, Beat Juggling - drugie, Teams - trzecie, Extravaganza Eastern Europe 2004 – pierwsze miejsce...

Skoro mówimy o zawodach Extravaganzy, które odbyły się w Polsce, miałeś okazję przyjrzeć się scenie turntablistycznej w naszym kraju. Możesz coś powiedzieć na ten temat, ewentualnie porównać pod tym względem Polskę i Czechy...
Z polskich dj'i podobają mi się skrecze Dj'a Eproma, jest naprawdę dobrym turntablistą. Dj Pistolet jest z kolei dobrym Beat Jugglerem. Co do porównania, myślę, że turntablistyczna scena polska i czeska są w miarę podobne do siebie i poziom dj'i jest wyrównany.

Pierwszą nagrodą w Extravaganzie był między innymi wyjazd do Tokio na światowe finały. Jak wrażenia z tej dalekiej podróży i z samych zawodów?
Wrażenia w zasadzie nie do opisania, wspaniały wyjazd, chciałbym tam kiedyś wrócić. Zawody odbywały się w małym, przyjemnym klubie. Zaskoczył mnie zarówno poziom azjatyckich dj'i, jak i styl skreczowania, który jest zupełnie odmienny od europejskiego czy amerykańskiego. Zupełnie inna kultura życia wpływa na inny styl muzyczny. Poziom był wysoki i ciężko było się dostać do finałowej piątki.

Z polskiej Extravaganzy zabrałeś do domu gramofon\mixer Vestax QFO. Co o nim sądzisz – czy przyjmie się wśród turntablistów, czy jest to kolejny gadżet w kolekcji Dj'a Qberta?
QFO jest ciekawym zestawieniem miksera wbudowanego w gramofon (lub odwrotnie), na razie tylko na nim ćwiczę. Możesz go zabrać ze sobą wszędzie, nie trzeba nosić dwóch gramofonów, miksera i szukać dużego stabilnego stołu, aby sobie pograć.

Bez tego pytania nie mogło się obejść – jacy są twoi ulubieni dj'e? Masz dla kogoś jakiś specjalny szacunek?
Jest ich wielu. Ciężko powiedzieć, który jest lepszy, którego bardziej szanuję. D-Styles, Tigerstyles, Kodh, Ralik, Phel, Q-bert, Scratch Perverts, Allies, Noisy Stylus, Woody, Lamont, Beat Junkies i masa innych...

Wymień w takim razie kilka ulubionych płyt, może tutaj będziesz miał jakiegoś zdecydowanego faworyta?
D-Styles „Phantasmagorea" to album wszechczasów! Do tego jeszcze na pewno „Wave Twisters" Q-berta, „Dim Sum Ip" – Dj Serious, płyta Immortal Technique, Wildchild – „Secondary Protocol".

A najlepsza płyta dla dj'i w 2004?
W 2004? „Workout Essentials" Rasguniado – tylko dla turntablistów, są na niej bardzo dobre pętle, dźwięki i inne rzeczy przydatne przy układaniu rutyn.

Jak postrzegasz otaczającą nas dzisiejszą kulturę (a może modę na...) hip-hop? Przyszłość?
Pojawiło się zbyt dużo komercyjnych grup, które mówią o hip-hopie, ale nie żyją hip-hopem. Dla mnie to nie jest tylko muzyka, czy styl ubierania się, hip-hop to dla mnie coś w stylu nurtu religijnego, kultury, acz wiele osób zapomina o tych korzeniach. Przykładowo – dzisiejsi dj'e są znacznie bardziej wyszkoleni technicznie, mają lepszy sprzęt do dyspozycji, a co jest dziwne to, że wiele grup gra bez dj'a i twierdzi, że ten jest im zbędny. A definicja grupy HH to Dj + MC. A w przyszłości? Może orkiestra złożona w pełni z turntablistów...

Podziękowania dla DaPoetOne

dj decks
plany

Dj Decks jest jednym z tych, którzy na polskiej scenie są od dawna. Jest nieodłącznym partnerem Pei w Slums Attack, jest także twórcą większości bitów na nowej, nadchodzącej płycie poznańskiej grupy. Poza zainteresowaniami rapowymi ma swoje sportowe hobby i plany na przyszłość, którymi podzielił się z czytelnikami SLG. Plany Dj'a Decksa, zapraszamy

notował Wojtek Antonów

Obecnie udało się skończyć pracę nad albumem SLU, mamy tam jeszcze dosłownie kilka rzeczy do zrobienia. Na tę płytę zrobiłem 8 podkładów i dogrywałem cuty i scratche. Jak robię bity? Normalnie, znajduję hihat, znajduję dobry werbel, stopę, do tego wyszukuję z winyli dobry sampel i się to klei w całość. Nie za bardzo mi idzie gra na syntezatorach i innych instrumentach, chociaż ostatnio zrobiłem taki bit i może damy go jako jakiś remiks, zobaczymy.

Dalej mam w planach zająć się pracą nad moim kolejnym legalnym mikstejpem, to będzie część czwarta. Porobię bity, pozapraszam gości i będzie dobrze. Równocześnie będę chciał zmontować taki bardziej „nielegalny" mikstejp – zachodnie bity, różne wokale, no po prostu nielegal ze wszystkiego, na co będę miał ochotę.

Z jednym tylko jest problem, nie ćwiczę prawie wcale. Muszę się do tego przyznać, no, ale po prostu nie mogę się do tego zabrać. Wcześniej to sobie tłumaczyłem tym, że przecież jeżdżę na koncerty, trzeba sprzęt zapakować, rozpakować na scenie, zagrać, znowu zapakować, przywieźć do domu, to już się człowiekowi nie chciało. Teraz nagrywaliśmy płytę, to też nie za bardzo był czas na granie i ćwiczenie. Mam w każdym razie nadzieję, że w najbliższym czasie się wezmę za adaptery. Chciałbym w każdym razie pograć trochę, bo, tak jak mówię, cały czas koncerty, czasami tylko imprezy, jak w Blue w Łodzi czy u Aśki Tyszkiewicz na Boogie Town, a ja lubię grać na imprezach, zwłaszcza na takich, gdzie ludzie chcą się bawić przy tym, co wrzucasz na adaptery. Wtedy jest dobrze.

Czy coś sobie planowałem kiedyś w związku z graniem na adapterach? Tak, chciałem kiedyś założyć crew dj'skie, ale jakoś nie wyszło. Po prostu mój kolega, on będzie wiedział, o kim mówię, z którym planowałem to przedsięwzięcie stworzyć, związał się z inną grupą. Nie, żebym miał mu to za złe (śmiech), no ale to mi nie wyszło.

Czy wiem, co się teraz dzieje w turntablizmie, w dj'ingu? Staram się na bieżąco być i ze sprzętem i z muzyką. Tylko za cholerę nie mogę zapamiętać nazw trików – craby, flairy, srery i inne takie (śmiech). Lepiej chyba je umieć, niż znać ich nazwy. Co do sprzętu, to kiedyś krytycznie bardzo odnosiłem się na przykład do Final Scratcha, ale czas zweryfikował moje stanowisko i teraz już nie jestem taki niechętny, po prostu ten sprzęt się sprawdza i jest pomocny w pracy, jednak powtarzam: nie ma to jak dobry winyl.

Czy chcę sobie kupić jakieś płyty? Pewnie, że tak! Mam co prawda dużo płyt, ale na przykład wszędzie szukam płyty PMD z kawałkiem nagranym razem z Das Efx „Ruff, Rugged and Raw". Szukałem jej wszędzie, w Berlinie, w Londynie i nie ma. Może kiedyś mi się uda ją zdobyć. Było jeszcze parę takich płyt, których długo szukałem, potem je kupiłem i już o nich zapomniałem (śmiech).

Poza moim zajęciem jako dj zajmuję się aktywnie sportem, gram w rugby w drugoligowym klubie Chaos Poznań. Teraz co prawda jest przerwa w sezonie, treningi raz w tygodniu, ale ja z kolegą postanowiliśmy zasuwać codziennie: trochę biegania po lesie, trochę siłowych ćwiczeń, tak żeby dobrze przygotować się do sezonu, który rozpoczyna się 13 marca (zaległy mecz z Arką Gdynia II). Co prawda w tym sezonie nie damy rady przebić się do pierwszej ligi, nie załapaliśmy się do grupy walczącej o to, ale po lecie chcielibyśmy być w stanie i przymierzyć się do powalczenia o jak najlepsze wyniki.

Co jeszcze? Po prostu życie (śmiech). Razem z moim kolegą Dominikiem otworzyliśmy taki osiedlowy klub, który nazywa się bardzo ładnie – Decks Music Club:). Nie jest to żyła złota i jakiś mega biznes, ale powoli próbujemy to ruszyć. Nie jest to lokalizacja w centrum miasta, bardziej tak na obrzeżach (Ul. Ognik 20 c, Poznań:), ale mieliśmy już kilka udanych imprez, grał u nas Twister, Deszczu Strugi, bawili się chłopaki z Zipery, Vienio, Pele, dużo ludzi już u mnie było i miejmy nadzieję, że będzie jeszcze lepiej.

Co chciałem robić za małolata? Chciałem być komandosem (śmiech). Jarałem się takimi akcjami, Gromem i tego typu sprawami (śmiech), no ale to za dzieciaka. Potem naprawdę chcieli mnie wziąć do wojska i już nie byłem taki chętny (śmiech).

Na dziś chciałbym nadal zajmować się muzyką, grać w rugby i jakoś żyć:). Nie chciałbym utrzymywać się tylko z muzyki, tylko mieć jeszcze jakiś biznes, który pozwoli mi na niezależność. Chciałbym też założyć rodzinę, dom, bo to już chyba czas (śmiech). Przy tej okazji pozdrawiam mocno moją dziewczynę, z którą jestem cały czas, bardzo ją kocham i zostaniemy już do końca życia. Pozdrawiam też wszystkich moich znajomych, słuchaczy i czytelników SLG.



frontside

w sercach zwykłych śmiertelników



Nie wiem, jaka odległość dzieli Sosnowiec od Siódmego Kręgu Piekielnego, ale gotowy jestem sądzić, że członkowie Frontside są w stanie pokonać ją na piechotę. „Zmierzch bogów", nowy album sosnowieckiej formacji wznieca hard core / metalowy ogień, od którego Lucyfer mógłby przypalać chrust na podpałkę swego Infernum. Zawczasu upewniwszy się, że nie mam alergii na smołę i siarkę, zstąpiłem do piekła, by przepytać gitarzystę Frontside, Demona. No to zaczynamy... 1, 2, 3, 666, start!

rozmawiał Sebastian Rerak
foto Katarzyna Zaremba

Od kilku miesięcy Frontside działa w zreformowanym składzie. Podobno nie ma ludzi niezastąpionych, ale wielu zdążyło przyzwyczaić się do charakterystycznego głosu byłego wokalisty, Astka. Czy pomimo zmian personalnych, Frontside towarzyszy ten sam duch, jak wtedy, gdy zakładaliście zespół?
Wiesz, zacznę od tego, że nie mieliśmy zbytniego wpływu na decyzję Astka, o jego planach dowiedzieliśmy się przypadkowo. Wybrał lepsze życie za granicą, przez co mieliśmy trochę problemów, bo nie spodziewaliśmy się tego zupełnie. No, ale jak widać, udało nam się doskonale zmobilizować, nagrać płytę, odbudować skład i uporządkować wszystkie sprawy zespołowe. Jesteśmy teraz zgrani jak nigdy i bardziej czujni, jeśli chodzi o zachowania w zespole. Nie możemy już dopuszczać do takich niezwykłych sytuacji, rozłamów i innych tego typu akcji. Duch jest ten sam od początku, z tą różnicą, że bardziej dojrzały, bogaty w doświadczenia, wzloty i upadki. Wszystko to w jakiś sposób się kumuluje i tworzy tę specyficzną aurę, czy to w sali prób, na koncercie czy w jakimś innym miejscu. Będziemy starali się kontynuować naszą drogę w sposób profesjonalny. Jesteśmy gotowi na nowe wyzwania.

Nowy album „Zmierzch Bogów" to kawałek świetnej muzyki. Czy jesteście zadowoleni z efektu swoich starań? Z jakim odzewem spotyka się płyta?
Dzięki wielkie! Jesteśmy bardzo zadowoleni z końcowego efektu, choć na pewno coś się jeszcze dopieści na angielskiej wersji płyty. Pod koniec sesji gonił nas strasznie termin, dosłownie w ostatniej chwili wybraliśmy ostateczną wersję masteringu, jak słychać – dosyć trafną. Recenzje są po prostu zabójcze, zaskakujące i nie ukrywam, że bardzo budujące. Zależy nam na dobrym przyjęciu płyty, chcemy trafić do jak najszerszej liczby odbiorców. Poza tym każdy, czy jest fanem metalu czy HC, może przyjąć spokojnie tę płytę na klatę! Nie boję się tego stwierdzić i wręcz się cieszę, że płyta może być przyjęta przez obie te subkultury. Coraz bardziej umacniam się w przekonaniu, że nasza tolerancja na taką muzykę w końcu zwalczy wszystkie złe myśli twardogłowych. Muzyka ma siłę przebicia, więc miejcie się na baczności!

Podtytuł albumu brzmi: „Pierwszy krok do mentalnej rewolucji". Czy jest to pewnego rodzaju myśl przewodnia płyty?
Wszystko na tej płycie tworzy pewien koncept. Począwszy od okładki, przez zawartość całej książeczki, tytuł, na muzyce i tekstach skończywszy. Nie wiem jak nam się to udało, ale jednak. Kto poczyta teksty, zauważy, że są spójne, powiązane ze sobą i mają na celu przedstawienie rzeczywistości takiej, w jakiej przyszło nam egzystować czy tworzyć tę płytę. Wszystkie sprawy, które nas dotykają na co dzień, te najważniejsze i te błahe, wszystkie troski i zmartwienia miały swój mały udział podczas pracy nad płytą. Nie ma zmiłuj się, nie ma litości. Każdy mały krok może oznaczać bardzo dużo. Licz się z konsekwencjami swoich poczynań, nie marnuj czasu, patrz przed siebie, niech twoja przeszłość będzie wskazówką dla przyszłości, wyciągaj wnioski ze swoich porażek, niech będą dla ciebie nauką. Dla nas to bardzo ważna płyta i chcieliśmy, by wszystko na niej było doskonałe. Warstwa tekstowa jest bardzo specyficzna i chociaż zmienił się człowiek za nią odpowiedzialny, to staramy się utrzymać w ramach określonej wcześniej konwencji smoły, piekła, miłości, nienawiści, upadku jednostki. W sercach zwykłych śmiertelników takich jak my, rodzą się podobne pomysły. Dla nas świetnie to współgra i zdaje egzamin, ale biorąc pod uwagę fakt, że nie wszystkim się spodoba, nie staramy się brać na to poprawki. Niech to żyje i zrobi to, co ma na celu. Każda interpretacja będzie prawdziwa.

Zawsze uważaliście się za zespół zjednoczeniowy, wyrastający ponad subkulturowe podziały. Czy te deklaracje mają też przełożenie na to, jacy odbiorcy słuchają waszej muzyki?
Wiesz, nie od dzisiaj to wiadomo i na pewno się to nie zmieni w najbliższym czasie. Taka rola przypadła nam i staramy się to wszystko trzymać w garści. Nie chcemy porzucać tego, czym do niedawna charakteryzował się zespół. Jeśli chodzi o słuchaczy, to każdy ma prawo do słuchania tego, czego chce. My tylko staramy się wskazać kierunek, w jakim słuchacz mógłby zwrócić swoje zainteresowanie. Scena metalowa i scena HC mają tak wiele wspólnego, że grzechem byłoby nie korzystać z uroków obu tych gatunków. Na tym polega nasza muzyka, tak samo kochamy metal jak i HC, więc jeśli lubisz oba te gatunki, wybierz Frontside!

Kiedyś bardzo nieprzychylnie wypowiadaliście się o komercyjnych grupach podpinających się pod hard core (Sweet Noise, Illusion itp.). Sądzisz, że zespoły takie jak Frontside mają realną szansę zaistnieć w mediach i stać się przeciwwagą dla takich wykonawców?
My obraliśmy zupełnie inną drogę rozwoju niż wspomniane zespoły. Nie mieliśmy parcia na karierę i nie podpinaliśmy się pod jakieś popularne w danym momencie trendy czy style muzyczne. Wreszcie żaden z muzyków Frontside nie grał muzyki innej, niż zbliżona ideologicznie do naszej. Nie byliśmy odkryciem jakiegoś konkursu czy festiwalu. Przez początkowe lata, zupełnie nie interesowało nas podpisanie papierów z dużą wytwórnią. Nie przykładaliśmy do tego wagi, gdyż uważaliśmy, że nie jesteśmy na to gotowi. Dla nas muzyka jest czymś więcej niż tylko produktem naszych ambicji czy potrzeb. Mamy dla niej respekt i tworzymy ją z pobudek czysto egoistycznych (śmiech) – przede wszystkim my mamy być zadowoleni, a potem cała reszta. Wydaje mi się, że w przypadku wspomnianych kapel jest odwrotnie. Podpinały się w kolejności pod grunge, potem hard core, a w końcowych fazach kariery nawet ocierały się o Korn i numetalowe klimaty. Jeśli sam czujesz się częścią sceny hard core, a ktoś na forum wszem i wobec głosi, że jest reprezentantem HC, to gorycz może wypełnić twe serce. Dla nich HC to Biohazard czy Rage Against The Machine – z całym szacunkiem dla tych zespołów, ale hard core to zupełnie co innego. Takie nazwy jak Cro Mags, Warzone, Bad Brains czy Minor Threat są dla nich totalną zagadką. Oczywiście my z taką muzyką mamy coraz mniej wspólnego, jednak muzyczną edukację zaczynaliśmy właśnie od tych zespołów, a nie grup z „pierwszych stron gazet". Hard core niesie ze sobą również przekaz, ale to już historia na dłuższą pogawędkę.

Kiedyś w składzie Frontside udzielał się także dj. Zapewniałeś jednak, że nie tęsknicie za nim. Czyżby koleś nie potrafił się porozumieć z resztą zespołu?
To były lata 1993-1996, w tej chwili już tak odległa historia.... Nikt wtedy nie używał gramofonów do scratchowania. Graliśmy kilka sztuk z zaczynającym dopiero karierę Kalibrem 44. Posiadaliśmy jakieś zwykłe adaptery, które podskakiwały na scenie tak, że nie można było na nich zaprezentować czegokolwiek. Nagraliśmy z pomocą dj'a trzy taśmy demo i muszę przyznać, że fajnie się słucha tych popisów nawet dziś (śmiech). Pamiętam, jak podczas przygotowań do nagrań demo „Moja własna tolerancja", dj nie pojawiał się zupełnie na próbach, żeby potem zaskoczyć nas swoimi propozycjami w studiu (śmiech). Przygotował tyle stuffu, że słuchając nagrań, można by odnieść wrażenie, że to jego solowy materiał. Nie byliśmy w stanie tego zaakceptować i pojawiły się pierwsze nieporozumienia.

Nazwa zespołu chyba nie bez powodu kojarzyć się może z deskorolką...
Tak. Nazwa zespołu wywodzi się z terminologii skate'owej. Chcieliśmy mieć nazwę łatwą do zapamiętania i charakterystyczną. To był czas, kiedy interesowaliśmy się skateboardingiem, byliśmy młodsi i sprawniejsi (śmiech). Jeszcze do niedawna mieliśmy w kapeli dwóch skate'ów, teraz został się tylko Nowak, ale on już raczej też nie praktykuje. Simon był zawziętym amatorem deski i wziętym instruktorem snowboardu, co zresztą dalej robi. Stawia też snowparki i rampy. We wczesnych dniach byliśmy pod wpływem wielu kapel skatecore'owych, jak choćby Suicidal Tendencies czy D.R.I., które już wtedy łączyły metal z hard core'em.

Frontside istnieje już 11 lat. Jak się czujecie zaczynając drugą „dekadę terroru"?
Teraz mamy wszystko poukładane. Znikły problemy sprzętowe, nie martwimy się o reklamę czy inne związane z tym rzeczy, a to pochłaniało kiedyś mnóstwo czasu. Skupiamy się już tylko na muzyce. To komfort! Energii nie braknie jeszcze przez kilka dobrych lat. Mamy masę pomysłów na przyszłość, wiele dźwięków do zagrania i miejsc do odwiedzenia. Już niebawem trasa po kraju, a potem może i po Europie. Wydaliśmy tam w ubiegłym roku płytę, która zbiera świetne recenzje, więc kto wie... W styczniu premiera klipu „Naszym przeznaczeniem jest płonąć".

Czy to prawda, że przestaniecie grać dopiero wtedy, kiedy wasza dyskografia będzie liczyć już 666 albumów?
Oczywiście! Pewne sprawy zobowiązują. To takie naturalne (śmiech).

tadeusz baranowski
zrób to sam!

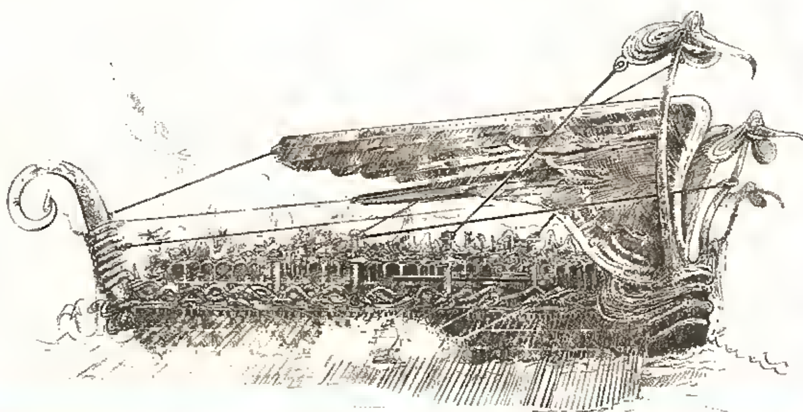
Tadeusz Baranowski jest bez wątpienia jednym z najpopularniejszych polskich twórców komiksowych. Powołał do życia wiele niezapomnianych postaci, takich jak Profesorek Nerwosolek, Kudłaczek i Bąbelek, Orient Men czy Praktyczny Pan. Ma na swoim koncie kilkanaście albumów i niezliczoną ilość ilustracji książkowych, jest także malarzem. Teraz dla swoich najwierniejszych fanów szykuje zupełnie nowe rzeczy, jakich na naszym rynku jeszcze nie było. O szczegółach opowiada w poniższym tekście

notował Kuba Demiańczuk
ilustracje Tadeusz Baranowski

WOBEC TEGO, ŻEGNAJCIE!

Mój nowy projekt wyrasta z pewnego rodzaju buntu. Mam złe doświadczenia ze współpracy z wydawnictwami. Egmont drukował reprinty moich komiksów, za co oczywiście jestem mu wdzięczny, bo w jakiś sposób pojawiłem się z powrotem na rynku, na którym niewielu naprawdę zdolnych, fantastycznie utalentowanych polskich rysowników, ma szansę zaistnieć. Bardzo liczyłem na to, że to jest początek nowej współpracy, że jednak widzą we mnie jakieś potencjalne możliwości. Okazało się, że nic podobnego się nie dzieje, żadne propozycje współpracy nie miały miejsca, że przede wszystkim w tej chwili wydawcy zachłysnęli się możliwościami zdobywania starych komiksów z zachodu, tej polwornej sieczki.

Pomyślałem więc, że wykorzystam jeszcze całą masę pomysłów, które chodziły mi od długiego czasu po głowie i wystąpię z propozycją wydania limitowanej serii komiksów (chciałem odwrócić sytuację z PRL-u, gdy moje komiksy były drukowane w ogromnych nakładach). Będzie to coś, czego do tej pory na naszym rynku nie było. Pierwszy album ma być pożegnaniem Profesorka Nerwosolka. Zaproponowałem dość wysoką cenę i, przyznaję, bałem się, iż okaże się to ceną zaporową. Ale coś za coś. Będzie to bowiem coś absolutnie wyjątkowego i niespotykanego, nie tylko na naszym rynku.







POZDROWIENIA. T.B.

Wydam tylko 550 egzemplarzy i ani sztuki więcej. Nigdy więcej. Koniec, kropka. Każdy egzemplarz będzie numerowany i podpisywany na okładce, aby potwierdzić jego autentyczność. Na okładkach będą naklejone repliki pieniążka – medalu, który dostałem jako nagrodę na festiwalu w Belgii. Repliki te będą wykonane z pozłacanego mosiądzu. Staram się – żeby wszystko było legalnie i w porządku – by studio filmów animowanych w Bielsku-Białej pozwoliło mi wypuścić na CD dwa krótkie filmiki o Nerwosolku, które kiedyś tam powstały. Może nie było to nic specjalnego, ale stanowiłoby ciekawostkę dla fanów. Robiłem też kiedyś scenografię dla Se-Ma-Fora do nowej wersji filmu o kocie Filemonie. Staram się o zgodę kompozytora na wykorzystanie fragmentów muzyki z tego filmu, też jako ciekawostkę dla kolekcjonerów. Być może wyprodukuję jeszcze jedną płytę, z PDF-ami moich rysunków. Mam się więc czym zająć.

Poza tym, żeby podkreślić, że to naprawdę koniec przygód tych postaci, oryginalne plansze z tego albumu pokroję na 550 kawałeczków i dołączę do każdego egzemplarza albumu. Będą też dodatki z ilustracjami, które robiłem przez lata. Album będzie miał 80 stron: 46 stron nowego komiksu, a reszta to różne ciekawostki, między innymi fragmenty komiksów, które rysowałem w Belgii. Zamieszczę też kilka stron wspomnień z dzieciństwa, fotografii, rzeczy rysowanych dla dzieci, kilka komiksów, które robiłem na potrzeby reklamy. Specjalnie do tego albumu dwie plansze narysuje mi Tomek Leśniak. I jeszcze coś dla tych, którzy te albumy zamówią, bo przecież to są moi sponsorzy. Na końcu albumu umieszczę listę nabywców, a także na wyklejkach okładki umieszczę malutkie, zrobione przez nich rysunki. Pomoc w wydaniu albumu – w sensie technicznym i wydawniczym – zaproponowała mi Kultura Gniewu.

Tak to całe zamierzenie w tej chwili wygląda. To dla mnie ogromne przedsięwzięcie, mój cel życiowy. I jeśli się powiedzie – a mam nadzieję, że wszystko skończy się przed końcem listopada – wtedy powstanie drugi album. Prawdopodobnie będzie to Praktyczny Pan, choć chcę, żeby sami czytelnicy mieli możliwość wyboru, który z bohaterów ma pożegnać się jako drugi. Praktyczny Pan byłby o tyle ciekawy, że moje wspomnienia byłyby tam zupełnie inne niż te w Nerwosolku, już niekoniecznie przeznaczone dla dzieci.

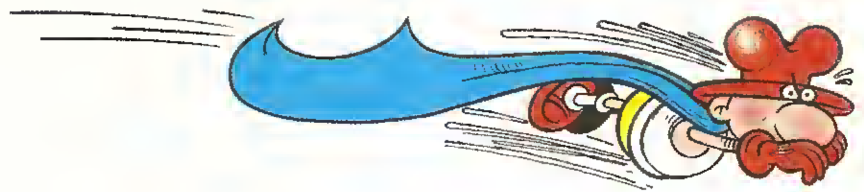
Mam nadzieję, że mój projekt będzie pewnego rodzaju nauczką dla wydawnictw, które popadły w rutynę. Jest to też taka inicjatywa, która, mam nadzieję, pokaże ludziom, że można coś zrobić na własny rachunek. Chciałbym w przyszłości w takie przedsięwzięcia wciągnąć moich młodszych kolegów po fachu, żeby i oni mogli zrobić coś takiego nie oglądając się na łaskę dużych wydawnictw.

POWIEM KRÓTKO, A NAWET JESZCZE KRÓCEJ. NIE JEST DOBRZE!

Całe to przedsięwzięcie jest tak naprawdę efektem ubocznym działania wydawnictw, które zupełnie nie interesowały się pracą ani planami twórczymi rysownika. Kilkakrotnie zwracałem się do różnych wydawnictw z nowymi propozycjami, ale nie spotykało się to z żadnym zrozumieniem. Proponowałem: „dajcie mi zaliczkę, żebym mógł usiąść i w te kilka miesięcy roku narysować nowy album". Ja przecież muszę w tym czasie zrezygnować ze wszelkich prac zarobkowych. A jakoś ten czas trzeba przeżyć. Okazywało się to absolutnie nie do zrealizowania. Skoro można wydrukować przywieziony za parę groszy stary album z zachodu, to po co płacić większe wynagrodzenie autorowi polskiemu?

Według mnie, współpraca z poważnym wydawnictwem powinna wyglądać tak: wydawca utrzymuje z autorem dialog, interesuje się jego planami, zachęca do pracy, reklamuje, wreszcie rzetelnie i na czas wynagradza. W Belgii miałem taki kontrakt, który zobowiązywał przez pięć lat obydwie strony do wzajemnych kontaktów. Jeśli był czymś zainteresowany na poważnie, to kupował to choćby do szuflady (na ewentualną przyszłość). Jeśli przez te pięć lat nie wydał kupionej pracy to zwracał ją autorowi, mimo iż zapłacił honorarium.

Kiedyś zdarzały się próby ingerencji w to, co robię. Zawsze stawiałem opór. Gdy zaczynałem nową serię odcinków Praktycznego Pana w Razem, to redakcja zażyczyła sobie, żebym rysował kilka różnych plansz, do wyboru. Chciałem tu przypomnieć tym, którzy nie wiedzą, że jedna plansza to jest ponad tydzień pracy. Nie może być tak, że o komiksie autorskim, który ma się ukazać w gazecie, decyduje jedna osoba. To czytelnicy kupując pismo pośrednio wypowiadają się, czy ten komiks im odpowiada, czy też nie. Gdy ingerowano w Orient Mena w Relaksie, przeniosłem tę postać do „Świata Młodych", gdzie pracowałem bez przeszkód. Druk Antresolki Profesorka



Nerwosolka miał się zacząć w piśmie Alpha, ale pewna pani powiedziała mi, że to ani taki Nerwosolek, ani taka Antresolka, a najlepiej by było, żeby ten komiks nazywał się „Profesor X działa". Na tym zakończyła się moja współpraca z tym pismem. Komiksy o treści, których decydowałem tylko ja, były zawsze moimi najlepszymi. Te prace, przy których ulegałem presji zamawiającego, albo starałem się dostosować do gustów czyjegoś widzimisię, są moimi najgorszymi i teraz się ich wstydzę. Dzisiaj moi czytelnicy stworzyli mi nieprawdopodobną szansę na stworzenie właśnie takiego autorskiego albumu, w którym mogę wykreować własną wizję plastyczną i tekstową.

Dzięki moim ostatnim kontaktom internetowym z wieloma rysownikami w Polsce, dowiaduję się, że brak szacunku dla naszej pracy stał się normą. Wydawnictwa mają tak skonstruowane z autorami umowy o dzieło, że praktycznie odbierają im prawa do wszystkiego, co tworzą. Nawet za komuny było tak, że wydawnictwa płaciły autorowi za pierwsze wydanie 100 procent honorarium – przy drugim wydaniu – 80 procent, a przy każdym kolejnym 70 procent. Dzisiaj autorzy – rysownicy są bezradni wobec stosowanych przez wydawców praktyk i myślę, że prędzej czy później coś z tym trzeba będzie zrobić. (Myślę na serio o założeniu Związku Polskich Rysowników Komiksowych).

Właściwie, jeżeli samemu się nie podejmie jakiejś inicjatywy, a wiadomo jak jest trudno, to młody twórca komiksowy praktycznie nie ma szans na wypromowanie swojej twórczości. Egmont chciał mieć w swojej kolekcji klasykę polskiego komiksu, ale nie był zainteresowany nawiązaniem z autorami tej serii stałej sensownej współpracy. A młodzi rysownicy trafiają do agencji reklamowych, gdzie pracując po kilkanaście godzin na dobę nie mają już czasu na realizowanie swoich pomysłów. Dlatego nasz rynek tak wygląda. Są rysownicy, którzy pracują dla idei, chętnie oddaliby swoją pracę za darmo wydawnictwom, aby tylko znaleźć się na półkach księgarskich, ale znam przypadki, że nawet świetni rysownicy są bagatelizowani.

Może kiedyś uda mi się założyć w Internecie taką nieformalną czarną listę wydawnictw i agencji reklamowych, które nierzetelnie traktują twórców. Jeżeli nasze państwo może założyć czarną listę dłużników – obywateli, to czemu my nie moglibyśmy zrobić czegoś podobnego w rewanżu tym, którzy z nas dłużników robią? Nie twierdzę, że coś dzięki temu od razu wygramy, ale może ten i ów zacznie się bać, że znajdzie się w takim „doborowym" towarzystwie na forum publicznym? Jest już parę osób chętnych do przystąpienia do takiej akcji...

TWOJA PRZYSZŁOŚĆ UZALEŻNIONA JEST OD POMYSŁÓW AUTORA

Od lat powtarzałem, że nasze komiksy są lepsze od zachodnich. W tej chwili mamy całą grupę wspaniałych rysowników – autorów. Mają niesamowity warsztat rysowniczy, swój niepowtarzalny styl jako twórcy scenariuszy. Ich twórczość wyrosła z naszej polskiej kultury. Robią wspaniałe rzeczy. Często sięgam do albumów właśnie polskich artystów: Rafała Skarżyckiego i Tomka Leśniaka, Janka Kozy, Jacka Frąsia, Krzysztofa Gawronkiewicza. Bardzo usatysfakcjonował mnie scenariusz albumu „Achtung Zelig" Gawronkiewicza i Krystiana Rosińskiego. Może dlatego, że ja sam czuję się czasami bardziej scenarzystą niż rysownikiem?

Czasem napisanie scenariusza kosztuje mnie trzy razy więcej czasu, niż potem jego narysowanie. Przez ostatnie lata zmienił się także nieco mój sposób rysowania. Nerwosolek, którego teraz rysuję, nie będzie już taką „czeską marionetką", jak mi to niedawno wypomniano w pewnym wywiadzie. W każdym razie dopóki nasze wydawnictwa będą stosowały dotychczasowe metody współpracy z polskimi autorami, to ja czarno widzę przyszłość naszych młodych twórców, przynajmniej w naszym kraju. Pociechą może być tu tylko fakt, że niektórzy zaczynają już karierę artystyczną w krajach Unii. Ale tu pada kolejne pytanie. Czy na przykład można sobie wyobrazić pana Jacka Frąsia rysującego do scenariusza Duchaleau? Czy, z całym szacunkiem dla mistrzostwa warsztatowego Grzegorza Rosińskiego, jest on polskim rysownikiem czy frankofońskim? I nie opowiadajmy tu banialuk o globalnej wiosce.

Chodzi mi o to, żeby fantastyczni polscy rysownicy komiksowi nie stracili swojego oblicza poprzez podporządkowanie się idiotycznym, komercyjnym wymogom chwili. Jaki będzie ich dalszy los, tego nie wiem. Może powinno powstać coś takiego, jak kiedyś we Francji, czyli stowarzyszenie niezależnych rysowników, którzy na przekór wszystkim wydawali swoje własne rzeczy. Nie myśląc o sprzedawaniu wielkich nakładów, ale o tym, żeby robić swoje. Wydawcy zachodni zainteresują się tylko wtedy naszym rysownikiem, gdy jego prace zaczną się sprzedawać w naszym kraju w ilościach 30-40 tysięcy egzemplarzy. Jest jeszcze jedna sprawa: polski komiks jest silnie osadzony w naszych realiach. Nasi twórcy w swoich tekstach zawierają zwykle jakąś specyficzną filozofię i indywidualne podejście do otaczającej rzeczywistości. I to jest nasz cenny dorobek i wkład w kulturę całej Europy.

Przeczytałem, że moje komiksy są napisane w taki sposób, że nie ma możliwości, by były one zrozumiałe na zachodzie. Trzeba tylko zadać sobie nieco trudu i znaleźć dobrego tłumacza. I to jest zadanie tzw. wydawnictw, które nie chcą za to płacić. Tomasz Beksiński przetłumaczył Monty Pythona tak genialnie, że jest zrozumiały i zabawny dla wszystkich. Ja też przez pewien czas miałem znakomitego tłumacza, Mateusza Żuławskiego, który potrafił przetransponować mój język na język zrozumiały dla Francuzów.

DZISIAJ OPOWIEM WAM DOWCIP

Gdy ogłosiłem w Internecie decyzję o wydaniu limitowanej serii albumów, to po paru dniach pojawili się supersprzedawcy z allegro, którzy chcieli kupić cały nakład z prawami do dystrybucji. A ja cały czas potwierdzam, że nie robię tego tylko dla pieniędzy, ale też dla moich fanów, którzy mnie wspierają, którzy nieustająco do mnie piszą (burp@hot.pl) podtrzymując mnie na duchu. Myślę, że to będzie szansa na mój powrót na rynek polski.

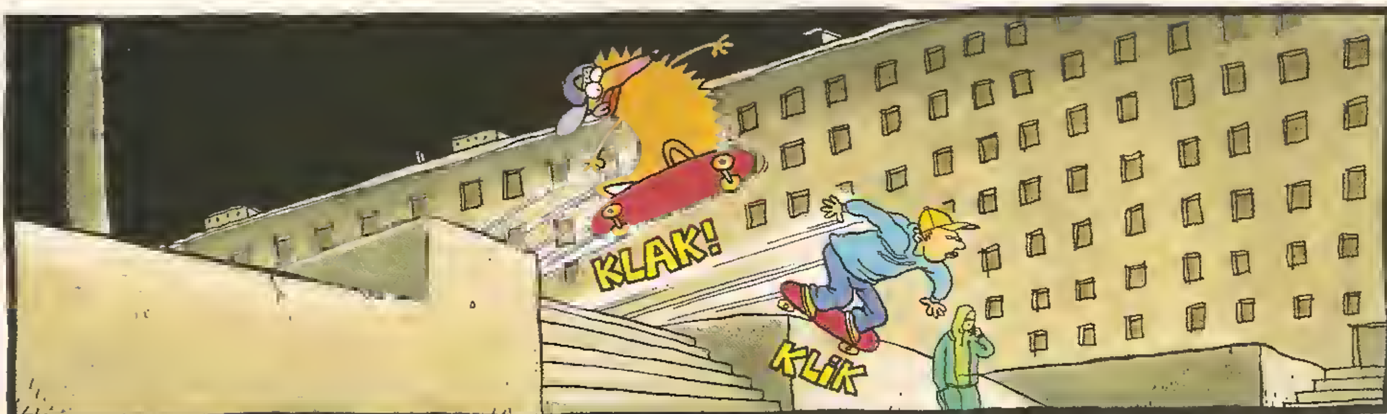
(śródtytuły są cytatami z komiksów rysownika)









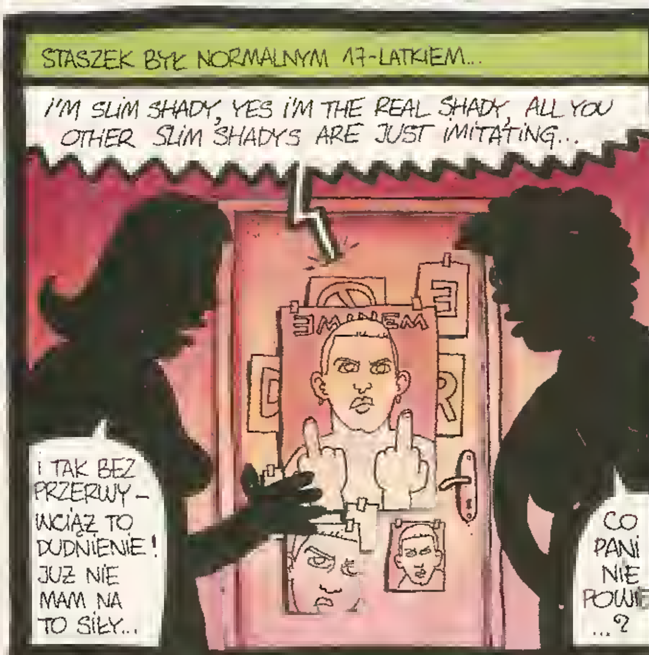

KLAK!
KLIK


EJ! CHŁOPAKI - CHCECIE PRZYSMAŻYĆ? DZIŚ PROMOCJA - WSZYSTKO ZA PÓŁ CENY!
ŁAŁ!

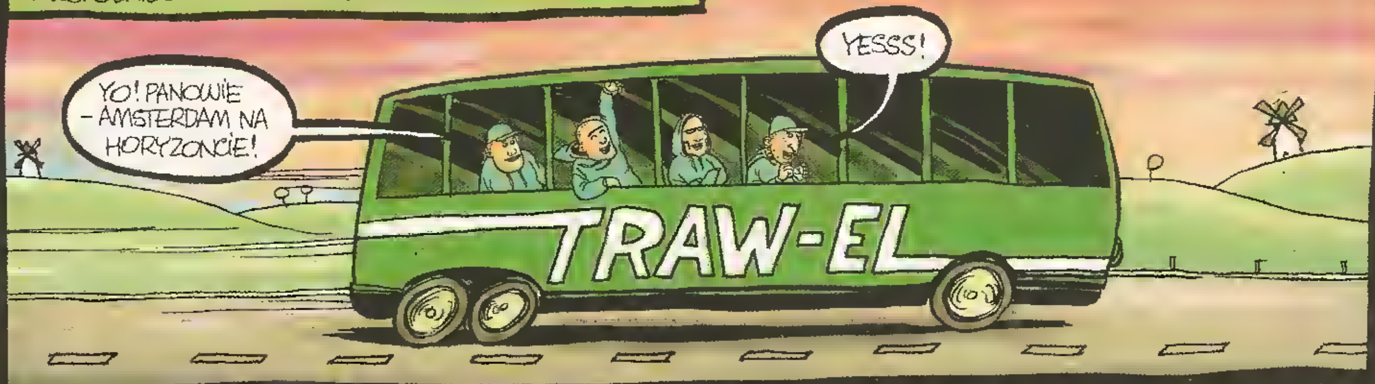

NIE!
NIE?
NIE, TO NIE...


CO JEST, JERZY...? MYŚLAŁEM...
NIE MYŚL ZA WIELE, BO MYŚLIWYM ZOSTANIESZ... PO PROSTU MAM SWOJE POWODY...
JAKIE?


OPOWIEM CI HISTORIĘ JEDNEGO Z MOICH ZIOMKÓW TO ZROZUMIESZ...


STASZEK BYŁ NORMALNYM 17-LATKIEM...
I'M SLIM SHADY, YES I'M THE REAL SHADY, ALL YOU OTHER SLIM SHADYS ARE JUST IMITATING...
EMINEM
I TAK BEZ PRZERWY - WCIĄŻ TO DUDNIENIE! JUŻ NIE MAM NA TO SIŁY...
CO PANI NIE POWIE...?


...MIAŁ GRUPĘ KUMPLI, KTÓRZY GO ROZUMIELI I NAZYWALI...
JASTRZĄB! ELO, DZIECIAK, ELO!
ELO, ZIOMY!
THC
HWDP
YMCA

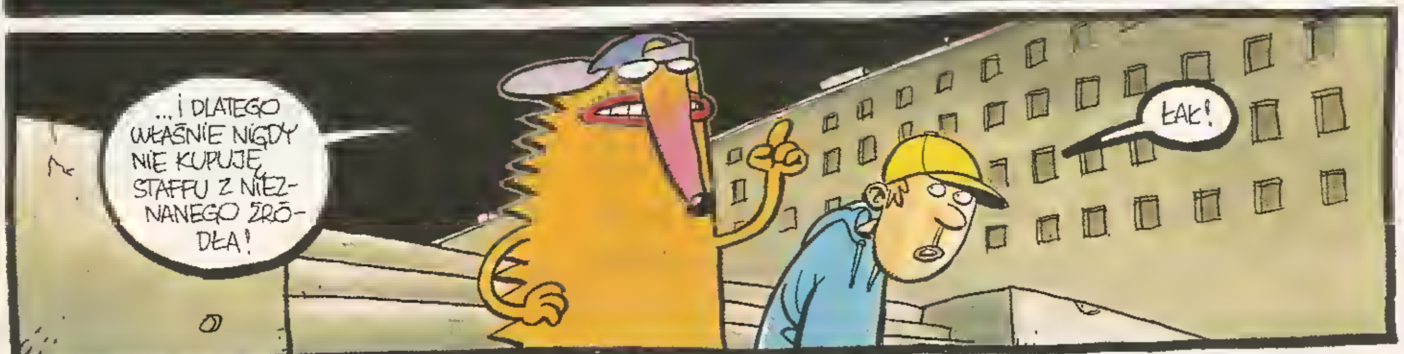

...WSPÓLNIE Z NIMI WYJECHAŁ NA WAKACJE SWOJEGO ŻYCIA.
YO! PANOWIE - AMSTERDAM NA HORYZONCIE!
YESSS!
TRAW-EL


NIESTETY, JEGO WYOBRAŻENIA ROZMIJAŁY SIĘ Z RZECZYWISTOŚCIĄ.
OFFEE SHOP SMOKEY
I, CO JASTRZĄB? KUPIŁEŚ?
NIE... PRZEZ TEN LEGAL WSZYSTKO JEST CHOLERNIE DROGIE... WIECIE, PODATKI, TE RZECZY...


ROZWIĄZANIE PROBLEMU POJAWIŁO SIĘ NAGLE I NIESPODZIEWANIE...
CANNABIS? CANNABIS? CHEAP... COME, COME...
ŁI!
YES!
DA!
THC
HW


...W ZWIĄZKU Z CZYM KILKA MINUT PÓŹNIEJ STASZEK WRAZ Z KOLEGAMI ZREALIZOWALI CEL WYJAZDU...
NOO, I TE W WITRYNACH ODBICIA... MAX...
STARY, ALE JAZDA...


...CHOĆ NIE ZDAWALI SOBIE JESZCZE SPRAWY Z CENY, JAKĄ PRZYJDZIE IM ZA TO ZAPŁACIĆ...
?!?
RLS
THC
HWD
YMCA
?!?


...I DLATEGO WŁAŚNIE NIGDY NIE KUPUJĘ STAFFU Z NIEZNANEGO ŹRÓDŁA!
ŁAŁ!

WinterMiXtyle2005

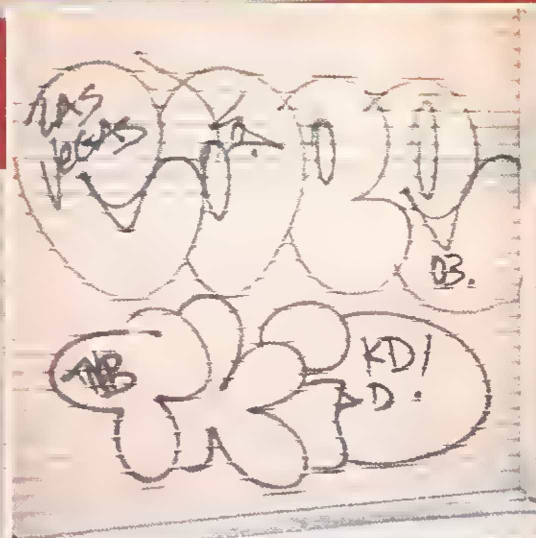









ARMN
2131







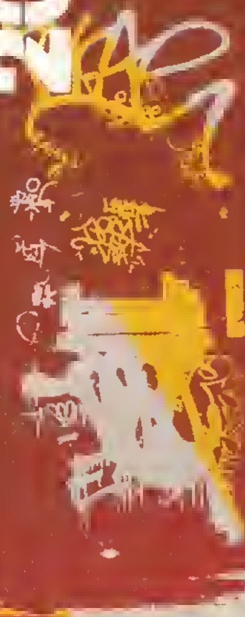




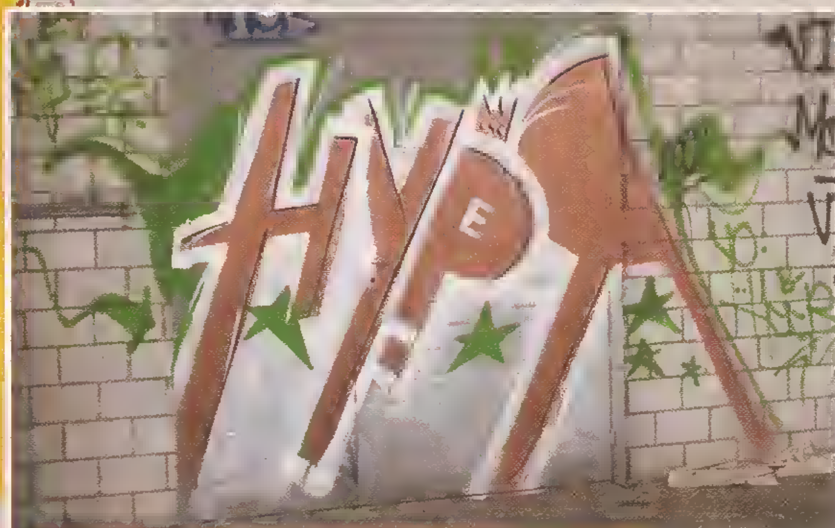


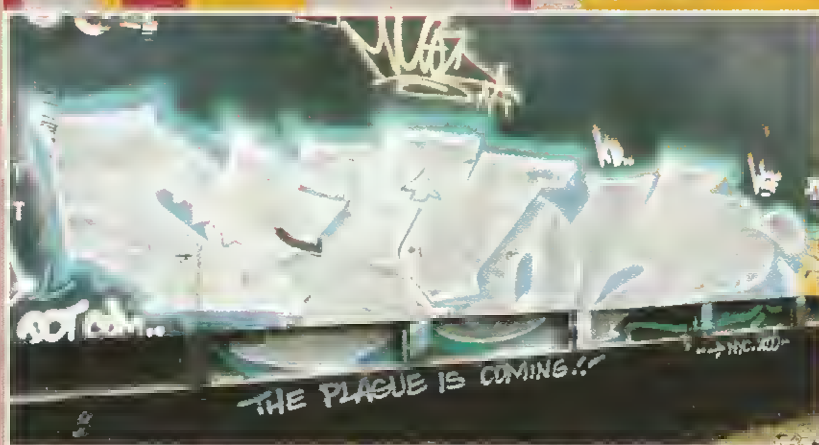


WinterMixstyle 2005









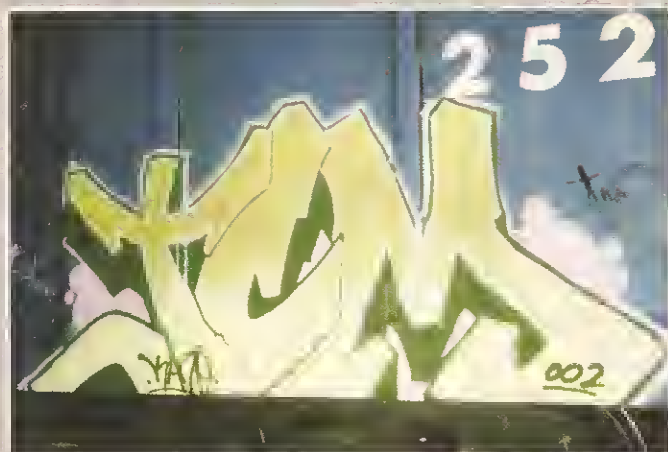









DW&F


252
002






090






2

Winter Mixtyle 2005


















TCV..












UNE.DEO.ATR
DASK.ADEL
CFC

WinterMiXtyle 2005

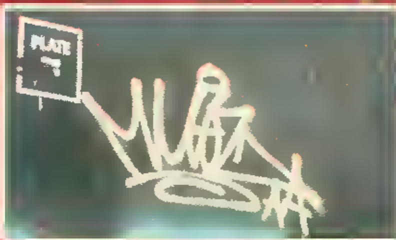
MOST TALKED ABOUT

MOST TALKED ABOUT

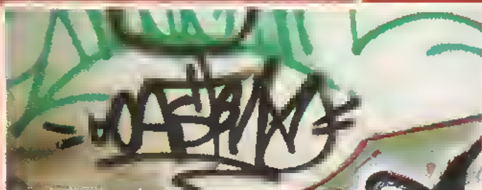




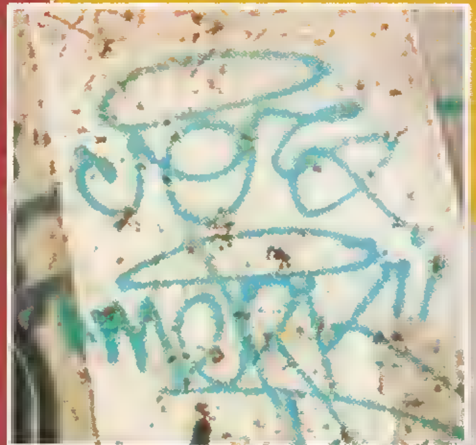




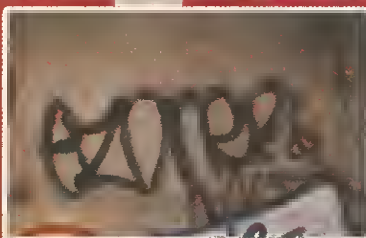


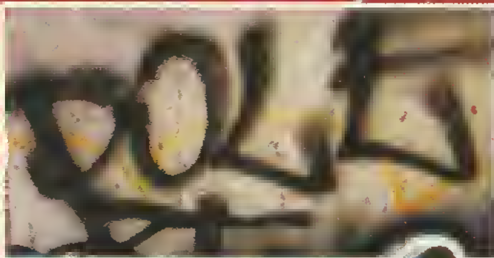


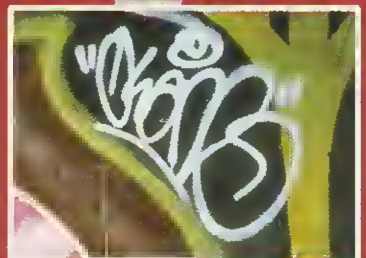




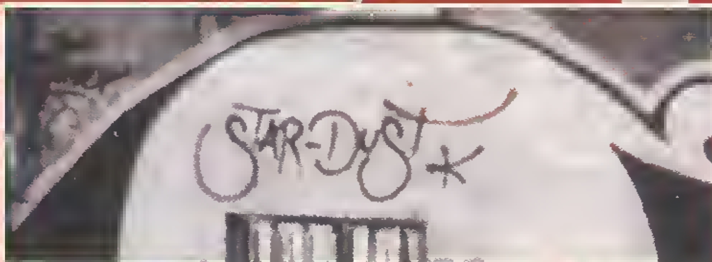










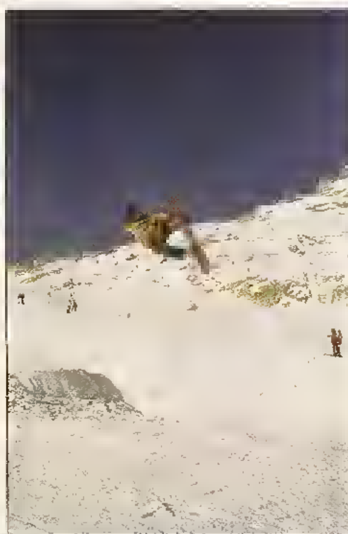
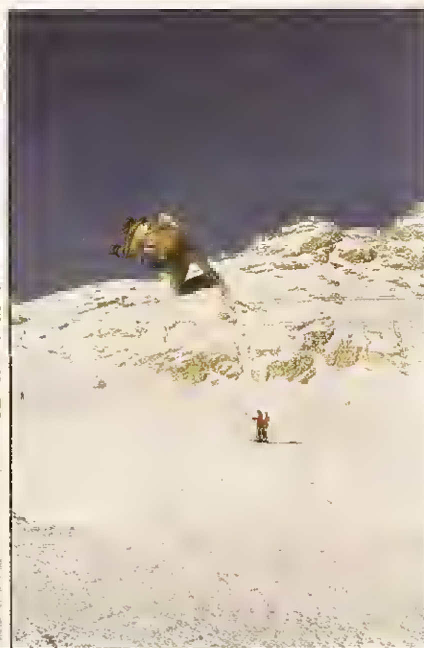




trick miesiąca

Robert Malczewski / rodeo 720
foto Yarrek.com










total chaos

toy story
czyli o społeczniakach słów kilka...

Pierwsze wrażenie po usłyszeniu słowa społeczniak nie jest pozytywne. Zwykle w naszym społeczeństwie, do granic możliwości przesiąkniętym ełoziomalskim hip-hopem słowo to kojarzy się z donosicielami, konfidentami i im podobnymi. W co drugim kawałku rapowym jest wystawiona ogromna nagana dla społeczniaków, którzy, zamiast pilnować własnych interesów, wsadzają nos w cudze sprawy. Nie o takich jednak społeczniakach będzie dzisiaj mowa. Przedmiotem tego tekstu będą osoby, które robią coś, aby społeczeństwo (w tym przypadku skateboarding) mogło się lepiej rozwijać.

Generalnie w Polsce (a na pewno w Warszawie) jest tak, że jak ktoś wyskoczy z jakąś inicjatywą, to albo jest z góry wyśmiany, albo każdy jego znajomy robi wszystko, aby nie pomóc. Zastanówcie się, pewnie i wy nieraz byliście świadkami gaszenia zapału jakiegoś typa, który wyskoczył z propozycją przebudowy jakiejś miejscówki. Niestety, w naszym pięknym kraju liczy się to, aby się nie wychylać i być jednym z członków szarego tłumu. Niezbyt dobrze są przyjmowane jakiekolwiek próby wydostania się z niego.

Pamiętam nieraz widok drwiących uśmieszków, gdy ktoś wyskakuje z pomysłem posprzątania miejscówki ze śmieci („przecież od tego są sprzątacze") albo dorobienia kątownika do murku. Spójrzcie, co dzieje się na spotach za granicą, praktycznie w każdym roku przybywają na nich nowe elementy. Wystarczy, że ogląda się regularnie skate videos, albo bywa się np. co roku w Pradze – cały czas jest tam coś nowego, czy to nowe wybicie, czy murek wspólnie zrobiony. Nam się po prostu nie chce tego robić. Poza tym, jak wiadomo, największą naszą wadą narodową jest kłótliwość, więc nigdy nie dojdziemy do porozumienia. Ten się nie lubi z tym, to miasto nie lubi innego. Przecież tylko w Polsce możliwa jest taka akcja, że jak wychodzi jakiś długo oczekiwany film, to zamiast gratulować skaterom trików, narzeka się, że w produkcji tej nie występuje ktoś z rodzimego miasta. To ogromny wstyd, że przez tyle lat istnienia skateboardingu w Polsce (15 – 16 lat) nadal jesteśmy zaściankiem Europy. A o tym, że może być inaczej, przekonują nas południowi sąsiedzi, którzy zaczynali przecież w tym samym czasie co my. Przez ten czas doczekali się wielkiej, cyklicznej imprezy, wizyt najlepszych i zajebistych własnych riderów.

Dlatego cieszy mnie bardzo fakt, że i w naszym kraju ostatnio coś zaczyna się ruszać. Musiało minąć tyle czasu, żeby niektórzy ludzie zrozumieli, że tak naprawdę najbardziej w tym wszystkim liczy się skateboarding, a nie podziały i kłótnie. W ostatnich latach na szczęście pojawiło się kilka osób, które chcą połączyć naszą, jakże skłóconą, scenę. Szacunek dla nich wielki, bo działają na wyjątkowo nieprzychylnym gruncie. Było co prawda wcześniej już kilku takich aktywistów, jednak oni albo bardzo szybko się zniechęcali, albo po zarobieniu kilkuset złotych kończyli z tematem.

Można powiedzieć, że w tej chwili działa w Polsce kilka osób naprawdę oddanych sprawie. Nie będę oczywiście wymieniał ich nazwisk, bo ktoś mógłby poczuć się urażony, że go nie wymieniłem i miejmy nadzieję, że powolutku pomogą oni rodzimemu skateboardingowi rozwinąć skrzydła.

Ważne jest tylko to, aby zmieniło się odbieranie przez resztę tych społeczniaków. Najtrudniejsze zadanie to, niestety, przekonanie skaterów o słuszności takich inicjatyw, że czasem warto poświęcić się i zamiast cały dzień jeździć, pospawać raile itp. Nikt przecież tego za nas nie zrobi, jeżeli pojawi się jakaś duża firma z kasą, to też wybuduje skatepark nie z zajawki, tylko mając w tym interes. Tak naprawdę, żeby polska deskorolka ruszyła do przodu, potrzebnych jest paru „deskorolkowych społeczniaków", którzy będą się starać o skateparki i stać w kolejkach z petycjami. To, że jeździ się tylko po szkole z grupą kolegów, już nie wystarczy. Trzeba po prostu wziąć się za robotę...

tOi Oi

newsy

◆ Chociaż trwa zima to szefowie firm deskorolkowych przygotowują się do lata i zasilają swoje teamy nowymi graczami. Marcin Kurzawa z Gdyni zamienił dotychczasowego sponsora Syndrom na Pogo, natomiast Łukasz Kondraczyk stał się nowym gościem w R Pure Denim.

◆ Jeżeli podobają się wam fotografie w naszym piśmie, to koniecznie powinniście sprawdzić stronę naszego pana fotografa, Wojciecha Antonowa – www.wzrr.pl.

◆ 8 stycznia na stoku Juliany odbyły się zawody big air. Oto wyniki:

1) Piotr Starowicz
2) Maciej Migacz
3) Michał Ligocki
4) Marcin Kordek
5) Tomek Tylka
6) Tomek Sąsiadek
7) Krzysztof Dubiel
8) Jakub Honcz

recenzje sk8

Cliche box set



To wspaniałe pudełeczko zawiera super prezent dla każdego deskorolkowego kolekcjonera. Zawiera on pakiet trzech filmów superzajawkowej firmy Cliche. Każdy z tych filmów był wielkim wydarzeniem na europejskiej arenie deskorolki, sami więc rozumiecie, że w potrójnej dawce filmy te po prostu miażdżą. Ani „Europa" ani „Bon apetit" nie zestarzały się ani trochę, szczególnie pierwszy film wygląda zajebiście w wersji dvd. Oprócz piękne wydanego boksu kolesie z Cliche postarali się o super dodatki, szczególnie te z „Freedom Fries" są zajebiste. Nie będę pisał nic o samych filmach, bo wszystkie recenzowałem już na łamach Ślizgu. Napiszę tylko jedną ciekawostkę. Podczas przejazdu Lucasa we Freedom Fries w pewnym momencie pojawia się obracająca się gwiazdka, należy wtedy przycisnąć „play" w odtwarzaczu dvd i nagle pokażą się nowe sekwencje Lucasa z inną muzyką – fajne prawda? tOi Oi

411#67



411 od jakiegoś czasu wydaje tzw. numery tematyczne. Tym razem w środku znajdziemy większość materiałów związanych z D.C. Główną postacią tego wydania jest Rob Dyrdek, który pokazuje jak wygląda jego dzień z życia, sami zobaczcie jak wyglądają 24 godziny pro skatera. Oprócz tego można zobaczyć, gdzie najczęściej jeździ Kerry Getz ze swoimi ziomami – m.in. Pete'em Eldridge'em i Kalisem. Na pewno jesteście ciekawi, jak wyglądają wielkie trasy D.C. 411 wyszło wam naprzeciw i zaprezentowało relację z wyjazdu tej firmy. Hot wheels to stosunkowo nowy dział, w którym przedstawiane są sylwetki młodych żbików skateboardingu. Devine Callaway, Fabian Gossin i Jeremy Reeves to są ci młodzi panowie, warto sprawdzić, jakie triki robią.

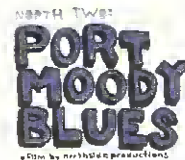
Jakby to powiedzieli moi koledzy, film ten jest „na rapie", dokładnie nie wiem, co to znaczy, ale skoro tak mówi Gutek, widać tak musi być. Wydaje mi się, że na tym zaważyła obecność Josha Kalisa, który robi sw. heelflip przez barierkę z tzw. „Fali" w Barcelonie. pc skate

88 „Destroy everything now"



Hard core i old school – tak najłatwiej scharakteryzować ten film. Jest on kierowany do tych skaterów, którzy lubią adrenalinę i szalone miejscówki. Team 88 jest bardzo dobrze dobrany, ciekawostką jest, że są w nim aż trzy pokolenia skateboardingu. Pierwsze i najstarsze reprezentuje Neil Blender – deskorolkowiec i artysta z lat osiemdziesiątych, choć jeszcze teraz Neil potrafi to i owo w poolu. Drugie pokolenie to grupa znanych i szanowanych skaterów, którzy działają już jakiś czas w scenie – są to min. Svitak, który jak zwykle katuje wszystko swoimi heelflipami, Strubing, który jak wiadomo uwielbia naturalne banki i wybicia, J. T. Aultz, który jest strasznym harpaganem i Peter Hewitt, który śmiga po basenach jak w amoku. Najmłodszym pokoleniem są współczesne nam dzieci – killerzy, którzy chcą wreszcie udowodnić, że można się zabić na deskorolce. To oni robią największe poręcze i schody, taki np. Corey Duffel po prostu przegina, a tym którzy śmieją się z jego ubrań, radzę najpierw spojrzeć, jakie triki on robi.... tOi Oi

North 2 Port Moody Blues



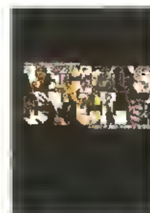
To, że Kanadyjczycy dobrze jeżdżą i umieją robić dobre filmy, przekonali nas nie raz. Druga część filmu „North" tylko potwierdza tę tezę. Video jest bardzo fajne, a przede wszystkim po obejrzeniu go aż chce się wyjść na deskę, ta produkcja to czysta zajawa. Na szczęście nie jest zrobiony w modnym ostatnio stylu typu „wielka produkcja z mega trikami". W tym przypadku twórcy postawili mocno na klimat i na wygląd dzieła. Wszystko jest ze sobą bardzo spójne i pasujące do siebie, nie ma żadnych przypadków. Występują w nim głównie nieznani skaterzy (którzy zasługują, aby być znanymi), ale też zdarzają się perełkowe przejazdy w rodzaju Tony Fergusona, Paula Machnau czy Russela Milliana. Ten ostatni jest prawdziwym szelem filmu, wszystkie triki robi na pełnym luzie niezależnie, czy jest to nollie, fakie czy zwyczajnie. Z gromady amatorów jeżdżących na tym filmie zapamiętałem najbardziej Aarona Johnsona, ale każdy z was znajdzie pewnie swojego faworyta, bo jest w kim wybierać. Film obowiązkowy do obejrzenia! tOi Oi

Puzzle 25



Europejski magazyn video Puzzle dokonał rewolucyjnej zmiany – jest teraz za free i można go ściągać z oficjalnej strony. Sam produkt pozostał taki jak dawniej, czyli nadal jest najlepszym magazynem Starego Kontynentu. Pierwsze z darmowych wydań oferuje nam jak zwykle skateboarding na najwyższym poziomie. W dziale „jumble" koniecznie zwróćcie uwagę na ostatniego zioma – Marcosa Lapiebendere. Pod tym niemożliwym do wymówienia nazwiskiem kryje się maszynka trikowa – sami sprawdźcie. Dla wielbicieli „Holla zajawki na rapie" mamy tour Mekanism, w którym popisują się m.in. Luy Pa Sin i Barratiero. Solidna porcja sztuczek na switch. Dla lubiących contesty twórcy Puzzle przygotowali przegląd z najważniejszych imprez końca zeszłego roku – zawody we Włoszech, Pradze i Bazylei. Szczególnie te dwa ostatnie zasługują na uwagę, po tym mamy tour Quiksilvera, który niestety nie jest najmocniejszym punktem magazynu - przeważają ujęcia ze skateparków. Nic dziwnego w sumie, przecież jeżdżą tam prawdziwi „contest skaters". Na koniec, jak to zwykle w Puzzle bywa, mamy przejazd jednego kolesia. Tym razem jest to Tom van Berkel z Holandii, który jest harpaganem nie lada. Atakuje wszystko, co się da, jest bardzo wszechstronny. Polecam ten magazyn zwłaszcza, że jest on za darmo. tOi Oi

Vicious Cycle



Od kilku lat Zoo York zasypuje nas niemalże kilkoma filmami rocznie. Dziwne jest to, że z reguły nie są to oficjalne produkcje firmy, tylko tzw. niezależne produkcje wydawane przez Zoo. Za ten projekt odpowiedzialny jest najbardziej zapracowany kamerzysta ze wschodniego wybrzeża, czyli R.B. Umali (od dawna związany z Zoo York) i killer wszelkich miejscówek, Zered Basset. Oczywiście film został nagrany głównie w Nowym Jorku i okolicach i występują w nim skaterzy właśnie stamtąd. Każdy z nich bardzo przyłożył się do swojego przejazdu, nie ma tam słabych akcji. Nawet Harold Hunter wspiął sie na wyżyny swoich umiejętności i zrobił parę trudnych trików. Najlepszy przejazd pod względem trików ma zdecydowanie Zered Basset, który, jak wiadomo, jest cyborgiem i jest w stanie zrobić na deskorolce wszystko, co chce. Na początku przejazdu niszczy jedną poręcz robiąc na niej każdy możliwy trik. Najbardziej jednak podobały mi się przejazdy Briana Browna i Lourkera Lou. Mimo że nie robili aż takich sztuczek jak Zered, to dużo przyjemniej oglądało mi się ich jazdę.

Właściwie to cały film jest bardzo dobry, a w dodatku występują w nim starzy skaterzy z Zoo York: Vinnie Ponte, Jeff Pang i Harold. Polecam go każdemu. tOi Oi

Special Delivery - Rastafaride4



SD jest filmem z wytwórni WW Films prezentującym rosnące w siłę narciarstwo freestyle'owe, zwane też newschoolowym. Dlaczego jest to „nowa szkoła"? Dlatego, że chłopaki nie jeżdżą slalomów między tyczkiami, nie skaczą ze szpagatami, tylko dają z siebie wszystko kręcąc rotacje, salta, corki i trzymając maksymalnie wyciągnięte graby. Dają na swoich nartach po poręczach i niszczą miejskie murki – to jest newschool. Kto występuje w filmie? Sprawdźcie sekcje takich zawodników jak Shoya Okazaki, Gigi Coletti, Baptiste Collomb-Patton. Nie można nie wspomnieć o mistrzach tej dyscypliny, jak Tanner Hall (najlepsza jib sekcja tego filmu) i Candide Thovex (sprawdźcie wejście 810 cork na rail!!!), który oprócz tego ma wstawki deskorolkowe z mini rampy, których nie powstydziłby się żaden skateboarder. Poza freeskierami na filmie pojawiają się zaprzyjaźnieni z nimi snowboarderzy, między innymi Mathieu Crepel i kilku innych. Film jest zmontowany fajnie, jedyne, co zwróciło moją uwagę jest to, że prawie cały materiał nagrywany był w europejskich snowparkach (Les2Alpes, Masso Corto itp.). Wolałbym bardziej oglądać miejscówki off-piste i miejskie. Plusem za to jest soundtrack – w całości reagge-dancehall (dlatego film ma podtytuł Rastafaride) – a płynąca z niego energia od razu powoduje rosnące ciśnienie na jazdę. PS. Nie zapomnijcie o obejrzeniu dodatków! narciarzyk

Adrenaline Hunters – Style Seekers



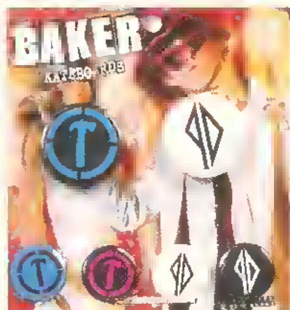
Narciarze i snowboarderzy łączcie się – takie ma być przesłanie tego filmu? Dla mnie może być. Na pierwszy ogień idą freestyle'owcy na nartkach. W tej sekcji występują między innymi: CR Johnson, Simon Dumont, Peter Olenick, Candide Thovex i wielu, wielu innych. Dużym minusem jest to, że w przejazdach rajderów wykorzystano ujęcia, które już wcześniej można było zobaczyć w innych filmach. Trochę jest jednak świeżego materiału, jak choćby w sekcji Vincenta Doriona, gdzie ten kręci się na fajnie wyprofilowanej przeszkodzie. Ładnie to wygląda. Poza tym wszystkie akcje filmowane z helikoptera warte są obejrzenia.

Dalej w filmie jest miejsce na narciarzy freeride'owców. To szaleńcy wykonujący zjazdy z pionowych, pełnych skał stoków, na przysłowiowej „pełnej kurwie". Dodajmy do tego 50-metrowe skoki ze skał w puch i jazda dalej. To jest hard core!

Na końcu pojawiają się snowboarderzy. David Benedek, Wolle Nyvelt i inni zajarani swoją śnieżną zajawką bawią się na deskach jak dzieci, wszystko wychodzi im lekko i łatwo, aż przyjemnie popatrzeć.

Przyjemność oglądania psuje jednak muzyka, która jest syntetycznym tworem, coś pomiędzy trip-hopem i drum'n'bassem – na dłuższą metę jest męcząca. narciarzyk

gadżety



Któż z nas nie lubi kolorowych znaczków? Pamiętam, jak tonami zwoziłem tego typu rzeczy z różnych wakacji. Miałem znaczki z Limahlem, Sabriną i Samanthą Fox. Teraz można się zaopatrzyć w podobne ozdóbki, tylko zamiast gwiazdy będzie tam logo deskorolkowej firmy.



















total chaos

footbag
batalion zośka



Zośka to ostatnio w Polsce dosyć popularny temat, z powrotem gra się w nią wszędzie - w szkole na boisku itp. Wraz z popularnością tego sportu powstaje coraz więcej ekip zajmujących się tym zajęciem. Jedną z nich jest Batalion Zośka, grupa kolegów z warszawskiego Gocławia. Istnieją już ładnych kilka lat i cały czas szlifowali swoje umiejętności i występowali na wielu imprezach. Na pewno o tym zaraz opowiedzą...

rozmawiał tOi Oi
foto Wojtek Antonów / WZRR

Powiedzcie kilka słów na temat waszej ekipy. Kto jest w składzie, kiedy powstała?
Założycielami Batalionu Zośka są: Michaś, Dzida i Karol. W naszym klubie, który mamy zarejestrowany na stronie www.footbag.org, czyli International Footbag Players Assosiation, gra ośmiu kolesi. Nazwa powstała około trzech lat temu podczas zawodów w warszawskiej Galerii Off – musieliśmy się po prostu jakoś nazwać. Rosa, nasz ziomek, podsunął pomysł, spodobało się, i wyszło właśnie tak... Wszystko zaczęło się około dziesięciu lat temu. Jako gówniarze graliśmy w zośkę, najpierw kopaliśmy zwykłą puszkę, później pojawiły się w sklepach takie gumowe „jeżyki", ale to wszystko opierało się na podaniach, a nie na trikach. Od trzech lat gramy w footbag.

Czym się różni footbag od „zośki"?
Footbag to jest sport, gra się samemu, ale nie tylko, jest wiele dziedzin, wykonuje się najbardziej skomplikowane ewolucje – tak jak na deskorolce czy snowboardzie. A „zośka" to jest zajęcie naszych rodziców – kawałek włóczki z ołowiem, który się podaje między sobą. W footbagu są już zasady, zawody, mistrzostwa, nawet mistrzostwa świata, treningi i odpowiednie buty...

Właśnie, opowiedzcie jak wyglądają buty do footbagu?
Jest jeden model buta, w którym grają wszyscy reprezentanci tego sportu. Jest to pro model, grającego w squash Roda Lavera, firmy Adidas. Wyglądają one i są jak typowe trampki z lat siedemdziesiątych, tylko że mają szeroki przód. Buty te trzeba jeszcze odpowiednio podtuningować, żeby były jeszcze szersze i lepiej się w nich grało. Oczywiście można śmigać w normalnych butach - bo Rody są bardzo trudne do zdobycia - ale trudniej się w nich gra.

Od kiedy istnieje footbag jako zajawka?
Powstało to w latach siedemdziesiątych. Kontuzjowani sportowcy, którzy nie mogli uprawiać swoich dyscyplin wymyślili sobie, że w trakcie leczenia, żeby zbytnio się nie storsować, a zachować kondycję fizyczną, można podbijać skarpetę wypełnioną grochem. Nazywało się to hacky sack. Większy rozwój nastąpił w latach osiemdziesiątych, w Stanach oczywiście, wtedy zaczęto produkować sprzęt do grania, do Europy zajawka przywędrowała pod koniec lat osiemdziesiątych, a do Polski w latach dziewięćdziesiątych.

Gdzie footbag jest najbardziej popularny?
W Czechach, stamtąd pochodzi trzykrotny mistrz świata i kumpel Batalionu, oprócz tego to w Danii, Finlandii, Francji, Niemczech no i USA. Tylko że Europa i Stany stanowią oddzielne grupy – nie zintegrowane tak bardzo. Na zawody do Europy nie przyjeżdżają raczej Amerykanie i vice versa. Spowodowane jest to oczywiście kosztami, nie ma kasy na takie podróże.

Jak wygląda scena w Polsce?
Podobno Polska jest najszybciej rozwijającym się państwem, jeśli chodzi o footbag. Mamy około stu profesjonalnych graczy, na większe zawody przyjeżdża około pięćdziesięciu startujących. W ciągu jednego roku najwięcej powstało klubów footbagowych i pojawiło nowych zawodników. Dwa lata temu były trzy – cztery kluby, a teraz 36. Najlepsze ośrodki w Polsce to Wrocław, Szczecin, Warszawa, no i Strzelin. Na początku było tak, że Wrocław wiódł prym. bo tam footbag zawitał wcześniej, dwa lata temu zostali oni zdetronizowani i w chwili obecnej nie można powiedzieć, że w jakimś mieście jest najwyższy poziom. Wszędzie jest jakiś zajebisty zawodnik. Praktycznie co miesiąc organizowane są kontesty. Największymi imprezami są Zocha Jam we Wrocławiu, mistrzostwa Polski, które nie mają stałego miejsca i Remont w Warszawie.

Jak wyglądają zawody?
Każdy zawodnik ma do dyspozycji dwie minuty i, tak jak w deskorolce, w tym czasie musi pokazać, na co go stać, czyli jak najbardziej łączyć kombinacje i tricki i wykorzystywać wszystkie strony dookoła na wyrzucanie i łapanie zochy. Jest dużo czynników wpływających na ocenę – technika, różnorodność, addy i ilość dropów (czyli upadków). Oprócz tego jest gra przez siatkę, w której liczone są tylko uderzenia od kolana w dół. Mistrzem Europy jest Polak – koleś od nas z osiedla. Pozdrówka Samba!

Co sądzicie o zawodach w footbagu, czy odzwierciedlają prawdziwy poziom gry?
Wiadomo, że zawody rządzą się swoimi prawami, nam zdecydowanie lepiej wychodzi na treningach. Potrafimy wygrywać za to inne imprezy – towarzyszące zawodom – np. picie piwa na czas – rekord 10.18 s. Wiadomo, że traktujemy footbag jako sport, ale oprócz tego zawsze jest to zabawa, nasze ukochane hobby. Mamy do tego podejście czysto melanżowo – towarzyskie. Są oczywiście ludzie, którzy mają do tego zupełnie inne podejście (Gobol i reszta internetowych twardzieli), nam chodzi głównie o zabawę... Dla nas prawdziwy footbagowiec jest zmelanżowany, ale mimo tego zawsze wygrywa (patrz Batalion). Poza tym nie ma co się wczuwać w jakieś wyrzeczenia, maseczki do twarzy, hormony, Ben-gay, Miriam, dilda, diety, bo i tak z tego się nie wyżyje.

Nawet prosi?
Profesjonaliści nie dostają wielkich pieniędzy, są co prawda często zapraszani na różne imprezy na całym świecie, ale na dłuższą metę nie ma z tego kasy.

A wy, zdaje się, wystąpiliście w dużej telewizyjnej reklamie?
Tak, to prawda. Dzięki temu „zośka" została pokazana w telewizji na całym świecie. Nawet dostaliśmy maila od kolesia z Baden Baden, że widział nas w telewizji lokalnej i był w szoku, że można robić takie triki w normalnych butach (nie mieliśmy jeszcze Rodów). To, że pokazano footbag w telewizji, było czymś dziwnym i jednocześnie zajebistym na skalę światową. W żadnym innym kraju, mimo że tam sport ten jest bardziej rozwinięty, coś takiego nie miało miejsca.

Czy jesteście zapraszani na jakieś imprezy niezwiązane z footbagiem?
Tak, non toper jesteśmy wszędzie i zawsze tam, gdzie dzieje się coś footbagowego, jesteśmy turystami kolędującymi – byliśmy na różnych pokazach np. Philipsa, Axe, Simplusa, Mc Donalds, Cortoz, Kamuflage, Mountain Dew, Dupówka tour! Czasem występujemy na koncertach hiphopowych. Jesteśmy wszędzie tam, gdzie ktoś nas zaprosi. Raz byliśmy na urodzinach dziesięciolatka, wyobraź sobie, że jego rodzice wynajęli sprzęt sceniczny za grubą kasę, nam zapłacili za pokaz, nażarliśmy się, najaraliśmy i wróciliśmy do domu. To było śmieszne. Najlepszy był jednak tour z Simplusem. To były trzy miesiące, weekend w weekend ciągłego melanżu. Jeździliśmy po całej Polsce razem z reprezentantami sportów ekstremalnych, propagowaliśmy footbag i luźny styl życia! Bo umówmy się, np. na Śląsku jest szaro!

Jakie jest najpopularniejsze medium footbagu, są jakieś pisma czy strony internetowe?
Najważniejszą stroną jest www.footbag.org. Site ten zrzesza kluby z całego świata. Jeżeli ktoś chce założyć jakiś klub footbagowy, to tam go „rejestruje". Ludzie tam przysyłają zdjęcia i filmiki. Każdy admin swojego klubu ma do dyspozycji odpowiednią ilość wirtualnego miejsca na foty i video. W Polsce najpopularniejszą stroną jest www.footbag.com.pl. Tam jest najpopularniejsze forum w Polsce, gdzie można wymieniać się doświadczeniami.

Jak wyglądają filmy footbagowe?
Przypominają trochę deskorolkowe. Nagrywa się triki i montuje do jakiejś muzyki. Najlepszym filmem w tej chwili jest chyba „Budabest" z Budapesztu. Odbywały się tam Mistrzostwa Europy i materiał pochodzi zarówno z tej imprezy jak i z innych akcji – np. gra w foursquare. Innym filmem, który moglibyśmy polecić jest „Fourcast" – maksymalny mistrz z zajebistą muzyką.

Macie swoich ulubionych footbagowców, takich, którymi się inspirujecie?
Tak, są nimi na pewno Vasek Klouda i Jan Struz. Większość z zagranicznych graczy poznaliśmy osobiście na różnych imprezach, głównie w Czechach, bo tam są największe wysmaże, jeżeli chodzi o footbag. Szczególnie zaprzyjaźniliśmy się z Czechami, którzy nas odwiedzają w Warszawie, a my ich w Pradze. Lubimy sobie z nimi przymelanżować, to są prawdziwi gra-

na zdjęciu Batalion Zośka FC
od lewej Dzida, Szynka i PM



cze i chwieje! W tej chwili organizujemy trzecie już zawody z serii „Remont" w skateparku Blue City, 18-19 lutego, przyjadą Czesi z Vaskiem (mistrzem świata) na czele. Będą koncerty – będzie Doniu, Liber i Mandaryna (śmiech).

Czy są jakieś firmy, które sponsorują footbag?

Jest tylko jedna firma ściśle związana z footbagiem, Three Free Trees, a oprócz tego wspierają naszą zajawkę takie firmy jak Kamutlage (dzięki Marcin, CZETU ZROBI CI MASAŻ!), Cortoz, Fokuz, OCB, a także Lacosta, Pierre Cardin, Ralph Lauren.

Powiedzcie coś o trikach.

Praktycznie cały czas powstają jakieś nowe. Generalnie ewolucje dzielą się w zależności od poziomu trudności – na jedno, dwu, trzy (i tak do ośmiu) addowe. To, ile addów ma trik, zależy w zasadzie od sposobu złapania footbagu, ilości deksów (czyli obrotów nogi wokół „zośki"). Im większy combos, tym więcej addów.

Jakie byście dali rady tym, którzy chcieliby zacząć grę w footbag. Co mają zrobić?

Najlepiej, żeby przyjechali do nas na osiedle Gocław na trening. Kiedy jest ciepło, trenujemy codziennie na boisku, a w zimie dzięki klubowi Ikar na ulicy Guderskiego (łatwo znaleźć, pytać społków!), oczywiście na Gocławiu, mamy do dyspozycji salę. Trzeba też dodać, że footbag jest mimo wszystko bardzo trudny i wiele osób się szybko do niego zraża. Z „zośką" jest jak z deską, też trzeba poświęcić kilka lat, żeby cokolwiek robić. Trzeba mieć bardzo dużo cierpliwości. Przez pierwsze pół roku nigdy nic nie wychodzi, bolą tylko nogi i cały czas jest drop („zośka" upada na ziemię, koledzy się śmieją...). Ale tak jest do pierwszej zrobionej sztuczki, później to jest jak narkotyk.

Pozdrowienia:

Gobolek, cała footbagowa Warszawa i Wrocław, Smart Legs F.C., Targówek Footbag Club, wszystkie soczyste brzoskwinki.

SZYNKA pozdrawia: Mamę, Siorę, G. O. S, Panią Bożenkę, Sabrinkę, Kaśkę Cygankę, THS KLIK KLIK KLIKę, całą polonię na Green Poincie, Mundka, Jano, Turystę, oraz wszystkie soczyste brzoskwinki.

Olka ty szmato!

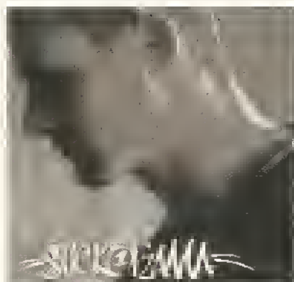
RAFAŁ pozdrawia: Mamę Hanię, sąsiadkę Justysię, Waha starego prawilniaka! THS, G. O. S H. W. D. P., RTB itp., cały światek footbagowy, zaprzyjaźnionych kontrolerów PKP.

PAWEŁ pozdrawia: Starych, wszystkich footbagowcow, gocławskich zipów, wszystkie moje byłe dziewczyny (odzywajta się, no!!!), tych wszystkich, z którymi grałem, melanżowałem i się bawiłem!!!, netowców z Niskiego Budżety (grała jeszcze chłopaki?).

...i wiele innych osób o których zapomnieliśmy...

Skate & scratch
skaterzy – didżeje

Tematem przewodnim niniejszego numeru są didżeje. Piękne to zajęcie ma na pewno wielu przedstawicieli w naszym kraju. Bywają didżeje hiphopowi, disco polo, jak i hiphopolo. Zamiłowanie do muzyki przejawiają również skaterzy, gdyż lubią sobie pojeździć przy jakichś dźwiękach. Poniżej możecie przeczytać sobie, co mają do powiedzenia najbardziej znani skaterzy – didżeje i możecie sobie obejrzeć ich w akcji na zdjęciach



PATRYK WRZOSEK – STICKORAMA

rozmawiał tOi Oi
foto Ania Błoda

Patryk Wrzosek znany jest chyba w każdym środowisku. Dziwne, ale tego kolesia zna lub słyszał o nim każdy, nie tylko skater, hiphopowiec czy fan drum'n'bassu. Po prostu wszędzie jest go pełno, jest prawdziwą duszą towarzystwa i niepoprawnym playboyem. Z wywiadu dowiecie się o największych wyprawach Patryka – skatera i Patryku didżeju drum'n'bass...

Jak to się stało, że zacząłeś wyjeżdżać za granicę na deskorolkę. Kto ci to umożliwił?
Właścicielem Lo Down był wtedy Polak z pochodzenia Maciek Fabisiewicz, zwany Marleyem. Chciał kogoś sponsorować z naszego kraju i przez wspólnego kolegę umówili się ze mną i przyjechali do Polski zobaczyć, jak jeżdżę. Dzięki temu moim sponsorem został Adidas. Po okresie półtora roku cały team przeszedł do Vansa. Znalazłem się w ekipie m.in. razem z Sami Harilhi, Mehmetem Aydinem, Jeremy Daclinem, Markusem Jurgensenem. Ponieważ kilku z nich mieszkało wtedy w Berlinie często ich tam odwiedzałem. Jeździłem wtedy chyba więcej tam niż w Warszawie. Przywoziłem im polską wódkę i kiełbasę. Byli tym na maksa zajarani, nauczyłem ich pić wódkę.
Czy brałeś udział w wyjazdach z teamem Vans?
Dzięki nim byłem np. w Stanach, gdzie wysłali mnie na miesiąc razem z Markusem Jurgensenem. Była wtedy zima, więc byłem na maksa zajarany możliwością jazdy, gdy u nas był śnieg. Polecieliśmy do Kalifornii do Huntington Beach i naszym jedynym zadaniem był skateboarding. Gościem, który oprowadzał nas po miejscówkach, był Omar Hassan, o którym nie miałem najlepszego zdania, ale okazał się zajebistym gościem. Niezła była akcja, bo zaraz po przylocie pojechaliśmy na oficjalne poznanie głównego szefa Vansa, który okazał się synem typa, który założył tę firmę. Poznaliśmy tam też innych teamriderów, wszystko było załatwiane profesjonalnie. Jak pokazywali nam miejscówki, to byłem w szoku. Najdziwniejsze jest w tym to, że nam się wydaje, że te miejsca z filmów są wszystkie blisko siebie. A prawda jest taka, że musieliśmy jeździć całe dnie samochodem z jednego spotu do drugiego. Faktycznie jest ich tam strasznie dużo, ale są porozrzucane po całej ogromnej Kalifornii. Dlatego najczęściej jeździłem w skateparku w Huntington Beach, to jest taki betonowy park, który często pojawia się w filmach. Zaraz obok był komisariat policji, przy którym stała ogromna poręcz, przez którą skakał Tom Penny na reklamie Etniesa. Kiedy podeszliśmy do niej, okazało się, że jest przerażająco wielka. Okazało się, że prosi jeżdżą tak na co dzień, nie tylko jak kręcą video. Normalnie bez kamery chodzi się tam robić triki na hand railach. Kiedy jeździliśmy z nimi wszystko wydawało się możliwe i czułem, że mogę robić to, co oni. Bardzo motywowała mnie możliwość jazdy z lepszymi kolesiami, a poza tym czułem presję, że mnie obserwują – kolesia z Europy, nie można było robić chujowych trików...
Pamiętasz jakąś śmieszną akcję z tego wyjazdu?
No pewnie, było ich kilka. Jedna, choć w sumie nie była za wesoła, była taka: siedzieliśmy z Markusem na parkingu sklepowym zmęczeni po desce i piliśmy piwo. Nagle zajechał van i otworzyły się jego drzwi. Ze środka, jak w komedii amerykańskiej albo teledysku Cypress Hill, wyskakuje ekipa Portorykańców w bandanach i wieśniackich szerokich spodniach typu Lenar z łańcuszkami z boku, uzbrojonych w kastety. Jeden z nich do nas: „Give me your boards, mutherfuckers". My od razu w nogi, Markus się potknął i wypadła mu deska i mu zajebali, nówka sztuka była. A oni jak odjeżdżali to pokazywali nam „fucki" przez okno – „gangsterzy". Teraz się z tego śmieję, ale wtedy nie za bardzo.
Powiedz coś o tourze Vansa po Europie.
Drugim wyjazdem z Vansem, jaki najmilej wspominam, to tour po Europie. Trwał on miesiąc i był na niej cały team europejski i kilku prosów ze Stanów. Przejechaliśmy całą zachodnią Europę (byliśmy m.in. w Anglii, w Holandii, we Francji, w Hiszpanii, w Czechach) ogromnym autokarem z łóżkami (gdzie spaliśmy) i ośmioma telewizorami. Cały czas trwała impreza i czasem budziłem się i nie wiedziałem, gdzie jestem. Np. w Zurychu trafiliśmy na paradę gejów, budzę się i patrzę, że po mieście zasuwają geje na waleta albo jakoś dziwnie poprzebierani.

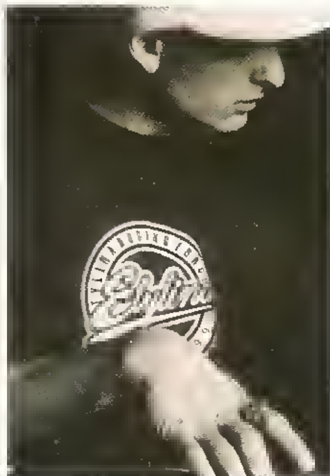


croocked grind / Blue City
foto Wojtek Antonów / WZRR

Jak wyglądały twoje początki jako didżeja?
Na początku grałem hip-hop. Dzięki temu, że byłem sponsorowany jako skater, często wybierałem się pojeździć do Berlina. Mogłem tam kupować płyty, których nie było wtedy w Polsce. Pierwszym, u którego zobaczyłem płyty drum'n'bass, był Perez. Bardzo dawno temu, w roku 1996, były imprezy hiphopowe w Blue Velvet, na których grałem, po moim secie wchodził Perez. Od razu spodobała mi się ta muzyka, lubię takie połamane rytmy, grałem przecież kiedyś na perkusji w zespole punkowym. I tak powoli zacząłem kolekcjonować płyty drum'n'bass. Po jakimś czasie razem z Perezem, Motylem i dj Sesisem założyliśmy grupę didżejską DSC – Dark Smile Crew. Crew istniało pod koniec lat dziewięćdziesiątych, wspólnie graliśmy imprezy w całej Polsce. Do wielu miejsc, gdzie graliśmy wtedy, lubię cały czas jeździć i występować na balangach.
Na czym polega różnica między graniem drum'n'bassu a hip-hopu?
W drum'n'bassie dla mnie najważniejsze jest zebranie kawałków w jedną całość, aby umiejętnie budować atmosferę seta, ważne jest to, jak kawałki się ze sobą łączą, natomiast w hip-hopie ważne są też takie rzeczy, jak skreczowanie, triki itp.
Jak wygląda scena drum'n'bass w Polsce?
Scena ta dopiero się rozwija, ale można powiedzieć, że jest już duża. Być może nie widać tego w Warszawie, bo u nas dominuje muzyka hiphopowa lub house, w innych miastach jest inaczej. Najwięcej zaangażowanych w to ludzi jest w Łodzi. Niestety, w rozwoju sceny przeszkadzają czasem dziwne posunięcia organizatorów imprez.
Gdzie najczęściej grasz?
Na terenie całej Polski, w każdym większym mieście. Najczęściej grałem w CDQ w Warszawie, gdzie przez 3 lata organizowałem swoje imprezy. Marley z Lo Down, oprócz skateboardingu, pomógł mi w rozwoju jako dj. Udało mi się zagrać w Berlinie przed Ed Rushem.
Powiedz o audycji w Radiostacji.
Jeszcze jak Radiostacja nie była wykupiona i była fajnym radiem, mieliśmy własną audycję. Na początku gospodarzem audycji był tylko Perez, a reszta naszej ekipy (Dark Smile Crew) była częstymi gośćmi. Później przekształciło się to w naszą wspólną audycję z Perezem. Była ona nadawana od dwunastej w nocy do trzeciej. Zajebiście wspominam tamten czas, gadaliśmy głupoty, miksowaliśmy muzykę, była to dla nas normalna balanga – ludziom się to chyba podobało. Niestety, po zmianie kierownictwa i odejściu Pawła Sito z Radiostacji, nowy dyrektor programowy usunął naszą audycję. Perez jeszcze trochę tam popracował, bo dostał godzinę w ciągu dnia, ale i jego szybko się pozbyli, stwierdzili, że nie ma miejsca w radiostacji dla drum'n'bassu.
Dlaczego miałeś tak długą przerwę w jeździe?
Miałem bardzo poważną kontuzję kolana. Kiedyś, jak mi się coś stało, to albo nie chodziłem do lekarza, albo od razu zdejmowałem sobie gips, teraz to wszystko wychodzi. Moje kolano do tej pory nie jest zdrowe. Pewnego dnia zadzwonił do mnie Marcin, że budują skatepark i czy bym się w to nie zaangażował. Odpowiedziałem, że bardzo chętnie pomogę i zacząłem się opiekować parkiem. Jeżdżę teraz znowu bardzo często i sprawia mi to dalej frajdę. Chciałbym podziękować moim sponsorom – Kamuflage, Izm i Fokuz.

FILIP DUDZIAK – DJ CENT

rozmawiał tOi Oi
foto Karolina Sadocha



Ci, którzy pamiętają pierwsze numery Info video, na pewno doskonale znają Filipa Dudziaka a.k.a. dj Cent. Był on jednym z filarów gdańskiej sceny skateboardingowej. W tej chwili jest szanowanym i lubianym didżejem hiphopowym, który osiągnął niemało w tej dziedzinie. Ma na koncie granie na imprezach razem z Cut Killerem, Cocoa Brovaz, Boss, NTM, McBlade&Dj First Rate. Brał udział w projektach: PCP, Deluks, Intoksynator, JWP, nagrywał skrecze na album Waco „Świeży materiał" i na album WNB. Sam natomiast nagrał mixtape – „Filip Beatz1". Pole jego działalności nie zawęża się do granic Polski, Filip był kilkakrotnie w Nowym Jorku, gdzie grał imprezy. A oto, co ma do opowiedzenia skater – didżej, Filip Dudziak...

Jakie były początki skateboardingu w Gdańsku?
Nie byłem w pierwszej ekipie – tzn. nie zaczynałem razem z nimi, ale można powiedzieć, że później do niej dołączyłem. Najbardziej oldschoolową brygadę tworzyli Skroban, Śliwka, Kamil Ortyl i Macias Makara, potem był jeszcze Ryba. Do nich później dołączyłem ja, można powiedzieć, że byłem ostatnim człowiekiem z tzw. „starej ekipy". W tamtym okresie, gdy zaczynałem jeździć, byliśmy jedynymi skaterami w Gdańsku, dopiero rok później zaczęli pojawiać się nowi. Jeździliśmy wtedy nad Motławą, która była główną miejscówką naszego miasta. W tej chwili nie da się już tam jeździć przez różnych handlarzy. Zajebistym spotem były Forty, niedaleko domu Maćka Makary. Była to bardzo kameralna, wręcz domowa miejscówka z uwagi na swoje rozmiary – można tam było zrobić góra dwa triki w sekwencji. Robiliśmy tam różne lounch rampy, podjazdy, mieliśmy też szynę. Trzecim najczęściej odwiedzanym przez nas miejscem był cmentarz żołnierzy radzieckich, tzn. nie jeździliśmy między grobami ani nic takiego, tylko w pobliżu cmentarza znajduje się ogromny marmurowy plac. To były właśnie główne miejscówki Trójmiasta...
Z deskorolką pierwszy raz zetknąłem się jeszcze za czasów magazynu „Juppi" i programu telewizyjnego „Sami o Sobie" (było to latach 1990-91), tylko że śmigałem wtedy na plastikowej desce Rollet. Nie wiedziałem, gdzie można wtedy było kupić prawdziwy sprzęt. Może to zabrzmi dziwnie dla niektórych młodszych ludzi, ale w tamtych czasach nie było nigdzie skateshopów. W roku chyba 1993 zainteresowałem się tym na poważnie, ale nadal nie było u nas miejsca, gdzie można było się zaopatrzyć w sprzęt. Kupiłem więc używanego, starego decka i Maciek wyciął mi z niego całkiem nowy kształt na wzór New Deala John Montesi. W pierwszym komplecie miałem dwa różne trucki i koła zmniejszone na tokarce – takie były czasy.... Bieda straszna ze sprzętem, dochodziło do takich sytuacji, że jak złamałeś king pina, to trzeba było jeździć do Warszawy po nowy. Wstawałem rano niby do szkoły, tylko że szedłem na pociąg do stolicy, tam oczywiście na Smolną do sklepu i z powrotem do Gdańska. Tak było – na wagary jeździłem po deski.
Pamiętasz jakieś śmieszne akcje z czasów jazdy na Motławie?
Tam było dużo różnych zajebistych akcji, ale te najlepsze były związane z tym, że ciągle wpadały deski do rzeki. Nigdy nie robiliśmy żadnych zabezpieczeń. Raz było tak, że kolesiowi leciała deska w stronę wody, on za nią skoczył. Deska odbiła się w ostatnim momencie od słupka, a on wpadł do rzeki. Inna akcja była taka (ale to nie było wcale przyjemne), że poszliśmy z Rybą na deskę i zastanawialiśmy się, czy nie warto by było zamontować jakiejś linki czy innej zapory, żeby nie tracić sprzętu. Przychodzimy nad Motławę, a tam siedzi na murku Skroban i trzyma się za twarz. Podchodzimy bliżej, a on nie ma dwóch jedynek. Okazało się, że deska mu wpadła do wody, on się za nią rzucił na szczupaka, już ją miał w ręku i nagle dostał łańcuchem w zęby.
Jak zetknąłeś się z hip-hopem?
Mój dziadek był marynarzem i dzięki niemu miałem dostęp do zagranicznej muzyki. Długo przed skateboardingiem wiedziałem, kim byli np. Beastie Boys, tak więc nie



5-0 / Motława
foto Kamil Ortyl

można powiedzieć, że dzięki deskorolce zetknąłem się z tym tematem. Od bardzo wczesnych lat bardzo ciągnęło mnie do muzyki. Słuchałem czego się dało, interesowałem się nowojorskim gitarowym hard core'em, rapem, lubiłem takie grupy jak Suicidal Tendencies. Dzięki muzyce odkryłem skateboarding – było to po usłyszeniu kawałka hardcore'owej kapeli Spermbirds „My god rides a skateboard". Mieliśmy wtedy nawet z Rybą i dwoma ziomałami zespół nazywający się No Name, każdy z nas jeździł na deskorolce. Ja grałem na perkusji, a nasze kawałki to było coś przypominającego hard core z elementami funky. Później naszła wśród naszej ekipy straszna zajawka na Zoo York. Jaraliśmy się jazdą uliczno – deskorolkowo – hiphopową. Założyliśmy crew DSC, które w tym roku będzie miało swoje dziesiąte urodziny. Ekipa powstała w czasie wakacji w Chałupach, a założycielami oprócz mnie byli Ryba i Bajdziak, a skrót znaczył Double S Crew. Podwójne „S" znaczyło skateboarding i spray. Zrzeszało ono ludzi jeżdżących na desce i malujących graffiti. Dużo malowaliśmy wtedy, szczególnie moi koledzy, natomiast ja szybko zdałem sobie sprawę, że nigdy nie będę dobrym writerem, zawsze bardziej interesowała mnie muzyka. Po dwóch latach istnienia crew dostałem wreszcie upragniony adapter Technicsa i tak się zaczęła przygoda z turntablismem.

Czyli w Gdańsku, podobnie jak w Warszawie, środowisko hiphopowe i skateboardingowe było właściwie tym samym?

Nie wiem, czy takie łączenie obu rzeczy jest do końca zdrowe. Jest tak, że dużo skaterów słucha rapu, ale dla mnie były to dwie różne rzeczy. Traktowałem deskorolkę jako sport, a muzyka była zupełnie inną zajawką.

Czy skateboarding wpłynął na sposób twojego didżejowania, czy jarasz się przez to bardziej trikami, niż samym graniem?

Myślę, że nie. Lubię każdy element turntablismu, lubię skreczować, lubię imprezy i lubię też sesje studyjne. Jaram się, jak mogę zagrać dla towarzystwa skateboardingowego, to jest bardzo fajne, bo wiem, jak do nich trafić. Mam dużo winyli z filmów skate'owych – np. De La Soul, Mobb Deep.

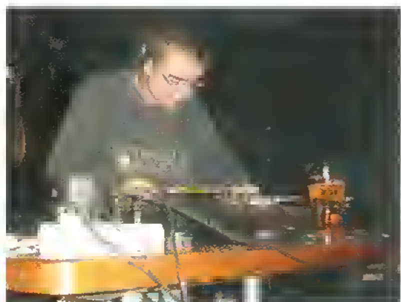
Czy można, według ciebie, być dobrym jednocześnie w obu rzeczach?

Jak zacząłem grać na gramofonach, cały czas jeździłem normalnie na desce. Później jednak coraz bardziej zaczęły wygrywać adaptery, a skateboard zaczął leżeć w kącie. Cały czas był gospodarowany pod gramofony, siedziałem przy deckach i skreczowałem, miksowałem i uczyłem się nowych patentów. Niestety coś musiało być kosztem czegoś, chciałem być jak najlepszym dj'em, więc odstawiłem skateboarding. Teraz nie wiem, czy było to słuszne, ale tak wyszło. Zawsze jednak starałem się deskorolkę wspierać. Jak tylko mogę, to chętnie gram imprezy dla skejcików (np. w Toruniu podczas MSS). A od jakiegoś czasu z powrotem zacząłem jeździć. Nie jest to już na taką skalę jak kiedyś, że siedziałem na miejscówie po dziesięć godzin, bo nie starcza mi na to po prostu czasu, ale wiem, że to są moje korzenie i dlatego się tym cały czas jaram. Deskorolka stoi u mnie w pokoju i czasem po prostu muszę wyjść i coś zrobić na murku. Dalej się interesuję tym tematem, oglądam filmy i gazety, wiem, co się dzieje.





fs. bluntslide / Opole
foto A. Skrobański



TOMASZ ROKICKI

rozmawiał Sławek

Tomasz Rokicki jest młodym skaterem z Kalisza. O jego umiejętnościach skate'owych można się przekonać w trakcie oglądania filmu Insanity, natomiast pewnie mało ludzi wie, że jest on też didżejem. Przeczytajcie więc o obu pasjach Tomka...

Dałeś się zauważyć na najnowszym filmie Insanity „The end" i nawet zebrałeś najlepsze recenzje. Powiedz, co robisz na co dzień.

Na co dzień siedzę w Toruniu i studiuję na trzecim roku stosunków międzynarodowych.

Postaraj się przybliżyć wszystkim swoje zainteresowania.

Moimi największymi miłościami są na równi: deskorolka, kobiety, muzyka i dobra kuchnia, oraz rodzinka – pozdrawiam.

A co w nich widzisz i dlaczego.

W deskorolce najbardziej podoba mi się uczucie swobody, kiedy na niej stoję i sobie po prostu jeżdżę, mając w dupie wszystko dookoła, a poza tym traktuję ją podobnie jak muzykę: formę wypowiedzi, pokazania, co jest dla mnie ważne, co mi się podoba, a co nie. A kobiety i kuchnia – każdy wie, że bez tych dwóch rzeczy nie da się żyć pełną piersią.

Zatem wyznaj szczerze, zdradź nam swój najskrytszy sekret: ile jeździsz?

Wyznaję, że 2005 będzie moim 8 rokiem na desce.

Ale uczyć też się lubisz? Przyznaj.

Lubię się uczyć tylko tych rzeczy, które są dla mnie interesujące, reszta to niestety przykry obowiązek.

Kiedy zainteresowała cię dj'ka i jak to się naprawdę zaczęło?

Wszystko zaczęło się dawno temu. Mój dobry kumpel, Trupek (aka Tru), przez to, że złamał sobie poważnie rękę w przedramieniu (wstawili mu tam jakieś metalowe coś) i nie mógł już jeździć na desce, postanowił kupić sobie gramofon – kiedy to było, nie pamiętam. Następnie, jakieś 5 lat temu, zacząłem go regularnie odwiedzać i uczyć się od niego podstawowych ruchów. Byłem tym tak zajarany, że napierdalałem nawet na potencjometrze domowej roboty (dzięki Schizol). Potem to już standard, wycieczki po winyle i mój powolny (choć mam nadzieję, że stały) rozwój.

Ale co grasz: techno, trans, hard core?

Generalnie HH – od mrocznego (np. Antipop Consortium) do radosnych kapel typu De la czy A.T.C.Q. Jak nas poniesie, to napierdalamy z Tru na dwóch gramofonach jednocześnie, ale z tego, co wiem, dla przeciętnego słuchacza może to być męczące. Lubię ostre zrycie.

Częściej grasz, czy jeździsz i jakie są dla ciebie priorytety.

Moim priorytetem jest zdecydowanie deskorolka. Nie nazywam siebie dj'em, bo po prostu nim nie jestem, ale uwielbiam gramofony i używanie ich sprawia mi ogromną frajdę. Uwielbiam to uczucie, kiedy widzę, że ludzie dobrze się bawią, gdy gram.

Czy w twoim, najstarszym mieście w Polsce, jest wiele osób o podobnych zainteresowaniach, czy po prostu czujesz się jak osoba wyjątkowa i wybitna jednostka?

Niestety nie ma. Jedynym dj'em w Kaliszu, w pełnym tego słowa znaczeniu, jest wspomniany przeze mnie Tru – naprawdę jest dla mnie guru. Ma niesamowicie szybkie paluszki i naprawdę wie, o co chodzi. Ja jestem jego, że tak powiem, pomocnikiem.

Czy podobna sytuacja jest w twoim mieście ze skateboardingiem?

Oczywiście, że nie. Mamy liczną i zgraną ekipę związaną z deskorolką i robieniem muzyki Grot, Bąki. A w Kaliszu regularnie katują: Zdzichu, Gruby, Torba i Barszcz – nie dajcie się! Oraz jak wszędzie, chmary narybku.

A teraz bez ściemy, czy ty w ogóle posiadasz własny sprzęt (deskę, decki)?

Mam własną deskorolkę (hehe). Z gramofonami mam styczność tylko u Trupka w domu (2 Technicsy 1210 i Vestax – szósteczka).

To na czym grasz, robisz to wirtualnie?

Cały czas mam przy sobie muzykę – na desce, w wannie, w łóżku i chuja do dupy. Bez muzyki nie mogę po prostu żyć.

Twoja święta trójca, znaczy się tricki i kawałki!

Może inaczej- wytwórnia Stones Throw, triczki – flipki i slajdy.

He, korzystając z okazji, pozwalam ci pozdrowić jedną osobę.

Dzięki, o szczodry Sławomirze. Tak więc, chciałbym pozdrowić Trupka, dzięki któremu zacząłem przygodę z gramofonami, oraz skoro nie mogę pozdrowić więcej osób, to pozdrowię ekipy: całe BdoK, jeżdżących na plusie, na zamkniętej, NieszawkaKru i wszystkich, którzy pozdrawiają mnie.



sprite jam
blue city

Miesiąc temu mogliście przeczytać o nowo otwartym skateparku w centrum handlowym Blue City. Jak zapewne wszyscy wiedzą, jest to pierwszy w pełni kryty tego typu tor w Polsce. Nic więc dziwnego, że nie trzeba było długo czekać, aby na tym obiekcie rozegrały się zawody deskorolkowe. Kontest wiązał się z oficjalnym otwarciem tego miejsca dla prasy, nastąpiło też oficjalne przecięcie wstęgi i tego typu rzeczy. Dziennikarze zostali zaproszeni, aby jak zwykle w takich przypadkach mogli się najeść, a potem opisać skatepark w swoich gazetach



tekst tOi Oi
foto Yarrek.com

Dopełnieniem uroczystego otwarcia dla „vipów" były pierwsze zawody (odbyły się 18 grudnia) rozegrane w świeżo otwartym parku. Informacja o tym wydarzeniu rozniosła się po całej Polsce pocztą pantoflową, jak również elektroniczną i tradycyjną. Na wszystkich portalach trwały dyskusje, kto wygra imprezę. A trzeba powiedzieć, że było o co się bić, za pierwsze trzy miejsca przewidziano wysokie nagrody pieniężne, a na wykonawcę najlepszego triku czekał kozacki mp3 player.

Do Warszawy na wieść o imprezie w nowym skateparku zjechały się tłumy deskorolkowców żądnych wrażeń i nowego spotu. Nie zabrakło ekip z Wrocławia, Opola, Łodzi, Poznania, Ostrołęki, Katowic i Krakowa.

Jak zwykle na takich imprezach nie było dużo publiczności, a to dlatego, że każdy przybyły chciał jeździć, a nie siedzieć i gapić się. Skatepark tego dnia przypominał wielkie mrowisko, w każdym jego miejscu tłoczyli się skaterzy, nie było metra wolnego miejsca. Stworzyło to atmosferę prawdziwej skateboardingowej rzeźni. Przy takim zagęszczeniu dobrych riderów dobre triki po prostu musiały padać na prawo i lewo. Nakręcający się nawzajem polscy deskorolkowcy dawali z siebie wszystko, każdy z nich chciał przecież wypaść jak najlepiej w zawodach. Na treningach mocno dawali znać o sobie gospodarze – Karol Furmańczyk, Gutek, Tomek Goławski, którzy jeździli jak nakręceni. Dwójka wrocławiaków, czyli Kuba Bączkowski i Marcin Jakubowski, nie dawała ani chwili wytchnienia piramidzie. Najpopularniejszą przeszkodą stała się rurka przy pięciu schodach, była to najnowsza rzecz w skateparku i każdy chciał na niej coś zrobić.



Docent Furman pop shove it

Ten dzień w Blue City miał dwa oblicza: dobre i złe. Pierwszym był poziom jazdy na treningach. Aż przyjemnie patrzyło się na triki, które padały na prawo i lewo, i to nie tylko za sprawą starych wyjadaczy w rodzaju Gutka, tylko każdy skater dawał z siebie wszystko. Jak mówiłem wcześniej, atmosfera temu służyła. Drugim obliczem (tym gorszym, niestety) były same zawody. W chwili rozpoczęcia eliminacji wszystko się nagle zepsuło. Na pewno powodem tego była organizacja, albo właściwie jej całkowity brak. Nikt nie wiedział, co jest grane, zasady startu zmieniały się w trakcie trwania imprezy, nie było komentatora, zawodnicy nie mieli pojęcia, czy teraz jest ich start (miały miejsca takie zdarzenia, że nagle kilku skaterów myślało, że mają swój przejazd. Najgorsze jednak było to, że nikt nie respektował cudzych przejazdów i wpierdalał się innym w ich rundy. Rozumiem, że każdy chce być cały czas rozgrzany i takie sytuacje mają miejsce na dużych imprezach, ale trzeba mieć jakieś wyczucie, a to, co robił np. Tomek Szkiela czy Gutek, którzy niejednokrotnie wyprzedzali właśnie występujących skaterów przy dojeździe do przeszkody, tak że startujący delikwent musiał czekać w kolejce, aż mu pozwolą spróbować trik. Dodać trzeba, że nikt z organizatorów nie starał się opanować tej sytuacji. Wszechobecny chaos wpłynął na poziom przejazdów (szczególnie eliminacyjnych) i nie był on, niestety, zbyt wysoki. Przejdźmy więc może do tego, co działo się w czasie zawodów.

Kwalifikacje, oprócz tego, że stały na niskim poziomie, przyniosły drugą niespodziankę – totalny odsiew tak zwanych faworytów. Do następnej rundy nie awansowali ci, którzy zwykle stają na najwyższych miejscach w polskich zawodach. Widać, że wyrównuje się w naszym kraju poziom jazdy i już nie mamy stuprocentowych faworytów, jak było do tej pory. Najlepiej w czasie pierwszej rundy zaprezentował się Karol Furmańczyk, który jeździł jak natchniony, wszystko mu wychodziło za pierwszym razem. Reszta startujących została głęboko w cieniu przejazdu Furmana, nikt nie pojechał tak płynnie jak on.

Po skończeniu eliminacji po przydługiej przerwie rozegrały się finały. O ile kwalifikacje miały dość mizerny przebieg, to następna runda wyszła dużo lepiej. Tutaj już nie mogło być mowy o żadnej zachowawczej jeździe. Skejcikom duża suma pieniężna chodziła po głowie, bo dawali z siebie wszystko. Przemek Cymbalski, jak zwykle, na swój ostatni przejazd potrafił się maksymalnie skoncentrować i pokazał kilka ciekawych numerów w rodzaju smitha na rurce, kickflipa przez piramidę i nollie nose grind na murku w dół, wszystko to było nienagannie wykonane w rozpoznawalnym w całej Polsce stylu. Jacek Pawłowski z Poznania miał bardzo dobrą rundę, w której nie pokazał może super trudnych sztuczek, ale za to wszystko robił na pełnym luzie i z dużą skutecznością. Tomek Dworzak, stary wyjadacz z Krakowa, już się chyba nie stresuje zawodami, bo w swoim życiu zaliczył ich niemałą ilość. Jego przejazdy finałowe były po prostu kozackie, rządził na piramidzie. Hołek więcej w czasie swojej rundy przebywał w powietrzu, niż na ziemi, jego wspaniałe loty dały mu drugie miejsce. Pierwsza lokata przypadła niespodziewanie Marcinowi Jakubowskiemu z Wrocławia. Marcin miał najbardziej wszechstronne triki, większość z nich robił z nollie albo switch, wykorzystał wszystkie przeszkody i zyskał największe uznanie u sędziów.

Po finałach nastąpił konkurs na najlepszy trik. Konkurencja ta jak zwykle miała formułę jamu i w trakcie wyznaczonego czasu wszyscy na raz próbowali swoich najlepszych numerów. Już na początku trwania konkursu najlepszy z finału Marcin zrobił nollie big spin heelflip przez całą piramidę. Zdopingowało to resztę do próbowania jeszcze trudniejszych sztuczek. Większość skaterów upodobała sobie właśnie piramidę, jednak tylko nieliczni starali się wylądować za kątem. Do tej garstki należeli Gutek (zajebisty backside), Przemek Cymbalski (mega flip i centymetry dzielące go od bs. flipa) i Tomek Dworzak, który wykonał szkoleniowego wręcz 360 flipa. To była prawdziwa uczta dla oka.

Nagroda przypadła jednak rezydentowi skateparku, czyli Tomkowi Goławskiemu. Goły doskonale zna ten park, bo pracuje w nim na co dzień, więc nie miał problemu z wygraną. Zrobił trzy kozackie triki na największej poręczy (kick flip, heel flip i bigspin na fs. boardslide) i zgarnął mp3 playera.



[illegible] Albert Domański z super feeble gri[illegible]em.



zwycięzca snowboardowego kontestu
Laurent Gougain
wysoko, stylowo, kozacko -720 cork

Co tygrysy lubią najbardziej, kiedy zaczyna się zima? Najbardziej lubią śmigać na swoich deseczkach. A jak nie ma jeszcze – albo – już śniegu? Jadą tam gdzie śnieg jest, albo tam gdzie powinien być. W tym przypadku wybraliśmy się do Francji, do znanej miejscowości Val Thorens, gdzie miało nastąpić nasze wymarzone, osobiste rozpoczęcie sezonu

tekst Narciarzyk
foto Wojtek Antonów / WZRR

Od razu na początku stwierdzam, że pomimo bycia na wysokosci ponad 2000 m. n.p.m. i ogólnie alpejskiej zajawki śniegu było bardzo, bardzo mało. Tak więc uwaga, nie ma co psioczyć na Zakopane i Szczyrk, że tam nie ma białego puchu, jeżeli w Val Tho też może być słabo.

Na tym porównania z Polską się kończą, bo tam to nawet w przypadku mega-śniegowego kryzysu mają tak profesjonalne podejście, że w razie czego wszyscy Francuzi przyniosą śnieg ze swoich lodówek i wysypią na stoki, żeby tylko turyści mieli na czym jeździć. Tak więc słabe warunki trochę utrudniły plany organizatorów, ale nie pokrzyżowały ich całkiem.





Jerome Benoit boardslide przez cały trapez rail







Szalony motokrosowiec - backflip na rynku głównym Val Thorens

Plany organizatorów? Jakie plany? A nie powiedziałem jeszcze? Już mówię: ten wyjazd to był wyjazd na imprezę znaną w środowisku deskowym jako Boarderweek, tydzień dla deskarzy i newschoolowych narciarzy, podczas którego odbywają się zawody dla jednych i drugich, i jest oprócz tego masa innych atrakcji.

Pomimo tego, że po licznych trasach pięknej doliny po prostu nie dało się jeździć, było twardo, lodowato i strasznie tłoczno, snowpark przygotowany był bardzo dobrze. Na trasie, która na co dzień służy do rozgrywania najważniejszych na świecie imprez w slalomach narciarskich, zbudowano tor do slopestylu, który składał się z wielkiego kickera, sekcji raili (rail prosty, transfer na rail w dół i trapez), potem była mniejsza skocznia i na końcu duży rail prosty i na samym końcu wielki c-rail. Całość przygotowana jak na istniejące warunki idealnie, codziennie rozjeżdżane ratraki, wyszejpowane wjazdy na raile, po prostu perfekcja. Dla mnie mogłoby nie być wszystkich innych tras, mógłby tylko snowpark zostać. I żeby więcej śniegu spadło, ale śnieg oczywiście spadł dopiero w ostatni dzień, kiedy wyjeżdżaliśmy.

Na pierwszy ogień poszli narciarze freestyle'owcy. Dla nich zorganizowano naprawdę wysokie rangą zawody pod patronatem jednego z francuskich operatorów komórkowych. Bogaty sponsor, wysokie nagrody i możliwość awansu do jeszcze większych budżetowo imprez, to wszystko przyciągnęło na Boarderweek najlepszych pro-freeskierów z całej Francji. Tak więc Baptiste Collomb-Patton latał nad naszymi głowami zawijając kozackie rodea 54 i 72, JJ Coutett na luzie wchodził 27 na disaster na raile i przejeżdżał cały c-rail. Gdzie nie spojrzeć, coś się działo, poziom był naprawdę wysoki. To niesamowite, jak szybko rozwinął się i rozwija dalej narciarski freestyle. Do tego wszystkiego słoneczko starało się zrekompensować brak śniegu i świeciło mocno non stop plus muzyka reagge i dancehall z głośników, to wszystko sprawiło, że narciarski kontest na Boarderweeku był jednym z fajniejszych, na których byłem.

Co do dodatkowych atrakcji, o których wspomniałem chwilę wcześniej, to w tym roku były dwie główne dodatkowe imprezy, pokaz szalonych freestyle'owych motokrosowców i koncert niemieckiej gwiazdy reagge – Gentelmana. Motokrosowcy przeszli moje oczekiwania. Nigdy nie jarałem się zbytnio motoryzacją, jednak oglądając na żywo jak goście na motorach walą backflipy ze skoczni na odległość 30 metrów lecąc z 15 metrów nad ziemią, można poczuć ogromny szacunek dla tych wariatów. Całe ich szoł było fajne – hip-hop wali z głośników, światła latają po rampie do skoków, silniki warczą, panienki szaleją – sex, drugs i freestyle motokross!

Koncert Gentelmana także wywołał wśród publiczności duże emocje. „Throw ya lighters up!" krzyczał Gent ze sceny, a wszyscy ludzie podnosili swoje zapalniczki tworząc niesamowity widok. Poza tym wszyscy się bawili, skakali, tańczyli, piękny klimat. Też tam byłem i się nieźle najebawiłem, hehehehe.

Wracamy na stok do zajawek zimowych. Snowpark już opisany, zawody narciarskie też, teraz czas na snowboarderów. Do udziału w imprezie zgłosiło się ich 3 razy mniej niż narciarzy, ale i tak dawali radę. Jeżdżenie na nartach po railach może i jest hardcore'owe, ale nigdy nie będzie miało takiego stylu, jak sklejony idealnie nose albo tailpressik na railu na snowboardzie. To trzeba przyznać. Pełna zajawa i szacunek dla snowboarderów, dla narciarzy zresztą też.

Z racji tego, że deskarzy nie było wielu, zawody dla nich rozegrano raz, dwa, trzy i po krzyku. Publiczność zgromadziła się licznie i głośno dopingowała finałowe przejazdy Laurenta Gaugaina i jego kolegów.

Tak jak już wspomniałem, akurat kiedy mieliśmy wyjeżdżać spadł upragniony śnieg. Dosłownie było to prawie tak: pierdut i leży pół metra świeżego puchu. Nie dane nam jednak było pośmigać po dziewiczym puchu, porozbijani po tygodniu jazdy po twardym parku i railach szykowaliśmy się do powrotu do domu. Następnym razem. Na pewno.



Baptiste Collomb-Patton - rodeo 540, mistrzowski styl i klasyka gatunku















PGA

POZNAŃ GAME ARENA

25-27.02.2005

www.pga2005.pl

Organizatorzy









Partnerzy

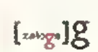









Patroni medialni







red bull rails
zgrzyt metalu

Pamiętacie zawody Red Bull Off Rails w Warszawie? Była to jedna z cyklu imprez organizowanych w całej Europie. Może tylko troszkę bardziej lokalna. My odwiedziliśmy jeden z europejskich kontestów tej serii, czyli Red Bull Off Rails, przystanek Wiedeń. A konkretnie Friedrich Engels Platz. Pomysł na zawody jest prosty, wystarczy znaleźć hardkorową miejscówkę w środku miasta, zaprosić silną ekipę raiderów i znaleźć na to wszystko pieniądze. Łatwe...

tekst i foto yarrek.com

Miejsce to podstawa, bo po pierwsze, raile muszą być odpowiednio trudne, a po drugie, dookoła musi być dużo miejsca dla publiczności. W Wiedniu znalazło się takie miejsce, czyli duże zejście do tunelu, w kształcie trybun amfiteatru. Na co dzień jest tam pięć raili, ale nie polecam, bo są wykonane ze zbyt miękkiej stali, a wiadomo, czym to grozi. Organizatorzy zdecydowali się na wykorzystanie trzech z nich. Przygotowane zostały specjalne konstrukcje, które zamontowano na railach. I tak powstał łamany box i to bardzo konkretny. Najpierw mamy jakieś pięć metrów stromo w dół, kawałek płaskiego i znów pięć metrów w dół plus półki z dwóch stron. Po środku zbudowano podest, na którym umieszczono długi rail z gapem i na koniec tak samo jak box, długa dwa razy łamana poręcz. Wszystko oczywiście w towarzystwie dwóch partii schodów.


Dymitri Fessenko - board to fs nospress

Żeby taka miejscówka miała sens, to ktoś musi po niej jeździć, więc do udziału w zawodach zostali zaproszeni między innymi: Eero Ettala, Mathieu Crepel, Marius Oterstad, Anthony Tonton Holland, Roman Marti, Joni Malmi, Eero Niemela, Alex Shmaltz, Dimitri Fesenko, Ikka Backstrom, Pavvo Tikkanen. Ale swoją drogą, kto by nie przyjechał, jak do podziału było 10 000 euro! Chłopcy sobie spokojnie trenowali, aż na środek miejscówki wyszedł Święty Mikołaj w postaci Drev Stevensona (typ od TTR), który ogłosił, że zawody czas zacząć. Z trzech tysięcy gardeł zgromadzonych wokół areny huknęło yeea!!! Na początek poszły pewniaki, czyli boardslide'y, nosepresy, lipslide'y i podobne triki, ale w miarę upływu czasu ekipa się zaczęła rozkręcać. Tonton w towarzystwie Mathieu Crepela na zmianę pokazywali nollie nosepress oraz pierwsze próby 270 na boardslide na poręczy z gapem. Alex Shmaltz zrobił fs boardslide na łamanym boksie a Cheryl Maas (jedna z dwóch dziewczyn) rzuciła 50/50 z przejściem nose press na dolną część boksu. Zgromadzony tłum zaczyna coraz mocniej dopingować, a raiderzy nagradzają to coraz mocniejszymi trikami. Coraz częściej widzimy gigantyczne transfery na łamańca i kolejne wejścia z obrotami. W końcu czas jamu dobiega końca i zawodnicy przenoszą się na prosty rail, gdzie za chwilę zaczyna się best trick. I tu dopiero zaczynają się naprawdę ciężkie tricki. Joni Malmi robi fs. bluntslide z zejściem bs. 270, a młody Chris Sorman fs. 270 na boardslide i zejście 270. Następnie akcja przenosi się na box a tu prym wiedzie Cheryl Maas, która robi 50/50 na półce z przejściem na smith revert oraz Joni Malmi ze swoim swich 50/50 z przejściem na fs boardslidena dolną część boksu. Na deser został nam łamany rail i tu znów klasę pokazał Eero Niemela, który zrobił bardzo wysoki transfer fs. 270 na boardslide oraz Chris Sorman, który najpierw zrobił również fs. 270 na boardslide, ale było mu za mało, więc dołożył jeszcze 270 out. Ostatecznie największą kaskę i puchar zgarnął Eero Niemela, bo to jemu przypadło zwycięstwo. A nam pozostało czekać na naszą lokalną wersję Red Bull Off Rails. 


Erro Etalla - fs 180 to sw 50-50


Widok na circus maximus. Red Bull Rails Vienna.

nokia air&style
hintertux 2004

Każdy z was prawdopodobnie słyszał o lodowcu Hintertux, leżącym we wschodnich Alpach. Jest to jedno z ok. 25 miasteczek położonych w dolinie rzeki Ziller. To, co je odróżnia od pozostałych, to fakt, że znajduje się ono na samym końcu doliny i jest to najwyższa część tego masywu. No i że to tutaj był organizowany słynny SPC camp... A powodem naszej obecności w Hinter była zorganizowana przez Asthetiker crew i Metodmag sesja zdjęciowa

tekst i foto yarrek

Tyrol przywitał nas piękną pogodą, szybko odnajdujemy nasz hotel, zajmujemy kwaterkę i udajemy się na spotkanie do restauracji znajdującej się w hotelu. Tu organizatorzy w postaci Drev i Poidla opowiadają nam o przygotowanym snowparku oraz o zapowiadanej na najbliższe dni pogodzie. Wychodzi na to, że ma być pięknie. Sprawdzimy. A na razie spadamy tylko w sobie znanym kierunku, żeby pojawić się na wieczornym balecie w lokalnym klubie. Wchodzimy do środka i od razu wpadamy na Matysa i znajomą ekipę z Sieprawia. A że poza samą sesją jest to również nieoficjalna rozgrzewka przed zbliżającym się Air&Style, do Hinter zjechała spora część raiderów (ok. 30!) mających tam startować. Więc w knajpie pojawili się również Joni Malmi, Mathieu Crepel, Marko Grilic, Sami Alibabic, Dimitri Fesenko, Chris Kroll, Martin Cernik, Friedl Kolar, Stefan Gimpl, Steve Gruber, Mone, Wolle Nyvelt, Rudi Kroll, Tom „Beckna" Eberharter oraz wielu innych. Wypijamy kilka drinków, wymieniamy ploty z chłopakami, oglądamy jakiś film i wycofujemy się do hotelu, bo rano ma być słońce...



Friedl Kolar
540 mute grab



540 tail grab



Mateusz Ligocki
720 indy

Rano pogoda nas zupełnie zaskakuje, bo rzeczywiście jest słońce. Więc jednak prognoza się sprawdziła. Ktoś stwierdza, że to inaczej niż u nas, że się nie spodziewał i że głowa boli. Ale nie ma lekko, więc wbijamy się na śniadanie i w drogę na lodowiec. Niestety, w tym sezonie nie tylko u nas zima dała ciała i organizatorzy nie mogli przygotować snowparku tam, gdzie by chcieli. Więc powstał on w cieniu sięgającego 3476 m. szczytu Orperer. Bo tylko tam było wystarczająco dużo śniegu. Dokładnie w tym samym miejscu, gdzie parę lat temu był park podczas SPC. I tak do dyspozycji mieliśmy dwie podwójne skocznie po ok. 13 i 16 metrów oraz mały pipe i parę raili. Decydujemy się na skocznie, gdzie powoli zaczynają zjeżdżać pozostałe ekipy. Chłopcy powoli i bez stresu zaczynają wyczuwać kickery. My pstrykamy parę fotek, ale cały park szybko przysłania nam cień, więc jedziemy pozwiedzać okolicę. Po paru godzinach mamy dosyć i zjeżdżamy na dół, bo trzeba zrobić podkład przed wieczorną imprezą. Zresztą, jak się okazało, było to słuszne posunięcie, bo wieczorne party dla wielu zakończyło się straszną matą. Co nie zmienia faktu, że rano wszyscy zjawili się w snowparku i dopiero teraz zaczęło się prawdziwe jeżdżenie. Widać było, że forma przed Air&Style jest niezła. Prym wiódł Sami Alibabic, Mathieu Crepel i Marko Grilic, którzy na luzie rzucali niezłe triki i wcale nie wyglądali na specjalnie skacowanych. Matys zresztą też sobie nieźle radził, zaczął spokojnie od piątki, potem poszły siedemsety, a następnie megaduże 900, po czym dla odprężenia i z uśmiechem na twarzy rzucił underflipa 540. I to by było na tyle, bo znów skończyło się nam słońce. Więc pożegnaliśmy się ze wszystkimi i pojechaliśmy do Garmisch, ale to już inna historia. 

– sklepy, w których kupisz Ślizg!!!

SKATE SHOP GRAM
KIELCE UL. DUŻA 5
w sklepie sportowym na I piętrze
tel. 041 344 37 62

SKLEPY FIRMOWE:
KRAKÓW: ul. Grodzka 50, ul. Floriańska 13
hurt- detal tel. 0604 79-14-12, 0606 55 12 42

RZESZÓW, MATEJKI 16
CODE
HIP-HOP SKATESHOP

andergrand.pl
buty
graffiti
muzyka
ubrania
skateboard
SKLEP INTERNETOWY
WWW.ANDERGRAND.PL

warszawa modlińska 89
498-35-90
ESTYMA
hiphop-skateshop

skateshop SKATECITY
Opole, ul. Ozimska 14-16
DH RZEMIEŚLNIK IIp.

CHROM
HIP HOPsklep
GDAŃSK ul.szafarnia4 ul.wajdeloty10 ul.rajska12
GDYNIA ul. swietojanska 112 KATOWICE ul.stawowa3
WARSZAWA metroRatusz box4 i box12 rondoJazdyPolskiej box19
KRAKOW ul.slawkowska20 CHRZANOW ul.plastowska15
CIESZYN ul.gleboka20 CZESKI CIESZYN ul.smetanowa20

BADOMAD
BYDGOSZCZ GALERIA POMORSKA ul.Fordońska 141
GDAŃSK CENTRUM ALFA ul.Kołobrzeska 41

ALIFORNIA
SKATEBOARD DISTRIBUTION

FLOW
HIPHOP SHOP
WWW.FLOW.PL
ŁÓDŹ TRAUGUTTA 4
TEL. 0426307970

MONUMENT
SKATE SHOP
www.monument.pl
Lublin Krakowskie Przedmieście 30, Krakowskie Przedmieście 17
Krakowskie Przedmieście 41
Katowice Stawowa 4
Częstochowa al. Najświętszej Marii Panny 37

SKATESHOP
Al. 1 Maja 19 B
62-510 KONIN
tel./ fax 0-63 242 39 56

KAMELEON
HIP-HOP SKATE SHOP
UL. MOSTOWA 1A
AUGUSTÓW
tel.501-011-446

BONGO HIP-HOP SKLEP
ul. Kościuszki 17; 88-100 Inowrocław
tel. (52) 357 59 36

ANAGRAM 13
REAL STREET CLOTHING
19-300 Ełk ul. W.Polskiego 13, tel./fax (0)87 6215387, www.anagram.elk.pl

KAMUFLAGE
HIP HOP SKATE SHOP
BLUECITY - Warszawa, al. Jerozolimskie 179
WOLAPARK - Warszawa, ul. Górczewska 124
GALERIA MOKOTÓW - Warszawa, Wołoska 12
www.kamuflage.pl

warszawa modlińska 89
498-35-90
ESTYMA
hiphop-skateshop

tłusty bas
ubrania bletki gadżety
Piastów
ul.Hallera 18
pn.-pt. 11-19
sob. 10-14

SKATE FASHION & HIP HOP
FUNKY COLLECTION
SK8 SHOP
VOLCANO
KLUCZBORK
ODZIEŻ DESKA GRAFITI
OBUWIE MUZYKA

MONASTIC
ul. Kościelna 34, Zduńska Wola 98-220

Filut Hip Hop Skateshop
Wełniany Rynek 2AB
Gorzów Wlkp.

SKATESHOP
SIXTYNINE
OPOLE
KRAKOWSKA 38
Z TĄ ULOTKĄ ZNIŻKA 10% !!
WWW.69.COM.PL
OPOLE
KASKADA
HARLEM
SKATESHOP

BLANT
skate & hip-hop center
SZCZYTNO
ul. 1-go Maja 15a

Informacje pod telefonem
tel. 0-prefix-22 825 49 07

ślizg

nr rachunku odbiorcy
Kredyt Bank IV O/Warszawa
41150017771217700665180000
nazwa odbiorcy
Towarzystwo Wydawnicze i Literackie Sp. z o.o.
ul. Brzozowa 35
00-258 Warszawa

kwota:

Nazwisko i adres:

zamawiam prenumeratę na:

3 | 6 | 12 miesięcy

20 PLN | 40 PLN | 76 PLN



opłata

POLECENIE PRZELEWU / WPŁATA GOTÓWKOWA

nazwa odbiorcy
Towarzystwo Wydawnicze i Literackie Sp. z o.o.
ul. Brzozowa 35, 00-258 Warszawa
nr rachunku
Kredyt Bank IV O/Warszawa 41150017771217700665180000

W P

waluta **PLN** kwota

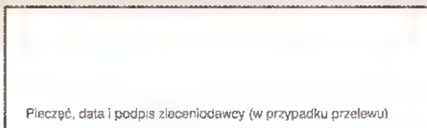
kwota słownie (wpłata / nr rachunku zleceniodawcy (przelew))

nazwisko i imię

ulica | nr domu | nr mieszkania

kod pocztowy | miejscowość

prenumerata: na okres | od miesiąca | numery archiwalne + koszt przesyłk



Pieczęć, data i podpis zleceniodawcy (w przypadku przelewu)

opłata

ODCINEK DLA ODBIORCY

nr rachunku odbiorcy
Kredyt Bank IV O/Warszawa
41150017771217700665180000
nazwa odbiorcy
Towarzystwo Wydawnicze i Literackie Sp. z o.o.
ul. Brzozowa 35
00-258 Warszawa

kwota:

Nazwisko i adres:

zamawiam prenumeratę na:

3 | 6 | 12 miesięcy

20 PLN | 40 PLN | 76 PLN



opłata

POLECENIE PRZELEWU / WPŁATA GOTÓWKOWA

nazwa odbiorcy
Towarzystwo Wydawnicze i Literackie Sp. z o.o.
ul. Brzozowa 35, 00-258 Warszawa
nr rachunku
Kredyt Bank IV O/Warszawa 41150017771217700665180000

W P

waluta **PLN** kwota

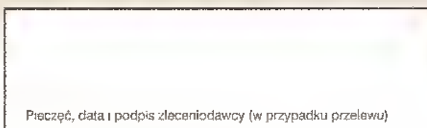
kwota słownie (wpłata / nr rachunku zleceniodawcy (przelew))

nazwisko i imię

ulica | nr domu | nr mieszkania

kod pocztowy | miejscowość

prenumerata: na okres | od miesiąca | numery archiwalne + koszt przesyłk



Pieczęć, data i podpis zleceniodawcy (w przypadku przelewu)

opłata

ODCINEK DLA BANKU WPŁACAJĄCEGO

twister



Witam. W poniższych kilku zdaniach pragnę, Drodzy Czytelnicy, przedstawić Wam moje poglądy i spostrzeżenia związane z imprezami hiphopowymi na których udzielałem się jako dj jeżdżąc niemal po całej Polsce już od około dziewięciu lat. Przez ten czas biorąc pod uwagę muzykę, atmosferę i zachowanie publiki w klubach wiele się zmieniło...

tekst twister a.k.a. winylowy kot
foto Wiedźma Cess (CS)

Czasem brakuje oldschoolowego podejścia...

... czyli moje spojrzenie na imprezy klubowe z drugiej strony gramofonów.

Moje początki to oczywiście rodzinne miasto Szczecin, jam pod Pleciugą, praktycznie sami znajomi, gra muzyka, b-boye tańczą, writerzy malują a na gramofonach zasuwają dj'e Feel-x i Seba. Wtedy właśnie pierwszy raz zobaczyłem na żywo Technicsy i dane mi było na nich zaskreczować. Wtedy ugruntowałem się ostatecznie w przekonaniu, że szuranie winylami i granie z nich muzyki to jest to, co chcę robić. W tamtych czasach muzyka grana na imprezach hiphopowych, czyli rap, r-n-b, funk, soul, czy electro dla b-boyów, nie była zbyt intensywnie promowana przez media, można powiedzieć, że niemal jej w nich nie było. Na bibach pojawiali się ludzie szczerze zainteresowani tym brzmieniem, szczęśliwi, że mogą brać w tym udział i nastawieni na dobrą zabawę. Wielokrotnie pytali o nazwy puszczanych kawałków i prosili, by im je nagrywać (wtedy jeszcze niewiele osób słyszało o czymś takim jak nagrywarki cd do komputera ani tym bardziej o ściąganiu muzyki przez Internet). Panowała jakaś taka trudna do opisania magiczna atmosfera, bójki i inne akty przemocy praktycznie się nie zdarzały, bo przecież... prawie wszyscy się znali. Co tu kryć, biorąc pod uwagę dostęp do płyt, dj'e (a było ich niewielu), byli w wiele gorszej sytuacji niż dziś. O hiphopowych winylowych krążkach kupowanych w Polsce można było zapomnieć, toteż trzeba było jeździć do Berlina, zamawiać u zagranicznych znajomych, czy też prosić kogoś, by przywiózł coś ciekawego na winylu przy okazji zakupu magnetowidu, czy czegoś tam innego atrakcyjnego cenowo na Zachodzie. Ze sprzętem też nie było łatwo. Przez parę lat pożyczałem gramofony od Seby (wielkie dzięki i pozdrowienia!!!). Pierwszy mikser sam sobie skonstruowałem, nie był idealny, ale skreczować się dało i wiele się na nim nauczyłem. Wracając do imprez – było ich o wiele mniej niż dziś. Odbywały się nieregularnie i były to głównie jamy skupiające niemal samych zajawkowiczów czynnie związanych z kulturą hip-hop.

Dziś jest trochę inaczej. Niewielu członków „starej gwardii" pojawia się na imprezach, zastąpiło ich młodsze pokolenie klubowiczów. Do pozytywnych zmian zaliczyć mogę przede wszystkim ogromny wzros popularności hip-hopu, r-n-b, soulu czy dancehallu. Muzyka ta obecna jest praktycznie wszędzie i wydaje mi się, że jest słuchana w Polsce najchętniej. Dostęp do płyt jest o niebo lepszy, pojawiają się imprezowe składanki, remiksy, tzw. party-breaki dające dj'om duże pole do popisu w graniu imprez. Sami dj'e również stają się popularni. Terminy turntablistyczne pojawiają się w reklamach, są wszędzie, nawet w najpopularniejszej sieci restauracji fast-food pojawił się zestaw o nazwie „skrecz" a na ulotce widniał wyżelowany młodzieniec poruszający płytą. Wszędzie pełno dj'ów, ludzie o nich mówią, tak fajnie być dj'em, tylko czy faktycznie wiedzą do końca, na czym polega ich zajęcie? Czasem mam wrażenie, że oczekują ode mnie, bym po prostu puszczał kawałki, które znają tylko i wyłącznie z telewizji. Jakby potrafili bawić się tylko do tego, co dobrze znają, czego nauczyli się na pamięć oglądając teledyski, bądź słuchając popularnych radiostacji nadających ostatnio w kółko to samo. Czyżby stwierdzenie jednego z bohaterów filmu „Rejs", który sądził, że może mu się podobać tylko piosenka, którą już wcześniej słyszał, było obecnie coraz bardziej popularne? Faktycznie, trzeba przyznać, że większość hitów lansowanych w mediach to dobre kawałki, taneczne i w ogóle git na hulanki, ale przecież gdyby wszyscy dj'e grali to samo i tak samo, to szybko stałoby się nieistotne, kto akurat gra. Winylowi gracze przestaliby być rozpoznawani, nieistotne byłyby ich ksywy i staliby się zwykłymi pracownikami klubów, w których grają. Czasem na dzisiejszych imprezach brakuje opisanej wyżej przeze mnie oldskoolowej, funkowej atmosfery. Nie chodzi tu konkretnie o muzykę, bo ona się zmienia i jest to zupełnie naturalne, tylko o podejście samych słuchaczy, odebranie tego, co ciekawego dj ma im do zaprezentowania. O luz, euforię, pozytywną energię, zabawę połączoną z szacunkiem do muzyki i innych bawiących się. Stojąc w didżejce, puszczając kawałki obserwuję tłum. Obserwuję migracje ludzi z parkietu do baru i z baru na parkiet. Najbardziej nie lubię chwil, kiedy włączam mój ulubiony, wyszukany gdzieś tam, np. w jakimś sklepie we Francji kawałek i patrzę jak połowa parkietu pustoszeje... Dziwne, bo przecież perkusja jest szalenie taneczna, a sample nie pozwalają stać spokojnie. „Kurcze, czy naprawdę nie czują tego bitu" – myślę. Przecież to taki wypas! Tak długo tego szukałem, w końcu znalazłem na siedmiocalowym. winylowym singlu, teraz gram i... nic. Rynek płyt winylowych dla dj'ów jest bardzo rozbudowany. Oferta jest ogromna. Tysiące różnych ciekawych, tanecznych kawałków, hiphopowych, r-n-b, dancehallowych, funkowych. Tysiące remiksów, reedycji, które tylko czekają na przeróżnych stronach internetowych na to, by je przesłuchać i kupić z myślą o ciekawym secie. Kupuję z myślą o ciekawym secie... Tylko czasem wydaje mi się, że niewiele osób czeka na ciekawy set. Wszelkie nowości, eksperymenty z miksami i mniej znane klasyki niekiedy wydają mi się niezbyt oczekiwane przez publikę. A szkoda, bo wg mnie, dj powinien być doceniany i rozpoznawany właśnie po stylu gry, po muzyce, jaką gra, po tym jak dobrze miksuje, co ciekawego wymyśli, wynajdzie na półkach, jak rozbawi tym publikę i jakie pozostawia wrażenie. Widząc ksywę danego turntablisty na plakacie powinniśmy kojarzyć: „o, dj Franek X gra, pewnie będzie puszczał te i tamte kawałki, fajnie skreczuje, to mi się podoba, wypas, idę!"

Dużo osób prosi mnie często na imprezach o polskie numery, ale kurczę, niestety większość hitów nie ukazała się na winylu. Brakuje polskich singli z wersjami instrumentalnymi i acapellami, które umożliwiłyby dj'om kreatywne wykorzystanie ich na mikstejpach i imprezach i w dużym stopniu przyczyniłyby się do promocji płyt. Dj'e, producenci i raperzy, wydawajcie swoje produkcje na czarnych krążkach, bo koszt to niecałe ćwierć kręcenia klipu, a ileż korzyści! Winyl to podstawa hiphopowego dj'ingu i jak głosi staropolskie przysłowie – „Winyli nigdy za dużo". Wracając do imprez... Kilkukrotnie miałem okazję grać na różnych, mniejszych i większych imprezach za granicą (zachodnią) i zaobserwowałem tam coś. czego czasem brakuje u nas. Chodzi tu głównie o podejście do zabawy i chyba trochę inne, bardziej entuzjastyczne i luźne odbieranie muzyki. Mam nadzieję, że i w naszych klubach atmosfera powróci do tej sprzed lat, kiedy to pulsujący bit doprowadzał zajaraną publikę do szału, zabawa była dzika, przepełniona szczerą radością (jest super, bo obserwuję pojawiające się tego symptomy). Apeluję w tym miejscu o większe zaufanie do dj'ów. Nie wymagajmy od nich, by grali ciągle te same kawałki, pozwalajmy im pokazać nam coś, czego może jeszcze nie znamy, jeśli faktycznie interesujemy się i lubimy tę muzykę. Pokażmy, że taktycznie czujemy funkowy, hiphopowy czy dancehallowy bit. Przynieśmy ze sobą na imprezę trochę takiej oldschoolowej atmosfery, bo przecież hip-hop to kultura zabawy a nie lansu i napinania się. Więcej luzu, uśmiechu i radości a nie narzekania na wszystko wokół! W tym miejscu pragnę wyrazić wielki szacunek dla wszystkich tych, którzy wiedzą, co znaczy dobra zabawa, słuchają, co dj ma im do powiedzenia w secie i mają otwarte uszy na wszelkie dobre dźwięki! Pozdrawiam i życzę udanych hulanek. Do zobaczenia w klubie!






don GURALESKO